



O F I A R Y.

OFFARY

OFFARY

OFIARY.

POWIEŚĆ

przez

TEODORA TOMASZA JEŻA.

Tom I.

INSTYTUT

BADAŃ LITERACYJNYCH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat 72

00-350 Warszawa

Tel. 26-68-68, 26-62-31 w. 42

WARSZAWA,

NAKŁADEM KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA.

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.



Дозволено Цензурою.

Варшава дня 8 (20) Мая 1874 года.

1257

I

„Ne rodysia krasnym, ale szczasnym“—powiada przysłowie ludowe. Przysłowie to literalne zastosowanie swoje znalazło w osobie Kasperka Mędzińskiego, który szczęście na drodze znalazł. Urodził się on w warunkach następujących, o których mu ojciec i matka opowiadali często. Z wieczora, kiedy się jeszcze ani zanosilo na to, że on na świat zawita, przychodzi do Mędzińskiego starego z komissaryi zapowiedź, *vulgo* nakaz, stawienia się czuj-świt ze strzelbą na polowanie. Stary na czynszu mieszkał. Nakazów z komissaryi przychodzących słuchać musiał. Rad nie rad przeto, przeczyścił strzelbę, podzerował zamek, przykręcił skałkę i spać się położył wczesnie, aż tu w nocy—rwetes, tartas—budzi się ze snu najsmaczniejszego i dowiaduje się, że ojcem został. Uradowało go to niewypowiedzianie.

— Dał Bóg syna... da i na syna...—pomyślał.

Zaprząłnął sobie głowę chrzcunami, które zamierzył wyprawić *honeste* i co się nazywa, i nagle przypomniał sobie o nakazie.

— Daj go katu!... Djabli to polowanie wymyślili!...

Nie było jednak rady. Zażartowanie z nakazu mogło dla szlachcica czynszowego bardzo smutne spowodować następstwa. Odłożył więc chrzciny na później, ubrał się, włożył torbę myśliwską na siebie, a do torby szrutu, kłaków

i chleba kawałek, zawiesił rozek z prochem, strzelbę na ramie zarzucił i do komissaryi się udał, klnąc w duchu najprzód komissarzowi, następnie podkomorzemu, którzy wymyślili polowanie na ten dzień właśnie, w którym urodził mu się syn i uświęcićby go wypadało. Cóż jednak począć! Nic nie pomoże kiwanie palcem w bucie. Stary Mędziński przyszedł na komissaryę i spóźnił się nawet nieco, zaledwie bowiem na podwórze wkroczył, aliści pan komissarz, w lisiurze i butach dużych, na ganek wyszedł i rozkazy wydawał:

— Huczki na zrąb!... Strzelcy pod brzozowe zagaje, do Krąglaku... kłusem!... tam się zatrzymać i czekać, aż pan z gośćmi przyjadą!...

Zwrócił się więc stary Mędziński i wraz ze strzelcami innymi, których, w liczbie mniej więcej trzydziestu, tak szlachciców czynszowych, jak chłopów, ze wsi spędzono, ruszył pośpiesznie na stanowisko wskazane.

Pod brzozowe zagaje, do Krąglaku—tak się uroczyso zwało—przybiegli strzelce zadyszani i dobrą godzinkę czekać musieli, zanim przybyło towarzystwo liczne, które zjechało się na uczczenie świętego Marcina, podkomorskiego patrona. Święty Marcin przypadał nazajutrz i według zwyczaju w okolicy oddawna przyjętego, sąsiedzi zjeżdżali się dniem przedtem, w celu zapróbowania szczęścia, na wilki, na lisy, na zające zresztą. Zjechali się przeto i w tym roku i przybyli na stanowisko, pod knieję, kiedy nasz Mędziński zaklął już im, co się wlaźło, spędzając w ten sposób złość na krzywdę, jaką mu wyrządzili.

— Bodajby strzał wasz każdy był pudłem!...

Tak się wyraziła ostatnia starego szlachcica klątwa, szlachcica, który czasu onego byłby wystąpił boso, ale przy kordzie, obecnie zaś stawił się na wezwanie jaśnie wielmożnego nie boso, ale bez korda. Wyraziła się ona pod po-

stacją życzenia do niebios zaniesionego. Zobaczymy, czy i jak na życzenie to okazały się niebiosa niegłuchemi.

Podkomorzemu towarzyszyło ze dwa dziesiątki sąsiadów, przywiezionych do kniei wózkami i bryczkami rozmaitego kształtu i różnej wielkości. Byli to wszystko dziedzice okoliczni, obywatelstwo znaczne i znaczące z tego względu, że każdego z nich zdobił tytuł, znamionujący zasługi na ołtarzu obywatelskim złożone. Tego mianowano sędzią, owego deputatem, innego prezesem; ten wystąpił w barankach, ów w lisach, inny w kałankach lub nawet w sobolach; ten głowę przykrył czapeczką, przeznaczoną na to jedynie, ażeby minę gęstą akcentowała, ów włożył na łeb czapę z uszami; podkomorzy miał na sobie taradaję z szaraczkowego sukna, z potrzebami i z bobrowym kołnierzem, na głowie zaś przykrycie przypominające kołpaki starodawne. W taradai tej i w kołpaku, z torbą myśliwską przez ramię i ze strzelbą w ręku, wyglądał na hetmana wśród drużyny. Wąsów mu tylko brakło. Wąsy padły ofiarą nowego porządku.

Święty Marcin na białym zazwyczaj przyjeżdża koniu. W roku onym atoli podobało mu się wsiąść na dereszowatego—babie lato panowało przez cały październik prawie i przeszło w porę jesienną bezśnieżną, oświeconą jasnym słońkiem i ścinaną ostremi mrozami. Porankami ziemia bielila się, a łodygi na polach i gałęzie z liści ogołoczone po ogrodach i lasach zmieniały się w okiście szronem obrosłe, które o porze południowej brylantowem połyskiwały odbiciem. Białość od mrozów i szronów odbijała od czarnej ziemi, jak dereszowaczina na karym koniu. Ztąd przypuszczenie, że świętemu Marcinowi podobało się zwyczaj zmienić, i z tego to powodu jaśnie wielmożni i wielmożni—P. T., jak się wyrażają w Galicyi—wybrali się nie saniami,

ale bryczkami, które się zatrzymały pod Krąglakiem i z których wysiadali powolnie.

Najpierwszy wyskoczył pan komissarz, Bładzikiewicz, pośpieszył do pana podkomorzego i rękę mu podał. Podkomorzy wygramolił się z trudem niemałym, opierając się na komissarskiem ramieniu, obejrzał się do koła na stopniu jeszcze stojąc i zawołał:

— Bładzikosiu!... książę!...

Bładzikiewicz nie zrozumiał, zdaje się, o co właściwie po dkomorzemu chodzi, stanął bowiem i oglądał się.

— Skocz-że, jołopie i podaj księciu ramię!...—odezwał się jasnie wielmożny z przyciskiem.

Zlecenie to, tak wyraźne, komissarz wykonał z pośpiechem jak największym. Poskoczył do wózka na resorach i podał rękę jegomości otyłemu, który razy parę próbował wysiąść o siłach własnych, za każdym atoli razem, zamiast na zewnątrz wózka znalazł się w siedzeniu napowrót. Przy pomocy komissarza, wydobył się z pojazdu, stanął na nogach własnych, dał na sobie poprawić torby, co mu się narbrzuch zsunęła, sam sobie poprawił na głowie czapki z futerkiem, wziął dziwirowaną strzelbę w rękę i, krechcąc, szedł naprzeciwko podkomorzego, który w kołpaku na bacier kroczył naprzeciwko księcia, wołając zdaleka:

— Cóż, wasza książęca mość!...

— Wyskoczyłem z kabrioletu i gotów jestem iść na zwierz!...

— Waszą książęcą mość ożywia rycerski przodków animusz...

-- A tak... tak... w rzeczy samej... Polowanie passyami lubię...

— Postaw-że, Bładzikosiu, jego książęcą mość na sta-

nowisku...—rzekł podkomorzy, do komissarza mowę zwracając—na które zwierz będzie walił najbardziej...

— Na skrzydle prawem, jaśnie wielmożny panie... tam wagę...

Książę posuwał się powoli i ciężko, był to bowiem mąż okazały, z tuszy i rozmiarów, równie jak i z rysów oblicza wielce do słonia podobny, mówiący jednak głosem szczerbiotliwym, jakby miał fistułę w gardle. Minął podkomorzego i gdy się o kilka oddalił kroków, ten na komissarza kiwnął i mrugnął, w następujący, głosem bardzo zniżonym, odzywając się do niego sposób:

— Postaw-no obok księcia strzelca... rozumiesz?...

— Rozumiem, jaśnie wielmożny panie...

— Któregoż postawisz?...

— Jużci nie innego, jeno Mędzińskiego...

— Aha... dobrze... A niech-no on się zemną rozmówi... Gdzie on?...

— Mędziński!...—krzyknął komissarz, kiwając ku gromadzie strzelców ręką. Sam tu!...

Szlachcic wynurzył się z grona czekającego na uboczu na rozkazy, zbliżył się, czapkę zdjął i podkomorzemu w pas się pokłonił.

— Słuchaj-no...—przemówił ten ostatni—chodzi ci o łaskę moją?...

— Jakżeby chodzić nie miało, jaśnie wielmożny panie...—odparł szlachcic głowę przechylając.

— Słuchaj-że... Bładzikiewicz postawi cię obok jaśnie oświeconego księcia... i ty będziesz odpowiadał, jeżeli jego książęca mość choć raz spudłuje, czyli, co na jedno wychodzi, jeżeli na stanowisku, na którym stać będziesz, kto inny, nie jego książęca mość, cokolwiek zabije...

Szlachcic się w głowę podrapał, robiąc minę straszliwie kwaśną.

— Co?...—zagabnął podkomorzy groźnie. Czy ci się to nie podoba?...

— Owszem, jaśnie wielmożny panie... Tylko...

— Tylko co?...

— Śpiewaka boli gardło, śpiewać darmo... Jakżeby strzelca krzyże boleć nie miały, gdy będzie pudła jaśnie oświecone poprawiał!... A nuż z bólu w krzyżach i ja spu-
dłuję?...

— Przymawiasz się niby o nagrodę?... hę?...

— Nie tyle o nagrodę, ile o zaskarwienie sobie łaski jaśnie wielmożnego pana...—odrzekł szlachcic chodaczkowy, w pas się kłaniając.

— Cóż tedy?...

— Nic jeszcze... Jeżeli jaśnie wielmożny pan pozwoli mi po polowaniu słówko rzec, to wówczas będę może miał mu co do powiedzenia...

— No, no... dobrze!... Zobaczymy... Teraz idź na stanowisko i spraw mi się należyście, to wprawisz mnie w humor dobry, a ty wiesz zapewne, że gdy w dobrym jestem humorze, to zrobię, co kto zechce... Ruszaj-że i pomnij, żeby książę pan ani jednego nie zrobił pudła...

Stary Mędziński oczy zamknął i głową wstrząsnął. Markotnym był straszliwie, westchnął i w humorze najgorszym stanął pod drzewem, pod które go komissarz przypro-
wadził, ukazując mu palcem o kroków kilkanaście na lewo postać wyniosłą i otyłą księcia pana. Stanowisko było tego rodzaju, że na niem zwierz wychodzić musiał na dwóch strzelców razem. Zazwyczaj, stawiano na niem jednego a dobrego, i urządzono tym razem spółkę dla tego jedynie, ażeby księciu satysfakcję zrobić.

Strzelców rozstawiono; komissarz ujął zawieszony na nim, na zielonym sznurku, róg bawoli, do ust przyłożył, zadał i wnet z drugiej strony kniei odezwały się okrzyki, hukania i stukania.

— Ahi!... ahu!... Hutiu!... Huhu!...—brzmiało po lesie.

Szron się z gałęzi osypywał; wrony się zrywały i kracząc żałośnie, przelatywały jakby to one były zwierzyną, mającą padać pod strzałami myśliwych; zresztą, co się pałby broni ognistej tyczy, panowała cisza głucha. Huczki ze strony przeciwnej posuwały się coraz to dalej, zagłębiając się w las, rozróżniać się już dawały intonacje głosów ich pojedynczo, zwierzyna się nie pokazywała. Komissarz, na stanowisku swoim stojąc, myślał sobie:

— Co u licha!...

I medytował nad tem, na kogoby to, lub na co, winę złożyć.

Podkomorzy mówił sam do siebie:

— Ha! Błędzikosio!... Otóż mi się spisał na imieniny moje!...

Inni inne rozmaite myśli w głowach snuli, nie wyjmując księcia pełnego animuszu, ani też starego Mędzińskiego przepełnionego złym humorem, gdy nagle, na lewem skrzydle, odezwał się huk wystrzału pierwszego. Od skrzydła lewego do prawego ciągnęła się linia strzelców sześćdziesięciu.

Mędziński głową wstrząsnął i ręką od niechcienia machnął. Oznaczało to, że nie ma nadziei, ażeby co wyszło na niego.

Po pierwszym atoli wystrzale nastąpił drugi, po drugim trzeci, po trzecim czwarty, piąty, szósty, siódmy... dziesiąty... dwudziesty... trzydziesty—istny ogień rotowy, który biegł szybko, jakby panewki połączone były drutem, przenoszącym iskrę elektryczną z jednej na drugą, biegł

tak szybko, że zdziwiony fenomenem tym myśliwskim Mędziński, nie skończył mówić „w imię ojca i syna i ducha świętego“, aliści kot nasunął mu się pod cel. Wyraz „amen“ na języku mu zamarł. Strzelbę rzucił do twarzy, wymierzył, cyngiel pod palec ujął; huknął wystrzał, tuż obok niego, Mędziński wytrzymał nieco, cyngiel pocisnął, wystrzał ostatni się rozległ, zając koziołka wywrócił jednego i drugiego i skoki wyciągnął.

Cóż to się stało?

Stał się fenomen, godzien zaliczonym być do faktów owych nadzwyczajnych, nad wyjaśnieniem których ludzie mózgi sobie suszą. W kniei przesiadywał zając jeden jedy-ny. W tem nic jeszcze nie ma osobliwego. Osobliwość polegała na tem, że zając ów, spłoszony przez huczków, wynosząc się z lasów, natknął się na strzelca lewoskrzydłowego, ten strzelił i chybił. Zając z najzimniejszą w świecie krwią, wziął w prawo i nie spiesząc się zbytecznie, przeszedł równolegle do całej strzelców linii, jakby umyślnie na to, ażeby ściągnąć na siebie pudeł pięćdziesiąt dziewięć i zginąć z ręki Mędzińskiego.

Był to zając pierwszy i ostatni.

Odezwała się trąba komissarska. Strzelcy się do Krąglaku ściągnęli. Podkomorzy na Mędzińskiego mrugnął:

— Kto zabił?...

— To jest... tego... jaśnie wielmożny panie...—bąknął szlachcic.

— Książę zabił...

— A tak... jego książęca mość...

— Przy księciu więc honor kniei!...—oznajmił podkomorzy wszem w obec.

— Więcej niż kniei!...—ktoś podchwycił. Książę uratował całego obywatelstwa honor, który ten kot przeklęty

na pośmiewisko wystawił... Tyle pudeł!... Chryste Paniel!... Gdyby był uciekł, gdyby go był który z pospólstwa lub z chudaczków zgładził, nie śmielibyśmy ludziom w oczy prosto patrzeć... Księżciu chwała!...

— Wiwat książel!...

Wydobyto z wózka, na którym śniadanie jechało, star-ki flaszę i wypito za zdrowie księcia z czarki srebrnej wewnątrz pozłacanej.

I rozprawiano o fenomenie, przywołując na świadectwo tradycje polowań najślawniejszych i nazwiska myśliwych najzawołanszych. Ktoś opowiadał o wilku, co z miną drwiącą przeszedł pod ogniem strzelb dwiestu, aż zginął w końcu od guzika poświęcanego i padając, krzyknął: „Jezus Marya!“

— Taki też to był i wilk!...—zauważył z myśliwych jeden.

— Któż zaręczy, że ten zając, co gdyby nie jego książęca mość, byłby cało i zdrowo uszedł, nie należy do tej samej co wilk ów familii!...—odezwał się inny.

— Książę przecie guzikiem poświęconym nie strzelał...

— Nie, ale strzelał książę, co za święcenie stanie...

— Prawda!...—odezwano się chórem zgodnym.

— Książę pan wart guzika, a guzik księcia pana...—wyrwał się jeden z gorliwszych wyznawców mistycznego znaczenia znakomitych rodów.

Książę z uśmiechem zadowolenia pochwały przyjmował, zaręczając jeno, że polowanie lubi passyami i że pudłować zwyczajnie ma.

— Błysnął mi, na cel schwyciłem i jest... Nie rozumiem tylko, dla czego po moim wystrzale odezwał się wystrzał jeszcze jeden...

Podkomorzy zagadał to niedyskretne odezwanie się,

które zniweczyć mogło reputację, jaką księżę uzyskał, gdyby się dowiedziano, że ów „wystrzał jeszcze jeden“ danym został przez starego Mędzińskiego, który w okolicy całej, jako strzelec, posiadał opinię ustaloną.

Pojechano do kniei następnej, w tej ani omyka nie widziano. Obstawiono dalej brzezinę i wypłoszono cielę, które zginęło z ręki podkomorzego; w dębinie komissarz zastrzelił prosię. Próbowano oczeretów, w których się lisów spodziewano; próbowano darników i bodiaków, w których się wilki ukrywać lubią. Nie znaleziono nigdzie nic. Kłątwa starego szlachcica sprawdziła się z naddatkiem. Były i pudła, które on życzeniem strzelistem z niebios sprowadził; było i niepowodzenie, rzecz można, elementarne. Zwierzyna wyniosła się gdzieś z dóbr rozległych podkomorzego na dzień świętego Marcina i na szukaniu jej nadaremnie dzień cały spędzono, męcząc huczków, którzy pod przewodnictwem essaułów przebiegać musieli piechotą przestrzenie, przebywane przez panów na bryczkach, męcząc strzelców wiejskich, którzy los huczków podzielali. Pomiędzy strzelcami jednak, Mędziński wyjątek stanowił. Komissarz, dla księcia, woził go na bryczce swojej, pozwalając mu łaskawie siedzieć bokiem na półdrabku. Nie było to siedzenie wygodne; co się atoli na wygodzie traciło, to się na szybkości zyskiwało. Stary szlachcic wraz z jaśnie wielmożnymi i wielmożnymi na stanowiska przybywał, gawędkom się ich przysłuchiwał i obliczom przypatrywał.

Przypatrywał się też i śniadaniu, które o godzinie punkt jedenastej spożywać zaczęto na leśniczówce.

O śniadaniu tem wspominał często, dla tego i my wzmiankę o niem uczynimy. Woń onego pozostała mu we wspomnieniu na życie całe.

— Ach, jak pachło!... Ach, jak pachło!...—mawiał, opowiadając żonie lub sąsiadom.

Pachło, w rzeczy samej, przyjechał bowiem kucharz z gotowemi w rądlach i kociołkach przyrządzeniami, które na ogniu poustawiał i z których, gdy wieka podnosił, buchał opar aromatem zaprawny. W jednym kociołku odgrzewał się bigos, w drugim dusiły się zrazy zawijane, w trzecim gotowała się kasza na sosie grzybowym; na roźnie obracał się udziec sarni, do którego podlewa gotowała się w rądlu osobnym, na dziko zaprawiona; tam smażyły się jarzabki i kuropatwy, ówdzie przypiekały się pierożki, a dla rozgrzania zziębłych myśliwych, grzało się piwo ze śmietaną, z imbirem, z gałką muszkatołową, z serem w kostki i z grzankami z chleba.

Śniadanie to starczyło za obiad. Zastawiono je przed chatą leśniczego, na stołach improwizowanych, które bielezna stołowa i sprzęt kredensowy, przywiezione ze dworu, zmieniły w stoły najregularniejsze. Przywieziono też na furze osobnej i krzesła dla panów. Posiłek naprędce przeciągnął się godziny półtorej, w ciągu której przybyła podkomorzyna, w odkrytym powozie, z synem wyrostkiem lat dziesięciu i z córeczką lat pięciu w towarzystwie guwenera, Francuza, człowieka niemłodego i tak dalece uczonego, że zdaniem podkomorzyny, które podkomorzy podzielał w zupełności, edukacya podkomorzycy ubezpieconą była pod kierownictwem jego na przyszłość całą.

Przybycie podkomorzyny sprawiło wrażenie w towarzystwie. Panowie pozrywali się z miejsc, sunąc po kolei do ręki pani domu i składając pocałunki na takowej. Pani robiła sobie rum do księcia, który, próbując dwukrotnie nadaremnie udźwignięcia się z siedzenia, za trzecim dopiero razem zamiar swój do skutku przyprowadził i dla tego spó-

znił się nieco z oddaniem damie hołdu należnego. Na spóźnieniu tem atoli nie wyszła źle podkomorzyna. Książę szarmancko się uklonił, głowę serwetą utarł—czego nie czynili obywatele inni i odciskali na ręku podkomorzyny maczanych w sosach wąsów ślady—oczki przymrużył, oblicze w uśmiech ustroił i dyszkantem pisnął:

— Dzień dobry pani... Spodziewam się, że pani dobrodziejce dobrze się spało...

— Wybornie, mości książę...—była odpowiedź zapytanej.—Jakże się księżciu poluje?...

Jego książećca mość uśmiechnąć się raczyła.

— Któż jest bohaterem popisów cynegietycznych?...

— O co baba pyta?...—obiegiło śród szlachty zapytanie szeptane.

— Kto otrzymał palmę pierwszeństwa w łowczych zapędach?...

— Książę!...—odkrzyknięto chórem—zająca zabił!..

— Spodziewałam się tego...

— Uratował honor obywatelski!...

— Byłam tego pewną... *Imaginez-vous* (tu zwróciła się do guwenera), książę zająca zabił i honor obywatelski uratował...

— *Mon prince!*... jakże mnie to cieszy!...—przemówił Francuz.

— Ehę... ehę...—krechtał książę, szukając frazesu jakiegoś stosownego w głowie wielkiej, która, zdaje się, próżną była, niestety.

Pani odgadła snadź kłopot potomka rodu znakomitego, zmieniła bowiem treść konwersacyi, pytając:

— A młody książę Gotfryd?...

— Młody książę... ehm... bardzo dobrze...

— Zdrów?... wesół?...

— O, i zdrów i wesół...

— Czemuż wasza książęca mość nie był łaskaw zabrać go ze sobą?..

— O... bo... tego te... za młody jeszcze do polowań...

— Nie koniecznie na polowanie, ale możeby się rozerwał w towarzystwie mego Lolo i mojej Ludki... Przecież jest Lolo rówieśnikiem...

— A tak... tak... rówieśnikiem... Możeby się rozerwał... Nie pomyślałem o tem...

— Lolo, muszę waszej książęcej mości powiedzieć, kocha młodego księcia Godfryda... wyraźnie kocha...

— O?... Nie wiedziałem o tem... Książę Godfryd uszczęśliwionym będzie, gdy się dowie... Nie wątpię o tem, o! nie wątpię...

— Niechże książę siada... Panowie!...—przemówiła, zwracając się do grona myśliwych—zabierajcie się do przerwanego posiłku... Gdybym była wiedziała, że tyle ambarasu sprawię, byłabym wcale nie przyjeżdżała...

— Co za ambaras, pani podkomorzyno dobrodziejko!..—odzywały się ze stron różnych głosy protestujące.

— Proszę panów!... bigos na stole!...—przemówił podkomorzy.

Bigos aromatem uderzył. Myśliwi, z pewnym skruchy rodzajem, pozdrowili słynne danie, każdy zajął miejsce swoje i zapanowało milczenie ogólne, przerwane nie pierwej, aż w olbrzymich salaterkach i na talerzach nie pozostało ani odrobiny. Przerwanem ono zostało słowami podkomorzego:

— Nie pij po rybie wody, po kapuście wina... Podajcie-no tu miodu!...

Wystąpiły na stół butelki omszone.

— Pierwszy kieliszek, za zdrowie jaśnie oświeconego księcia, który uratował honor obywatelski!...

— Wiwat!...—krzyknęła szlachta głosem jednym.

Okrzyk ten knieje kniejom, ostępy ostępom podały.

Wypito duszkiem, haustem jednym. W czasach onych, blizkich epoki owej pamiętnej, w której kapucynu pewien garniec miodu wychylił i mysz wraz z miodem połknął, pić jeszcze umiano. Lano w siebie wina i miody, jak my dziś wyrodni potomkowie, wody lać nie potrafimy. Po kieliszku pierwszym nastąpił drugi, po drugim trzeci i t. d. Książę wniósł zdrowie gospodarza domu, solenizanta jutrzejszego. Ktoś zaproponował zdrowie gospodyni domu. Francuz nie należał do bigosu, znajdując go *par trop lourd* na swój żołądek; należał jednak do toastów spełnianych miodem, który mu smakował wielce. Po czwartym czy piątym kieliszku, zabrał głos i wypalił przemowę, której z wyjątkiem podkomorzyny i księcia, nie zrozumiał nikt. Zakończył ją wezwaniem:

— *Chantons l'amour...*

Cisnął na podkomorzynę spojrzenie zabójcze i zaintonował piosnkę jakąś z trylami, piosnkę, która była może arcydziełem sztuki śpiewania, z powodu której jednak szlachcice odzywali się półgłosem:

— Beczy jak koza za ogon kręcona...

Szlachcice nie znali się na pięknościach tego rodzaju— i kiedy Francuz zakończył z przyciskiem dosadnym:

— *Vive l'amour!...*

Podochocony obywatel jakiś, wpadając w rym, krzyknął:

— Hur hur!...

Krzyknięcie to wywołało śmiech gromki a ogólny, od wzięcia w którym udziału powstrzymać się nie mogli, ani dostojni książę, ani poważny podkomorzy, ani wielkomiastowa podkomorzyna, ani nawet zadąsany zrazu guwerner, który nie śmiechu a aplauzu się spodziewał.

Wyśmiało się obywatelstwo i o polowaniu sobie przy—
— Na łów, na łów, na łowy!... do zielonej dąbro-
wy!...—zawołał jeden z grona.

Podkomorzyna odjechała, polowanie wznowiono, prze-
noszono się z kniei do kniei do samego wieczora i powróco-
no z niezem—przepraszam, z zajęcem jedynym, który stano-
wił całe łowcze trofea.

Stary Mędziński, podczas śniadania, stał sobie na ubo-
czu, wachał, ślinkę połykał, przypatrywał się, przysłuchi-
wał i myślał o jedynaku swoim, który na chrzest czekał.
Co on tam zresztą myślał, o tem i sam dokładnie nie wie-
dział. Zaczęło mu się w głowie rozjaśniać nieco, gdy przy-
jechała podkomorzyna i przywiozła ze sobą dzieci dwoje.
Widok podkomorzycy i podkomorzanki zafrapował go.

— Mój Boże!...—rzekł w duchu do siebie.—Oto dzieci
pańskie... patrzcie no ich... Czy to one inaczej jakoś na
świat przyszły, jak mój chłopiec?... Ot, jednak... jak to
wygląda!... niby malowanie... niby laleczki... A mój?... Eh!...

Łzawo się staremu koło serca zrobiło.

I znów rozmyślał.

Rozmyślał na stanowiskach wszystkich, na których
daremnie strzelbę z odwiedzionem trzymał półkurczem.

Rozmyślając, na półdrabku komissarskim zajechał na
podwórzec dworski, z bryczki zeskoczył i do ganku pod-
biegł, zastępując podkomorzemu drogę.

— A!.. to ty Mędzińsiu?...

Szlachcic się do kolan panu pokłonił.

— Cóż mi powiesz?..

— Jaśnie oświecony książę zająca zabił...

— Cóż więc?.. To między nami...

— Między nami jest coś jeszcze, jaśnie wielmożny
panie...

— Chcesz powiedzieć: Słowo się rzekło, kobyłka u płota... W tem tylko źle, że ja nie wiem co to za słowo...

— Udaję się do łaski jaśnie wielmożnego pana...

— No?...

— Bóg dał mi syna, który jak raz przed polowaniem na świat przyszedł... Polowanie się nie powiodło, może się powiedzie chłopiec, jeżeli jaśnie wielmożny pan ujmiesz go w sieć łaski swojej pańskiej... Spolujesz, jaśnie wielmożny panie, i ojca i matkę i syna... Będziemy za ciebie Boga błagali... Chciałbym chłopca mego na człowieka wykierować...

— Jak mu na imię?... — zapytał podkomorzy zniepacka.

— Imienia nie ma jeszcze... Przybył na świat dziś przed dnia świtaniem... Zamiast wieść go do chrztu świętego, poszedłem za rozkazaniem pańskim...

— I dobrześ zrobił, mój Mędzińsiu...

— Uratowałem honor obywatelski... Ten zajac...

— Masz rację...—przerwał podkomorzy.—Możesz być pewnym łaski mojej... Czyś szlachcic?...

— Z antenatów, jaśnie wielmożny panie... Za świętej pamięci ojca jaśnie wielmożnego pana, brałem na kobiercu i gardłowałem za starostą nieboszczykiem...

— To dobrze... Wiesz-że co... Daj chłopcu twemu na imię Kacper, jak na imię było świętej pamięci ojcu memu, i jak podrośnie, przyprowadź go do mnie, przypominając mi zajaca...

Szlachcic w kolana się pokłonił. Podkomorzy odszedł w głąb domu.

II.

Nie masz skutków bez przyczyny—taką jest reguła historyozoficzna, która i w powieściarstwie zastosowanie swoje znajduje. Dla tego to, w opowiadaniu niniejszem bierzemy rzecz nieco zdaleka, sięgamy do przyczyn pierwotnych, które się następnie w wypadkach rozwiną, jeżeli los pozwoli nam powieść naszą do końca doprowadzić.

Będzie to powieść w wypadki różnego rodzaju obfita. Zapowiadam to z góry, zapowiadając oraz, że Kacperek, aczkolwiek zdaje się, iż około niego głównie interes się nawiązuje, nie jest powieści bohaterem. Bohater znajduje się jeszcze w regionach dla powieściarza nawet niedostępnych. Matka jego jest już na świecie; on zaś jeszcze nie. Zabierzemy z nim znajomość później nieco, rozwijając rzecz porządkiem chronologicznym, bardzo wygodnym pod tym względem, że nad konstrukcją powieści głowy łamać nie trzeba. Toczy się sama, jak na walcach.

Opowiadamy tedy.

Kacperek nie bohater, nie po bohatersku też prezentuje się publiczności czytającej. Występuje na scenę ultra-prozaicznie. Na początkowe chwile pobytu jego na tym świecie podślonecznym, spędzone w kołysce z łyka uplecionej i do belki na sznurach przywiązanej, rzucamy zasłonę.

Nie ciekawe to były chwile. Beczał coraz to głośniej i mocniej, nie dawał matce wysypiać się po nocach, wynadgrabiał jej trudy pierwszym uśmiechem, pierwszym puszczeniem się po podłodze na czworaku, pierwszym wymówieniem dwóch sylab „tatia“, wytłómaczonych wyrazem „tata“, pierwszym pokazaniem pierwszego ząbka, pierwszym staniem na nogach etc. etc. Matki wiedzą co to znaczy. Trzymano go w kołysce długo i nie wyjęto z takowej, aż sam z niej wylazł, na podłogę spadł i guza sobie ogromnego nabiał. Wówczas matka przeniosła go na łóżko obok siebie i on rósł, rósł, rodzicom na pociechę, począł chodzić, dalej biegać, na kiju jeździć, z batoga trzaskać, kurzawą na drodze się bawić i wiele obiecywać. Matka za cudowne miała go dziecko i była w nim rozkochana. Na rozkochaniu tem źle biedne kobiecisko wyszło, odezwała się bowiem razu pewnego:

— Ach!... ten mój Kacperek!... Co to za chłopiec!... Nie oddałabym go za złote góry... nie rozłączyłabym się z nim za nic na świecie...

Powiedzenie to było przypomnieniem, którego stary Mędziński sam po części unikał, przywiązawszy się do chłopca swego. Ponieważ jednak kobieta przypomniała, więc odpowiedział:

— Złotych gór nikt ci nie da, a rozstać się będziesz musiała...

— Jezus, Marya, Józefie święty!...

— Ha! trudna rada... Trzeba chłopca na człowieka kierować...

— A czyż on na człowieka nie wyrośnie pod okiem ojca i matki!...

— Wyrośnie!...—podchwycił stary. Cóż z tego!... Wyrość nie sztuka... Rośnie drzewo w lesie i bylina na polu,

rośnie bydlę i chłop... Trzebaby jednak, jakoś tego, żeby to on i rozumu trochę zachwyił...

— Jeżeli będzie miał rozumu tyle co ty, to i na co mu więcej?...

— Et... baba jesteś!...—odburknął Mędziński niecierpliwie.—U bab włos długi, rozum krótki... Zresztą, gadałem z panem podkomorzym i nie można, żebym z gęby cholewę robił... Jutro prowadzę Kacperka do dworu...

Chłopak miał wówczas lat pięć na szósty.

Matka ustroiła go w koszulkę z zaściżką, w spodenki czyste, włożyła mu na głowę kapelusik słomiany, uczyła go jak ma się jaśnie wielmożnemu kłaniać, przeżegnała krzyżem wielkim i wyprawiła z ojcem, któremu sprzeciwić się było i bezpotrzebnie i niebezpiecznie. Mędzińska nie rozłączyłaby się z synem za skarby żadne; nie mogła się z nim jednak nie rozłączyć na rozkazanie męża. Nie mogła nawet płakać jawnie przy tej okazji. Łzy ukradkiem obcierała i zdaleka spoglądała, jak ojciec z synem, wyszedłszy z podwórka, udali się wprost do dworu.

Podkomorzy miał zwyczaj przyjmować postulanta na ganku, jeżeli pora sprzyjała; jeżeli zaś nie sprzyjała, nie przyjmował ich wcale. Do spraw ekonomicznych trzymał komissarza i nie lubił, żeby go nudzono. Z tego powodu, kto się do niego bądź z poddanych, bądź też z czynszowników zgłosił, obowiązany był uzbroić się w cierpliwość i czekać na ganku godzinami całymi, aż jaśnie wielmożny wyjdzie raczy. Meldowanie nie było we zwyczaju. Domownicy nie pytali wcale o interes. Zdarzało się też nierzadko, że się czekało i czekało i w końcu odchodziło się z niczem, z postanowieniem niewracania więcej, albo też ćwiczenia się w cierpliwości w dniu jutrzejszym i w następnych.

Mędzińskiemu powiodło się szczęśliwie, nie pod tym

atoli względem, że się doczekał po trzech godzinach czekania, a pod tym, że powściągnąć potrafił niecierpliwość chłopca, któremu najrozmaitszych zachciewało się rzeczy: to do domu wracać, to po podwórzu biegać, to kwiaty z kłębów rwać, to przez okno do wnętrza dworu zaglądać, to hałasy wyprawiać, to śmiać się, to płakać. Utrzymać go w karbach spokoju i przyzwoitości była to prawdziwa sztuka. Biedny ojczysko, raz prosił, znów groził, obiecując to orzeszków garść całą, to różgą, nie byłby jednak z buntującym się mu co chwila synem do końca trafił, gdyby wypadkiem nie znalazł zakłęcia, które go od wybryków powściągało:

— Zobaczysz jasnie wielmożnego pana...

Chłopakowi jasnie wielmożny wydawał się snadź dziwolągiem. Stawał jak wryty, głowę otwierał i zachowywał się czas jakiś spokojnie; gdy zaś znów niecierpliwość okazywał, stary znów do zakłęcia się uciekał i w ten sposób dotrzymać zdołał syna na wodzy, póki podkomorzy nie wynurzył się na ganek.

Że Kacperek miał trochę racyi, jeżeli się mu wydawało w rzeczy samej, że jasnie wielmożny jest dziwolągiem jakimeś, to miał.

Mieszkał niegdyś na Podolu szlachcic pewien, obdarzony od natury wysokim talentem poetyckim. Szlachcic ów na utworach swoich podpisywał się „Stach z Zamiechowa“. Z utworów jego mało bardzo do druku się dostało. Autor ciskał je na prawo i na lewo, i była epoka, w której zasypał był niemi Podole. Krążyły w odpisach, powtarzano je z pamięci—pomiędzy innymi kursował szczególnie poemacik jeden, w którym autor wyprowadza na scenę Boga Ojca, wychodzącego na niebieski ganek i spoglądającego na ziemię. Szkoda, że ustęp ten wypadł mi zupełnie z pamięci,

byłby mi bowiem posłużył do opisania dobrze postaci podkomorzego, wychodzącego niby bóg jaki Olimpu: w obłokach dymu filtrującego się przez antypkę, bursztyn i usta, w szlafroku pomarańczowym w kwiaty czerwone, w pantoflach żółtych, w chusteczce zielonej na szyi, w kutasach z przodu i z tyłu i w nienajgorszym humorze. Gdy się ukazał, szlachcic synowi ostatniego udzielił napomnienia, targnął go za ramię i odezwał się z przyciskiem:

— Cyt!...

Niepotrzebnie jednak to uczynił. Chłopczyna skamieniał. Ten cybuch, ten bursztyn, te barwy, te kutasy, te pantofle, ta mina nakoniec nie do opisania—mina potentata, świadomego potęgi skinienia swego jednego—wywarły na niego wrażenie takie same, jakie przypisywano ongi oczom Meduzy. Skamieniał z gębą otwartą i z oczami szeroko rozwartemi. Stary Mędziński pokłonił się panu do kolan, i:

— Ukłoń-że się jaśnie wielmożnemu...—rzekł do syna.

Mógł jednak do niego grzmiącemi, jak działowe wystrzały, wyrazami przemawiać, chłopczynaby się ani ruszył. Ojciec zdjął mu kapelusik z głowy, on o tem ani wiedział. Barwy w oczach mu migwały; podkomorzy wydawał się mu nie człowiekiem, a co najmniej pawiem, papugą lub czemes podobnem, jeżeli nie jednym z zesłańców owych, którym niebiosa łaskawe zstępować na ziemię niekiedy pozwalają ażeby przypominać ludziom, że tam w górze myślą o nich i mają na nich oko. Stał niby wryty, wlepił w jaśnie wielmożnego oczy i był świadkiem głuchym rozmowy następującej:

— A, to ty, Mędzińsiu!... Nie poznałem ciebie...

— Tak jest, to ja, jaśnie wielmożny panie... Ściele się do stópek jaśnie wielmożnego pana...

— Podstarzałeś setnie...

— Lata, jasnie wielmożny panie... Lata, cóż robić!...
Płyną, *ninaczej* ta woda... nie zatrzymać ich przetakiem...

— Aleś krzepki jeszcze...

— Ot, jak mnie jasnie wielmożny pan widzi.

— Czy będzie na jutro pogoda?...—zapytał podkomorzy, puszczając z ust kłęb dymu i powodząc wzrokiem po niebie.

Mędziński także okiem po niebie powiódł i odpowiedział:

— Bóg to wiedzieć raczy... Znosi się niby na pogodę... Jasnie wielmożny panie—zaczął—przychodzę do jasnie wielmożnego pana (tu się nisko pokłonił).

— Z interesem... — podchwycił podkomorzy. Wiesz przecie, że interesa wszelkie załatwiają się na komissaryi... Od tego trzymam komissarza, któremu płacę i okradać się pozwalam, ażeby sobie zapewnić spokój... Idź więc do niego mój kochany...

— Ależ ja, jasnie wielmożny panie... ja... tego... te... — bąkał zmieszany szlachcic—ja... względem tej obietnicy najłaskawszej...

— Jakiej obietnicy?...—zagabnął podkomorzy porywczozie nieco.

— A tej-że... e... tej... co to od zająca...

— Od zająca?... Czyś ty nie pijany, kochanku?...

— Jasnie wielmożny panie!...—zawołał szlachcic.— Niech mnie Bóg na tym oto chłopcu (tu Kacperka za ramię ujął i przed sobą go postawił) ciężko pokarze, jeżeli dziś kieliszek wódki wypił...

— Cóż to za chłopiec?...

— A ten-że sam, co się urodził tego dnia, kiedy to... ten zając...

Podkomorzy ramionami rzucił. Snadź wydawać się

mu musiało, że szlachcic, jeżeli nie z gorzałką, to z zajączkiem w głowie przyszedł i wypłata koszałki opałki.

— Ten zajac—ciągnął Mędziński—co to sześćdziesiąt pudeł zjadł i jaśnie oświecony książę niby go zastrzelił...

— Aaha!...—zawołał podkomorzy przeciągle.

— Jaśnie wielmożny pan przypomina sobie...—odezwał się szlachcic tonem otuchy odzyskanej.

— A jakże... Przypominam sobie... Będzie temu?...

— Lat pięć się skończyło na święty Marcin, zeszłej jesieni... Będzie lat sześć, jeżeli, Bóg da, jesieni tej doczekamy...

— Przypominam sobie...—powtórzył pan. Książę Norbert Gamajda...

— I jego książęca mość spudłował, ja poprawił, zajac skoki wyciągnął i ani zipnął, bom go w makutrę chlasnął, a jaśnie oświecony książę... uratował honor obywatelstwa...

Podkomorzy uśmiechnął się i dymem z fajki zaciągnął.

— Owóż—prawił Mędziński ośmielony—chłopiec ten przyszedł wówczas na świat i jaśnie wielmożny pan kazał mi go Kacprem, przez pamięć na jaśnie wielmożnego starostę nieboszczyka, nazwać i łaskę swoją pańską dla niego przyobiecał... Owóż tedy, jaśnie wielmożny panie (tu szlachcic ku ziemi, z ręką do stóp podkomorzego wyciągniętą, się pochylił), przychodzę najłaskawszą obietnicę przypomnieć...

Podkomorzy, poraz pierwszy, rzucił na Kacperka okiem z ukosa, zmierzył go od stóp do głowy i odparł:

— I cóż chcesz, żebym ja ze smarkaczem takim robił?...

— Jaśnie wielmożny panie, ja tylko przypomnieć przychodzę...

— Myślisz więc, że ja zapominam, com obiecał?...

— Niech mnie Pan Bóg bronil!...—zawołał szlachcic.—
Ja tylko... ja tego... ja te... Baba moja przypomniała mi,
a że chłopiec podrośł już trochę...

— Niechże podrośnie jeszcze trochę... Nie obiecywa-
łem ci przecie, że do niego niankę przyjmę... Wyniadczy go
sam z babą twoją, a gdy będzie miał lat dziesięć, dwanaście
przynajmniej, wówczas mi go przyprowadź. Znajdę dziu-
rę jakąś, którą nim zatkam... Teraz słońce... sam osądź...

— Tak to ono jest, jasnie wiadomożny panie...—odrzekł
szlachcic, kłaniając się.

— Otóż widzisz...—podchwycił pan, nie dając mówić
dalej ojcu, który chciał powiedzieć, że syn stanowi całą na-
dzieję, całe szczęście jego. Jak będziesz miał interes jaki,
to udaj się na komisaryę...

— Ale co się chłopca tyczy?...

— Co do chłopca, zobaczymy... Bądź zdrow...

Nie pozostawało Mędzińskiemu nic innego, jak oddać
ukłon głęboki, wzięść syna za rękę i wynieść się z po-
dwórca.

Rezultat ten bytności pierwszej u podkomorzego wiel-
ką matce radość sprawił, z tego mianowicie względu, że
zniechęcił trochę ojca do podkomorzego. Wyrażenie mia-
nowicie „dziurę zatkać“ wydało się staremu szlachcicowi
podejrzaniem.

— Co to!... Myśli dzieckiem mojem dziury zatykać?...—
mówił sam do siebie.

W opowiadaniu wszelako, którem żonie i innym z roz-
mowy z panem sprawę zdawał, o wyrażeniu tem przemilczał.
Znaczyło to, że nie brał go do serca nader żywo.

Kacperek tedy pozostał w domu pod okiem ojca i ma-
tki, albo raczej, po za ich okiem, oni bowiem, pracą zajęci,
czasu nie mieli zwracać baczną na chłopca, który też rósł

sobie wśród innych dzieci wiejskich, jak rośnie żrebak w stadninie, bujał, brykał, tem się jedynie od dzieci wiejskich odróżniając, że nosił spodeńki nie na oczkórze, a na pasku na guziki kościane zapinanym i koszulkę z kołnierzykiem wykładanym. Spodeńki i koszulka ze zgrzebnego były płótna. W ogólności, szlachta czynszowa odznaczała się od chłopów krojem jeno odzieży, sporządzanej z materyału tegoż samego—oznaczeniu temu podlegały i dzieci. Chłopięta szlacheckie pyszniły się guzikami, mając się za istoty wyższe od chłopskich; wyrastając jednak wśród tych ostatnich w warunkach zupełnie jednakowych, jak nasz Kacperek, który, jakeśmy wyżej powiedzieli, bujał, brykał, następnie gąsięta pasał, kurczęta od jastrzębi bronił, prosiąt doglądał, dalej i z cielętami w pole chodził, przytem, kopce sypał, ptaszęta z gniazd wybierał, na jagody i na grzyby do lasu biegał, słowem, wychowywał się nie lepiej i nie gorzej, jak rówieśni mu, poddani jaśnie wielmożnego Kostrzewickiego, a mieszkańce wsi Ohrebyszcze, która wraz z przyległościami, jak również z kilku innymi wioskami, stanowiła majątek ziemski rozległy i intratny. Z Kacperkiem jednak, albo raczej w Kacperku, dziwna jedna zaszła zmiana. Jaśnie wielmożny, w postaci pawia, papugi, czy też zjawiska nadziemskiego nadzwyczajne na umysł jego wywarł wrażenie. Chłopczyzna o zjawisku tem roić zaczął, a to w ten sposób, że stopniowo zdawał sobie z widzenia sprawę coraz to bardziej fantastyczną. Zrazu nie wiedział, co to się stało. Na zapytania matki, odpowiadać nie umiał.

— Cóż, Kacperku, widziałeś pana?...

Chłopiec oczęta w matkę wlepiął i milczał.

— Cóż on mówił?... Czy mówił co do ciebie?... czy cię nie pogłaskał pod brodę?...

I na te zapytania milczenie jedyną było odpowiedzią.

W kilka dopiero dni opowiadać zaczął, ale jak! Mówił o dymie i o słońku.

— Taki był dym... dym... dym (tu chłopiec paluszką w powietrzu kręcił) a w dymie tym słońko chodziło raz od pyska, znów do pyska...

Dalej opowiadał, że widział u jaśnie wielm oźnego uszy bardzo długie i nos wielki, a z nosa wylatywały rojami muchy jakieś błyszczące. Znów w przypomnieniu przywidował się mu ogon i rogi; innym razem skrzydła, twarz zaś pana świeciła niby monstrancya. Dziwadła i koniec. Rojenia te atoli, powtarzając się i rozwijając, były dla ojca pewnym rodzajem *memento*, utrzymującego go w raz powziętem postanowieniu, tembardziej, że syn okazywał do pana ciekawość niepowściągniłą. Chłopiec dopytywał się od czasu do czasu:

— Tatuńciu, a kiedyś pójdziemy do jaśnie wielmoźnego?...

— Poczekaj, aż ci się lat dwanaście skończy...—była niezmienna ojca odpowiedź.

Kacperek pilnował swoich dwunastu lat i kiedy mu się takowe na święty Marcin skończyły, ojcu spokoju nie dawał.

Stary jednak kalkulował.

— W jesieni iść nie wypada, ani też zimową porą... poczekam do wiosny...

Na wiosnę przedstawił się z synem poraz pierwszy, więc uważał to już jako *antecedens legalny*, od którego odstępować nie wydawało się mu rzeczą przyzwoitą. W tym więc duchu synowi odpowiadał.

— Da Bóg wiosnę doczekać... pójdziemy...

Ażeby jednak rzecz zupełnie po formie zrobić, udał się najprzód sam do pana komissarza, któremu zwięźle i wy-

rażnie interes przedstawił i który mu na to odpowiedział ścisnieniem ramion i słowami następującemi:

— To nie moja rzecz...

— Nie mógłby wielmożny pan komissarz jaśnie wielmożnemu panu podkomorzemu słówkiem natraćić?...

— Czy to ja nie mam do natrącania rzeczy ważniejszych!...

— Tak... no... zapewne... Myślałbym przecie, żeby to ono wielmożnemu panu nie zawadziło...

— Nie zawadziło... hm... Posądzonoby mnie o konaszchy ze szlachtą czynszową, jak posądzają o zmywy z kupcami zboża... Idź, stary i nie nudź mnie... Mam ja i bez chłopca twego kłopotów na głowie niemało... Idź wprost do jaśnie wielmożnego podkomorzego... Głowy ci przecie z karku nie zdejmie, a jeżelibyś w kark oberwał, to ci to honoru nie nadweręży... Wiesz zapewne—dodał tonem przekąsu—że „słowo pańskie ciepłe, grzeje jak kochuch“...

Nie było rady. Nie pozostawało, jak tylko powtórzyć próbę zrobioną przed laty sześciu. Stary Mędziński przeto, kazał babie ogarnąć chłopca ochędźnie, sam się odział odświętnie i ruszył do dworu.

Zapisane snadź było w księdze przeznaczeń, że mu się będzie z podkomorzym wiodło, tym razem bowiem nie czekał i pół godziny. Podkomorzy wyszedł jakby do niego umyślnie, i zoczywszy go, zwrócił się do niego z zapytaniem następującem:

— Masz ty, stary, oczy dobre?...

— Niczego, jaśnie wielmożny panie...

— Patrzaj-że się na drogę... hen... tam... Nie widzisz tam czego?...

— Widzę, jaśnie wielmożny panie...

— Cóż przecie?...

— Widzę pojazd... Konie wzdłuż... sześcioro...

— Hm... To dobrze...

To rzekłszy, pan dłoń do czoła przyłożył, i zasłaniając nią oczy od słońca, przypatrywał się z zajęciem karcie, która się powoli po drodze do Obrebszcz prowadzącej posuwała. Droga widną była daleko. Z ganku dworskiego wzrok sięgał na odległość pół mili przynajmniej, obejmując najprzód wieś rozrzuconą malowniczo w parowie, w którym, zatrzymana groblą rzeczka, rozlewała się w staw obszerny, odbijający w sobie, niby w zwierciadle, wieże dwóch cerkwi i dużo chat wieśniaczych nad brzegami onego pobudowanych, i wymykając się następnie w pola, pomiędzy łąny, śród których wiły się drogi i widzieć się dawały tu i owdzie krzyże wysmukłe, rozstawione niby wartownicy w chrześcijańskim kraju. Po jednej z dróg toczyła się karetka, ściągająca na siebie uwagę podkomorzego.

— To dobrze...—powtórzył sam do siebie.—Ta karetka wiezie mi spokój do domu... Cóż ty mi powiesz?...

Zapytanie odnosiło się do starego Mędzińskiego.

— A cóż!...—odparł zapytany, kłaniając się uniżenie.—Przychodzę znów wedle obietnicy i wedle chłopca...

— Jakiej obietnicy?... jakiego chłopca?...—rzucił pan od niechcenia.

— Obietnicy jaśnie wielmożnego pana; chłopca mego... oto tego, którego przyprowadzam do łaski jaśnie wielmożnego pana...

Podkomorzy z ukosa rzucił okiem na Kacperka, nie osłupiałego już jak dawniej, zdziwionego tylko nieco. Zdziwienie jego ztąd pochodziło, że nie znalazł jaśnie wielmożnego takim, jakim go sobie w imaginacyi przedstawiał. A gdzie!.. zupełnie nie ten. Widział przed sobą nie istotę

jakaś pawio-papuzią, a zwyczajnego śmiertelnika, w surduty i spodnie nankinowe ubranego człowieka, który na niego spojrział i ojca zapytał:

— Cóż więc, ów chłopiec?...

— Mój syn, jaśnie wielmożny panie, nazwany Kacprem na rozkaz jaśnie wielmożnego pana, urodzony w tym samym dniu, w którym do jednego i tego samego zajęcia spudłowało sześćdziesięciu strzelców, a w ich liczbie i jaśnie oświecony książę Norbert Gamajda... Działo się to w dzień świętego Marcina, lat temu dwanaście... Zająca zabiłem ja, i z tego powodu jaśnie wielmożni i wielmożni panowie pili zdrowie jaśnie oświeconego księcia na leśniczówce, a jaśnie wielmożny pan obiecał mi najłaskawiej wziąć syna mego pod opiekę swoją i wykierować go na człowieka...

Stary wypowiedział to tchem jednym. Miał zamiar mówić jeszcze coś więcej, odetchnął bowiem i zaczął „a więc“, lecz podkomorzy krzyknął:

— Lewicki!...

Lewicki było to nazwisko kamerdynera, który też niebawem na ganku się zjawił.

— Weź chłopca tego (tu oczami na Kacperka wskazał) i opoleruj go trochę!...

— Słucham jaśnie pana...

— Trzeba go odziać inaczej...

— Sruł właśnie w oficynach liberyę sporządza, na rozkaz jasnej pani...

— Otóż to... Niech-że ogarnie chłopca tego, a komisarzowi powiesz, ażeby go do rejestru wciągnął z pensją stosowną... sześć rubli rocznie i odzież...

— Słucham jaśnie panie...—była ostatnia kamerdynera odpowiedź, po której zwrócił się do Kacperka, i kiwnąwszy głową na niego, rzekł:

— Chodź...

Chłopiec poszedł za kamerdynerem.

Stary Mędziński, w osłupieniu prawie, wysłuchiwał rozmowy powyższej i zaledwie wiedział, jak mu syna z rąk wzięto. Spoglądał wzrokiem błędnym, to na drzwi, za którymi Kaeperek zniknął, to na podkomorzego, który się wciąż pokazującemu się coraz to wyraźniej na drodze pojazdowi przypatrywał. W głowie starego zapanował chaos. Nie umiał zdać sobie sprawy z tego, co się stało. Nie chciał wierzyć temu, że syn jego postawił krok pierwszy na drodze karyery lokajskiej, która, bądź co bądź, wydawała się mu wstrętną. Nie wiedział jednak, co począć. Dyskutować z panem, umawiać się z nim, wskazówki mu dawać, wydawało się mu rzeczą potworną; zgodzić się na to, ażeby dziecko jego na lokaja się kierowało, wydawało się mu rzeczą niegodną. Jak tu wybrnąć z trudności tak nagle i nie spodzianie spadłej? Myślał w pokorę uderzyć, do nóg pańskich się rzucić i... i... Nie wiedział co począć.

I gdy tak stał w zakłopotaniu, na ganek wyszła pani.

— A nuż do pani uderzę?...—błysnęła staremu myśl w głowie.

Nie mógł jednak myśli tej do skutku przyprowadzić niezwłocznie, podkomorzyna bowiem ani na niego spojrzała, ani zważała, że z boku znajduje się istota jakaś człowiecza w kapocie z grubego sukna, z laską w rękę i z głową łąsą pokornie pochyloną, a z obliczem takim, iż mogłoby służyć za model do obrazu, na którymby malarz przedstawić chciał starego Polaka. Zajętą była czem innym. Podeszła do podkomorzego i zapytała:

— Więc?...

— Spełnione pragnienia twoje...—odpowiedział podkomorzy.

— Jadą?...

— Widzisz ich pod krzyżem?... Wjeżdżają właśnie w kołowrót... będą tu za chwilę...

— Będiesz ich spotykał na ganku?...

— Po to właśnie wyszedłem... Cóż Ludka?...

— Było trochę fochów, ale to przeminęło... Rola ofiary podobała się jej widocznie... zwyczajnie młoda, rozmazana główka...

Podkomorzy westchnął.

— Pan byłeś i jesteś ojcem zbyt słabym...—odezwała się podkomorzyna z przyciskiem, odpowiadając niejako na westchnienia małżonka.

— Niesłusznie obwiniasz mnie, Klareczko...—odrzekł podkomorzy łagodnie.

— Zawsze z dziećmi przeciwko mnie...

— Zawsze z tobą, moje życie!...—podchwycił mąż. Przy tobie stoję i stać chcę...

— A jednakże... okazywałeś tyle dla romansowych chimer Ludki pobłażania!...

— Żal mi było dziecka... Proszę cię, zastanów się tylko, wszak ona rzeczywistą robi z siebie ofiarę...

— Co za ofiarę!... Człowiek młody...

— Młody, goły i taki, z któregooby wykroić się dało ludzi czterech tuszy dobrej, a przytem... hm... przytem... jakby to powiedzieć?... No... Nie nader dowcipny...

— Ah! co tam!... *il ne manque pas cependant d'un certain esprit...*—rzekła pani po francuzku.—Tęgo mu odmówić nie można... Co zaś do majątku, za ten mitra stanie... *Ça vaut quelque chose....*

— Zapewne... Dla tego też, widzisz moje życie, jestem z tobą...

— W tej chwili słyszeć się dało palenie z bata. Pani

dała jeszcze panu rozporządzenie tyczące się salonu, do którego goście wprowadzeni być mieli, i sama znikła z ganku.

Stary Mędziński znów powrócił do zamiaru rzuca-
nia się podkormorzemu do nóg, lecz, zanim się zdecydowa-
wał, zajechała przed ganek karetą i zatrzymała się. Ka-
reta należała do rodzaju pojazdów owych, które zwano „ar-
kami Noego“, z powodu, iż mieścić w nich można było ro-
dziny całe z niankami, mamkami, z pieskami, kotami, małp-
kami, papugami i kanarkami. Miała przypłowiałe nieco
herby z boku na drzwiczkach i z tyłu na pudle, resory wy-
sokie, w budzie lufty dla odnawiania powietrza wewnątrz;
pomalowaną była na żółto. Wewnątrz znajdowało się
dwóch jegomości, siedzących jeden naprzeciw drugiego.
Jednym z nich był znajomy już nam książę Norbert Ga-
majda, mąż, jak wiemy, okazały, który dla tego sam siedze-
nie zajmował, że obok niego ktoś drugi pomieścićby się nie
mógł. Drugim był dostojny syn jego, ów młody książę
Godfryd, o którym była wzmianka w rozdziale poprzednim,
z którym jednak zabranie znajomości odłożyć musimy do
następnego.

Przybycie tych panów zniewoliło starego Mędzińskie-
go do zaniechania zamiarów wszelkich. Westchnął stary
szlachcic głęboko, ręką machnął, syna Bogu polecił, wy-
niósł się z dworskiego podwórca i za wrotami dopiero czapkę
na głowę włożył.

III.

Próżność jest przywarą nader pospolitą. Choroba ta, w rodzaju ospy naturalnej, trapi ludzkość biedną, czepiając się szczególnie natur słabszych, jakimi są niewiasty. Przyczynia się do tego potężnie wychowanie, jakie się mianowicie pannom posażnym daje, wychowanie, krzywiące w tych biednych istotach pojęcia o świecie, o życiu, o obowiązkach, o zadaniach i celach ludzkich, a wszczepiające w nie natomiast próżność, próżność straszliwą, wygórowaną, wyuzdaną, osłoniętą jeno polorem, na który składają się wyuczone w małpi sposób formy pożycia towarzyskiego, zaprawne jedwabnemi słówkami, uśmiechami i miłosiernemi uczynkami.

Uwagi powyższe odnoszą się do pani Klary Kostrzewickiej, małżonki pana Marcina i matki pana Karola i panny Ludwika.

Podkomorzyna w gruncie nie była kobietą złą. Niezszczęście chciało, że urodziła się panną posażną i z tej przyczyny dano jej wychowanie z baczeniem na to, że nauka nie może być dla niej przydatna, a to dla tego, raz, że jest kobietą, powtóre, że ma pieniądze. Polerowano ją jednak, to znaczy, karmiono umysł jej pianką nauki, przez co rozwinęto w niej przywarę spólną całemu rodzajowi ludzkiemu do stopnia potęgi najwyższej. Próżność ją rozpierała.

Wyszła za podkomorzego. Była to partya bardzo dobra i zupełnie odpowiednia, tak pod względem majątkowym, jak pod względem znaczenia. Podkomorzy, obok majątku znacznego, posiadał wielkie w obywatelstwie poważanie, wyprowadzał się z senatorów, miał rozum w ilości jak na potrzeby powiatowe dostatecznej, miał swadę, umiał się i wypisać i wyjęzyczyć, słowem, był to w okolicy swojej brylant, który prochu nie wynalazł, któremu jednak szlachcice we wszystkim wyższość jednogłośnie przyznawali. Podkomorzyny atoli to nie zadowalniało—czemu?—mogła była wyjść za kogoś lepszego. Uważała więc siebie za pewien rodzaj ofiary, wydanej na pastwę przez rodziców własnych. To mniemanie jej odbiło się na pożyciu jej małżeńskim, które uczynić potrafiła pełnem kolców dla małżonka, nie poczuwającego się względem niej do winy najmniejszej. Sceny małżeńskie, przychodzące jak burza bez chmur i bez racyi jakiegokolwiek, stały się chlebem powszednim. Podkomorzego irytowało to zrazu, rzucał się i zżymał, staczał dysputy, w których, zdawało mu się, i racya i logika po jego znajdowały się stronie, i przekonał się tylko, że racya i logika są bronią do niczego w walkach z małżonką. Dał więc za wygranę. Wycofał się powoli z pola, na którym przychodziło do styczności z żoną, wypuścił jej we władanie absolutne głos pierwszy we wszelkich kwestyach między-małżeńskich, odwrócił się od dzieci i spokoju nie uzyskał. Ona była wciąż ofiarą; on był męczennikiem. Sztuka pożycia małżeńskiego zeszała do zachowywania *decorum* w obec ludzi i tego też dokazał, że ludzie go poważali, żona gryzła.

Podkomorzy w końcu został filozofem.

— Niech gryzie...—powiedział sobie.—Co mi tam!

Podkomorzyna przyjęła do Karolka guwernera Francuza, pana de Lurey, człowieka, co chociaż abusiem nie był,

posiadał jednak, jak abusie, wiadomości encyklopedyczne i moralność formułkową bez zasad żadnych. Podkomorzy byłby wolał syna oddać do szkół publicznych. Uledez wszakże musiał żonie, która, we względzie szkół, nie miała nic przeciwko nauce, ale przeciwko towarzystwu.

— Jakto, mój Lolo miałby się pospolitować w zbiorowisku Bóg wie jakim!... Na to nie pozwolę za nic w świecie!...

I na swoim postawiła. Lolo pobierał nauki od pana de Lurcy, bez metody, bez systemu, bez programu żadnego, skacząc z przedmiotu na przedmiot i zbierając ziarenka wiedzy niezdolne umysłu zapłodnić, a tylko imaginacją roziskrzyć.

Podkomorzyna przyjęła do Ludki guwernantkę, także Francuzkę, jedną z owych pozytywek nauczaniu poświęconych, co to, umiejąc niby wszystko, nie są w stanie gruntośnie nauczyć niczego. Guwernantka nazywała się ponętnie, panna de Maintenon, grała, śpiewała, tańczyła, rysowała, była przytem nie stara i cale przystojna a rodziła się w Paryżu, łączyła więc w sobie doskonałości wszelkie. Z jej przybyciem, edukacja się ukompletowała pod dyrekcją naczelną samej pani. Pan de Lurcy i panna de Maintenon dopełniali się wzajemnie, rozpoczynając lekcye nigdy wcześniej jak o dziesiątej, a i później w dniach niektórych, i ciągnąc takowe nigdy dłużej jak do dwunastej. Przed dziewiątą służba jeno we dworze wstawiała. Muzyka odbywała się w godzinach popołudniowych, rysunek w porach dnia nieoznaczonych, wieczory zaś spędzano na tańcach, w których udział brała nierzadko i podkomorzyna, pod pozorem dawania dzieciom dobrego przykładu. Gdy goście się zdarzali, co często się przytrafiało, wówczas tańce występowały pod postacią popisów solowych, lub też zmieniały się w impro-

wizowaną ogólną zabawę, kosztem nauki, która na dni parę, w razie takim, szła w zawieszenie.

Tryb ten wychowania musiał podkomorzego zadowalać. Dzieci, zdaniem podkomorzyny, czyniły postępy olbrzymie.

Czyniły postępy rzeczywiście, lecz w nasiąkaniu owemi wiadomostkami łatwemi, które nauka seryo jako plewę odwiewa. Poznawały one życie ze strony onego wielkoświatowej, którą anegdota tłumaczy, dowcip uświetnia, kaprys zapełnia a formalizm otacza.

Wychowanie samo przez się, w sposób niejako naturalny, podzieliło się na ustępy, których opisywać nie będziemy, a tylko je charakteryzujemy tytułami ogólnemi:

Ustęp pierwszy: romans pana de Lurcy z podkomorzyną, przerwany deklaracją, z okazji której pani wytłumaczyła jasno Francuzowi, że go rozumie, że nad stanem duszy jego ubolewa, że atoli uczuć jego podzielać nie może, z powodów wiadomych tylko jej jednej a drugiemu Bogu.

— Bądźmy przyjaciółmi, panie de Lurcy...

— Dla czegoż przyjaźni nie podnieść o jedną nutę wyżej?...

— Dla tego... że... widzi pan... musielibyśmy się rozstać...

Nie wiadomo, jaki właściwie ostatecznie te wyrazy sens miały. Przypuszczamy, że podkomorzyna wymówiła je w znaczeniu romantycznym, nastąpiło bowiem po nich westchnienie, głębokie i wnet stłumione. Pan de Lurcy jednak wziął je w sensie pogroźki, odnoszącej się do arcykorzystnej posady, jaką przy podkomorzym zajmował. Wzięcie ich w tym sensie zbawienny na zapaly jego miłosne wywarło wpływ. Z kochanka ognistego stał się odrazu przyjacielem wiernym konfidentem wypróbowanym.

Ustęp drugi: romans podkomorzego z panną de Maintenon, prawdopodobny, ale nie prawdziwy, a to dla powodów wielu a wielu, z których wymienimy tylko dwa: najprzód obawa—podkomorzy stłumiłby w sobie miłość najrzeczywistszą, byle się podkomorzynie nie narazić; powtóre, ta okoliczność, że, jako dziedzic włości rozległych, uważał siebie za ogrodnika, mającego pełne i niezaprzeczone prawo do zrywania kwiatów z grządek własnością jego będących. Grządkami były, w oczach jego, włości, kwiatami poddanki.

Francuzka posiadała zaletę jedną wysoką, nóżki prawdziwie paryzkie, cudnie piękne. Podkomorzy może się i znał na tem, groza atoli podkomorzyny czyniła go i ślepym i głuchym, co go jednak nie uwolniło od scen paru burzliwych w stopniu najwyższym i od konieczności błagania żony o przebaczenie. Podkomorzyna znalazła się wspinałomyślnie. Przebaczyła mężowi, nie oddaliła Paryżanki i tę jeno satysfakcyę sobie zrobiła, że przedstawiła panu de Lurcy bezmierność ofiarności własnej.

— Pani!...—zawołał ten ostatni w uniesieniu. Pani jesteś kobietą nadzwyczajną (*une femme extraordinaire*)!...

— Wszystko to dla dzieci...

— Matki podobne znajdują się tylko pomiędzy Polkami!...

— Spełniam jeno powinność moją...

— O! pani!... Takie powinności spełnianie nazywa się poświęceniem... Znam jedną tylko kobietę, do pani podobną...

— Którą?...—zapytała podkomorzyna z akcentem zdziwienia.

— Królowę francuzką, ale Polkę... Marya Lekcińska...

— Marya Leszczyńska... chcesz pan powiedzieć zapewne...

— *C'est ça...* Trudno mi wymawiać nazwiska polskie... ale nie doznaję trudności najmniejszej w admirowaniu niewiast polskich... Pani jesteś kobietą niepospolitą... Trzeba panią umieć poznać i cenić...

— Ach! panie de Lurcy... — westchnęła podkomorzyna.

Ustęp trzeci, obejmujący epokę paruletnią, upłynął na układaniu wielkiego planu, pomysł którego urodził się w głowie podkomorzyny, połączenia węzłem małżeńskim pana de Lurcy z panną de Maintenon. Plan ten atoli rozbił się o szkopuł jeden, który wyrósł nagle i niespodzianie. Wszystko już było ułożone. Pani zwierzyła się guwernerowi i guwernantce i sprowadziła pomiędzy nimi deklarację. Para gruchała już na ton amoroso i chodziło o nic więcej, jak o naznaczenie dnia ślubu, kiedy panna de Maintenon otrzymała z Francyi list, donoszący jej, że gdyby wyszła za pana de Lurcy, to byłaby drugą jego żoną żyjącą.

— Widzisz pani, co za zbrodniarz!...—mówiła Paryżanka, odczytując list podkomorzynie.—Nie wzdrygał się przed popełnieniem poligamii...

— Nie bądźmy w sądach naszych o bliźnich zbyt surowi...—zauważyła podkomorzyna.—Pan de Lurcy jest pomimo to człowiekiem bardzo dystyngowanym... Proszę nie robić z tego esklandry...

— O tem ani myślę!...—była Paryżanki odpowiedź.—Umiem ocenić wysokie jego przymioty...

— Pomówię z panem de Lurcy...

Zaledwie jednak podkomorzyna, wezwawszy go na rozmowę poufną, usta w tej materji otworzyła, aliści pan de Lurcy zawołał:

— *Mais!... mais!...* panna de Maintenon ma męża...

Podkomorzyna osłupiała.

— Ja jej jednak nie czynię z tego zarzutu najmniejszego... Ileż to kobiet idzie za mąż na nieszczęście własne!... Pani to rozumiesz...

Podkomorzyna westchnęła.

— Znalazłem się—mówił Francuz—w tym samym co panna de Maintenon wypadku... Nie mogłem żyć z żoną moją, jak ona z mężem swoim...

— Czemużeś mi pan nic o tem ani wspomniał, podczas kiedy usiłowałam, w myśli najpiękniejszej, połączyć was węzłem małżeńskim!...

— Ach pani!...—odparł Francuz, wsuwając rękę prawą za kamizelkę.—Są tajemnice serca, których nie sposób wyjawiać... Są zasłony, których zdzierać nie można bez pokrwawienia się...

— Kochasz więc pan pannę de Maintenon?...

— Nie...—odrzekł Francuz krótko i sucho.

— Kochasz pan jednak?...

— Kocham!...—podchwycił głosem takim, że przstraszył spoczywającego na kolanach pani pieska, który zeskoczył, pod kanapę się schował i szczeleć gwałtownie zaczął.

— Panie de Lurcy!...

— Pani!... Jesteś istotą wyższą, wejdiesz więc w położenie moje... Jestem jak człowiek na śmierć skazany, któremu wszystko jedno, jaki go spotka śmierci rodzaj... Dla mnie było to rzeczą zupełnie obojętną zostać, lub nie zostać mężem panny de Maintenon... Pani rozkazałaś mi: idź!... szedłem, jak na śmierć, nie zważając na nic, nie pomnąc o przeszłości mojej własnej... Gdybyś mi pani rozkazała: idź, rzuć się w nurty jeziora tego, które tam widać (tu

ręką na widny przez okno staw ukazał)... poszedłbym i rzu-
cił się... Są, pani, tajemnice serca... Och!...

Francuz się łokciem na kominku oparł, nogę na nogę
założył, brwi zmarszczył i twarzy wyraz bóleści nadał.

— Wchodzę w położenie pańskie...—zaczęła podko-
morzyna łagodnie.—Bywają położenia okropne...

Francuz westchnął głęboko.

— Całą więc tę rzecz w zapomnienie puścimy...

Z łatwością to przyszło, albowiem wszystko troje, pod-
komorzyna, Francuz i Paryżanka, zainteresowani byli
w utrzymaniu tajemnicy.

Ustęp czwarty: romans pana Karola z panną de Main-
tenon.

Ustęp ten miał rozwiązanie tragiczne.

„Z ogrodowej altany“ podkomorzyna zdyszana wpadła
na pokoje „z wściekłością i trwogą“, przebiegła komnat
szereg i nie zatrzymała się aż w apartamencie, służącym za
rodzaj ustronia, w którym podkomorzy, zdala od małżeń-
skiego zgiełku, miał zwyczaj oddawać się paleniu fajki
i dumaniu o niebieskich migdałach. W ustroniu tem z wier-
nym Lewickim rozmawiał niekiedy o kwiatkach, wyrastają-
cych na grządkach włości jego. Lewicki miał oko wprawne
i znał gust pański na wylot. Stał właśnie przed rozwalo-
nym w fotelu panem, kiedy wpadła podkomorzyna—blada,
włos w nieładzie, oczy zaiskrzone. Wpadła, przed mężem
stanęła, ręce wyciągnęła, krzyknęła:

— Marcinie!... wszystko na głowie mojej, a ty nie
wiesz o niczem!... Tyś przecie ojciec!...

— Cóż tam, Klareczko?...—zapytał podkomorzy fle-
gmatycznie, przybierając w fotelu pozę poprawniejszą
nieco.

— Nie wiesz o niczem!...

— O czym, naprzykład?...

— Każ natychmiast konie zaprzęgać!... Albo nie!...
Każ dać podwodę ze wsi!... wóz prosty!... najdrabiniastszy!...
i niech!... i niech!... Och!...—pochwyciła się ręką za piersi.—
Lewicki!... wody!...

Zwaliała się na kanapę.

Lewicki po wodę poskoczył.

— Życie moje!.. Klareczko!...—przemawiał mąż, usiłując wyrazom nadać akcent jak najbardziej tkliwy.

— Nie wiesz o niczem!... A tyś ojciec!... Wypędzić trzeba!...

— Kogo?...

— Wypędzić!... Wywieźć z manatkami na granicę dóbr naszych i wyrzucić!...

— Kogo?...

— Psamibym wyszczuć kazała!...

— De Lurcy?...

— Marcinie!...—zawołała kobieta drząc drganiem nerwowem.—Co ja widziała!... Co ja widziała... tam... w altanie!... Włosy mi na głowie się prężą... Ona w objęciach jego!...

— Ona (tu głos podkomorzego zadrzał, pomyślał bowiem o córce, która już podówczas lat piętnaście liczyła)—w objęciach de Lurcy?...

— Marcinie, na Boga!... Nie de Lurcy, ale de Maintenon!...

— Ona?...

— Tak jest... w objęciach Lola!...

Podkomorzy uśmiechnął się, uśmiechem uspokojenia.

— Tyś ojciec!...

— Cóż więc, życie moje... Uspokój się... Niech cię tak nie alteruje bagatela taka...
http://www.konrad.org.pl

— Bagatela?!...—krzyknęła podkomorzyna, podrażniona obojętnością małżonka.

— No... nie... Nie bagatela, jeżeli chcesz... Biorąc jednak rzecz względnie, zważyć należy na to, że Lolo kończy niebawem lat dwadzieścia... i że...

— Trzeba tę Paryżanicę wypędzić!...—przerwała pani.

— Trzeba, jeżeli chcesz... ale nie robiąc z tego rzeczy nadzwyczajnej... Wyprawimy ją pocichu... Ludzie na nas patrzą...

Słowa te trafiły snadź do przekonania podkomorzyny, odrzekła bowiem:

— Rób sobie jak zechcesz... Zawsze się kończy na tem, że się staje wola nie moja a twoja... Niech mi tylko bezwstydnica ta zejdzie z oczów jak najprędzej... dziś... natychmiast... Widzieć jej już nie chcę, nie mogę, bo... bo... nie ręcę za siebie... Widzieć się z nią nie pozwolę Ludce... Rób jak chcesz... Wola moja, życzenia moje są u ciebie niczem... Przekonałam się o tem w ciągu dwudziesto-trzechletniego pożycia naszego... Potrafiłeś zrobić mnie z kobiet najnieszczęśliwszą... Możesz sobie tego powinszować... *Adieu!*...

Z kanapy się zerwała, wyszła, drzwiami trzasnęła i słyszeć się dał głos jej, rozlegający się po komnatach.

— Ludko!... Ludko!...

Wołała na córkę, w celu oderwania jej od kobiety, z którą zetknięcie wydawało się jej nieczystem. W porę się opatrzyła.

Podkomorzy kazał do pojazdu zaprządz, pannę de Maintenon obrachował, należność jej całkowicie wypłacił i wyprawił ją do miasta najbliższego.

Ustęp piąty: romans Ludki z synem sąsiada, który zrazu rzadko, następnie coraz to częściej znajdował się na

lekcjach tańców wieczornych. Romans ten skleił się w taki mniej więcej sposób, w jaki dwa ptaszki zlatują się wypadkiem, siadają na gałęzi jednej i dziobkami się całują, wydał się zaś po wyjeździe Paryżanki, która, jak się pokazało, osłaniała go ze względu na Lola. Lolo i Paryżanka, Ludka i młody sąsiad—syn szlachcica dziedziczącego część na kollokacyi—stanowili dwie pary rozkochane, stawające na warcie jedna przy drugiej. Warta była udziałem kochanek. Kiedy duet amoroso odprawiała para pierwsza, to czaty odbywała Ludka. Kiedy gruchaniu miłosnemu oddawała się para druga, wówczas panna de Maintenon chodziła z książką w ręku i za pomocą chrząkania znać dawała o zagrażającym niebezpieczeństwie.

Podkomorzynie, w rzeczy samej, włosy się na głowie prężyły, gdy się o manipulacyi tej dowiedziała. A dowiedziała się o niej w rok po wyjeździe Paryżanki. O, jakże żałowała, że jej pod ręką nie miała! Jakież apetyt do ciała jej czuła! Z jakimże gustem kazałaby ją najprzód oćwiczyć, następnie za granicę dóbr swoich wywieźć! Tu zaś, jak na toż, pozalić się nawet przed kim nie miała: mąż bowiem, temu wyprawiała dzień po dniu, niekiedy godzina po godzinie sceny furioso, zwałając, rozumie się, winę całą na niego; pan de Lurcy, ten wywiózł Lola za granicę, raz dla edukacyi młodego podkomorzycy, powtóre—i to głównie—dla zerwania za pomocą podróży umysłu jego i wytrzeźwienia onego z romansowego upojenia. Sama pani podała ten środek, pozbawiając się przez to powiernika. Nie przewidywała odkrycia, które życie jej zatruiło.

Odkrycie to stanowiło ustęp piąty i ostatni wychowania dzieci, przeprowadzonego całkowicie pod kierunkiem i pod okiem matki.

Takaż to i matka!...—ktos powiedziec gotów, posądza-

dzając nas, jeżeli nie o przesadę, to o podawanie wyjątku jakiegoś za prawidło ogólne. Nie przeczy my wyjątkowości sposobu, w jaki się ułożyło następstwo aktów wychowania domowego w ohrebyskim dworze; przeczy my jednak jak najmocniej i jak najuroczyściej, ażeby wychowanie podobne wyjątkowem być miało. Niestety! jest ono rozpowszechnionem aż zanadto. I inaczej być nie może. Jakże chcieć, ażeby matka, sama źle wychowana, dobrze dzieci własne wychowywać zdołała! Nauka przecie, wedle mniemania bardzo ogólnego, niepotrzebną jest pannom posażnym. Podkomorzyna posażną była.

Wychowanie, ujęte w ramy romansów, które się przez lat dziesięć rozwijały, nie mogło wydać rezultatów pomyślnych. Ze wszystkich tych romansów, któreśmy powyżej wyliczyli, najmniej rażącym, najbardziej naturalnym i najmocniej podkomorzynę irytującym był ostatni. Młodzi ludzie pokochali się. Przyszło to samo przez się, w skutek szeptów owych niepojętych, które poeta w duszy dziewczęcia podsłuchał. On był młody i ona była młoda. Po sercach ich, jak po strunach lutni, wionął wiatr i one oddźwiękiły harmonijnie. Dzięki czatom Paryżanki, on mógł ją do ognistej przycisnąć piersi! O jakże rozkosznie im było! Nie wdawali się w dyskusyie żadne. Kochali się i przysięgali sobie wzajemnie, że się kochać będą do świata skończenia i po świata skończeniu.

Miłość ich zawiązała się na wieczorkach owych improvizowanych, na które przypadek sprowadzał często po osób kilka, niekiedy po kilkanaście. Poznali się. Jemu, jak na toż, na imie było Gustaw, a na czole miał napis niby: „chwat chłopiec“. W tańcu przytem był dziarski, zwłaszcza w mazurze, szczególnie gdy tancerkę okręcał. Czynił to na jednej pięcie, nieinaczej jak w powietrzu. Gdy raz

w ten sposób okręcił podkomorzynę, krzyknęła wprawdzie, „ach!“, ale się jej, mimo to, słodko zrobiło i łaskawie przemawiała do pana Gustawa, pomimo, że był synem człowieka, co nie miał spełna stu dusz majątku i członkiem rodzeństwa liczącego głów dziesięć. Cóż dziwnego, że Ludka sercem do niego skoczyła!—do niego, nie zaś do młodego księcia Godfryda, przyjeżdżającego regularnie dwa razy na tydzień na lekcye tańców. Różnica pomiędzy nimi zachodziła ogromna. To był chwata, to zaś worek, mający u spodu nogi, a na wierzchu głowę ludzką. Z naciskiem powiadamy „ludzką“. Głowa bowiem młodego księcia, wielka co do rozmiarów, była jednak kształtna, miała uszy proporcjonalne i oblicze, pod względem rysów, regularne, a nawet kształtne, typu wschodniego—nos zgrabnie wykrojony, oczy duże czarne, czoło niezbyt wyniosłe lecz i nie wązkie, włos gęsty czarny, kręcący się na skroniach i nad czołem naturalnie, w wyrazie zaś ogólnym, jakim oblicze to przemawiało, rozlewała się melancholia, wzbudzająca politowanie. Żal zbierał, patrząc na młodego człowieka, będącego wytworem natury chybionym. Głowa kształtna, osadzona na tułowiu potwornym prawie. Widziało się w nim rassę jakąś zwiedzioną, bardziej jeszcze aniżeli w ojcu, który pomimo twarzy i uszów nadnaturalnych, więcej miał jednak, w postawie ogólnej, do człowieka podobieństwa. Postawa księcia Godfryda, był to worek szeroki a krótki, nogi krótkie a grube, ręce jakby przyprawne.

Książę Godfryd pobierał także wychowanie domowe; miał zatem przy sobie guwernera, nie Francuza jednak. Guwernerował mu eks-jezuita, który po skasowaniu zakonu, znalazł schronienie gościnne w pałacu księcia Gamajdy i znalazł się w pogotowiu, jako mentor, w chwili przyścia młodego księcia na świat. Książę Norbert byłby może

przyjął jeszcze bodaj metra, do języków nowożytnych i talentów, ale odłużony majątek nie pozwalał na ten zbytek. Dochody starczyły zaledwie na opłacanie procentów i utrzymywanie splendoru w stanie konserwy, pozostającej w nieruchomości. Przyczyniała się do tego znacznie ociężałość potomka rodu znakomitego. W pałacu krasinowieckim, od czasu zwłaszcza zgonu księżnej pani, która świat ten pożegnała w chwili, gdy syn nań przychodził, życie zatrzymało się niejako na punkcie jednym. Zdawało się, jakby Jozue jakiś zatrzymał nad Krasinowcami słońce i wszystko tam pozostało w takim stanie, w jakim znajdowało się w chwili zgonu dostojnego dziadka księcia Godfryda. Książę Norbert długów nie przysparzał, ale też i nie umniejszał, innowacyj żadnych nie wprowadzał, nic nie zmieniał, sług nawet nowych nie przyjmował i trzymał się nieruchomością na stopie odpowiedniej świetności imienia. Pałac stał, zabudowania przy nim stały, park się rozlegał, wszystko to było jak dawniej i tylko ząb czasu podgryzał i nadgryzał powoli mury, drzewa, ozdoby, meble, sprzęty i ludzi.

Ksiądz jezuita odegrywał w pałacu krasinowieckim rolę bardzo ważną, pomimo, że nie posiadał żadnego tytułu oficjalnego. Bez niego nie działało się nic. Książę o niczem nie wiedział, wiedzieć nie chciał i wiedzieć nie mógł. Ojciec Korski wyręczał go i zastępował we wszystkim, znosząc się bezpośrednio z wierzycielami i oficjalistami i umiając tak jednym jak drugim imponować powagą tajemniczą, która od postaci jego biła. Człęk niemłody, słuszny, suchy, surowego wejrzenia, małomówny, wzbudzał do siebie, samą powierzchownością swoją, szacunek i wiarę. Żydzi w miasteczku—Krasinowce bowiem miasteczkiem były—kłaniali mu się niżej jak księciu samemu, obywatelstwo okoliczne miało go za pewien rodzaj wyroczeni, przemawia-

jącej „jakby z książki czytał“. Pochodziło to ztąd, że ojciec Korski wysławiał się poprawnie i uciekał się niekiedy do cytat łacińskich. Zresztą był to mąż uczony, jak wszyscy w ogóle członkowie zakonu, do którego należał, i do dania edukacji zupełnie przydatny. Brakowało mu tylko wychowawca odpowiedniego. Książę Godfryd nie nadawał się na takowego. Umysłu przytępionego, pojętności ciężkiej, nie korzystał, ile inny na miejscu jego skorzystałby niezawodnie od nauczyciela, umiejącego grać na duszach ludzkich, jak na cymbałach, tony jedne głuszyć, drugie wydobywać i podnosić, stosownie do upodobania własnego. Niestety! ton żaden w duszy młodego księcia podnieść się nie dawał.

Ksiądz Korski nauczał go jednak. Formował z niego tabakierkę, grającą sztuk tyle a tyle, stosownie do nakręcenia.

Podkomorzy, gdy zaprowadziły się w Ohrebyszczach lekcyce tańców, zaproponował księciu Norbertowi przysyłanie na takowe syna. Propozycya uczynioną była z delikatnością jak największą. Nie chodziło tu o lekcyce, ale o wieczorki tańczące, urządzone dla młodzieży pod okiem starszych i nauczycieli. Inspiratorką propozycji tej była podkomorzyna. Książę odniósł się do ojca Korskiego, ten zaś nic w tem nagannego nie znalazł.

— I owszem...—były słowa jego.—Niech jego książęca mość zażywa rozrywki godziwej...

Młody książę jeździł do Ohrebyszcz co poniedziałek i co czwartek, z wyjątkiem adwentu i wielkiego postu, przez lat kilka ciągiem jednym. W wycieczkach tych towarzyszył mu zwykle kamerdyner stary, ojciec rzadko, ksiądz Korski nigdy. Młody człowiek był przedmiotem uprzejmości jak najserdeczniejszej ze strony pani domu, rozpada-

jącej się nad nim. Uprzejmość ta podobała się mu. Ruszał się i ożywiał, stawał do ronda, przechadzał się w mazurze, próbował niekiedy podskoczyć i zawsze regularnie o pół do dziesiątej opuszczał towarzystwo, aż je opuścił całkowicie, gdy skończył lat ośmnaście. Tak chciał ksiądz Korski. Podkomorzy nadaremnie jeździł do Krasifowiec z zaprosinami. Książę na zaprosiny odpowiadał podziękowaniami, lecz nie tłumaczył się, dla czego syna posyłać przestał; ojciec Korski zaś, przez podkomorzego zapytany, odpowiedział krótko:

— Nie wypada...

Zachodzić musiały względy jakieś tyczące się przyzwoitości.

Podkomorzyna gniewała się, to jednak nic nie pomogło.

Młody książę bywać przestał na lekcyach. Nie zerwały się atoli przez to stosunki sąsiedztwa dobrego pomiędzy pałacem krasifowieckim a domem ohrebyskim.

IV.

Sceny furiosissimo, jaka się odbyła, gdy akt piąty dramatu edukacyjnego na jawnię nagle wystąpił, nie zdołałbym opisać w sposób taki, ażeby się ona czytelnikom uprzytomniła. Nie posiadam talentu odpowiedniego. Należałoby ją i opisywać i malować i dramatyzować. Była to bowiem scena i malownicza i dramatyczna, a przytem wielce skomplikowana. Za teatr służyły jej kolejno apartamenta pani, pana i panny, salony, pokoje bawialne, pokój jadalny, korytarze, sienie i sionki. Podkomorzyna przebiegała dwór z końca w koniec w charakterze zaczepnym, napadając to na męża, to na córkę. Do pierwszego przemawiała:

— Tyranie!... niegodziwcze!... ojczyzno wyrodny!... człowieku czci i wiary pozbawiony!...

Do drugiej mówiła:

— Córkę występna!... niewdzięcznico!... niegodna tego, ażeby cię ziemia nosiła!...

Podkomorzy kazał sobie konie do karyolki zaprząść, chcąc snadź usunąć się z oczów rozzalonej zbytecznie małżonki. Gdy się podkomorzyna o zamiarze tym dowiedziała, weszła do podkomorzego z królewską powagą, stanęła przed nim, wzrokiem go od stóp do głowy zmierzyła i rzekła:

— Tak?... Nie dość więc, że *samą* w zwykłym życia trybie jestem, *samą* jeszcze chcesz mnie pan zostawić w chwili rozpaczny?... Winszuję... Jest to czyn godny męża i obywatela...

— Klareczko... Ależ... Chciałem tylko, w pole pojechać, zobaczyć jak schodzi żyto jare....

— Che, hm...—zaśmiała się podkomorzyna ironicznie.

— Powróciłbym za pół godziny najdalej... Ale.. jeżeli...

— Proszę jechać... Proszę sobie dla mnie przymusu nie zadawać... Byłam *samą*, pozostanę *samą* ze smutkami swojemi i z rozpaczą... A! (tu się dłonią za głowę schwyciła)... W chwili takiej, nie mieć nawet z kim pomówić!...

— Ależ ja jechać nie myślę... Lewicki!...—krzyknął—każ konie z karyolki wyłożyć... Siadaj, Klaruńciu... Boleję głęboko nad tem, co się stało... Któżby się jednak spodziewać mógł!... Ludka, pod okiem twojem wychowana!... No... proszę...

Słowa te zawierały przymówkę w sobie. Podkomorzyna nie zrozumiała jej może, a może nie dosłyszała, wpadła bowiem w zamyślenie chwilowe, w którym usiadła na kanapie i rzekła:

— Nie ma rady innej...

— Co, życie moje?...—zapytał podkomorzy.

— Trzeba złemu zaradzić szybko, energicznie i radykalnie...

— Zaradziłaś już przecie...

— Co?...—zapytała pani z przyciskiem.

— Młodzik ten nie przestąpi już więcej progę domu naszego...

— Więc to ja... ja *sama*... *sama* jedna, robić mam wszystko!... Ochl jakaż ja *sama*!...

Wyrazy ostatnie pełne były łez.

— Klaruńciu!... Klareczko!... Powiedz, cóż robić mam ja?... Gotów jestem na wszystko... nawet, jeżeli chcesz, na strzelanie się z tym chłystkiem... Szlachcic dobry... Chcesz? wyzwanie mu poszlę...

Podkomorzyna wzrokiem niepewnym spojrzała na męża, który, w rzeczy samej, gotów był, za pomocą nadstawienia łba własnego, kupić sobie spokój domowy.

— Chcesz?...

— I do czegoż to doprowadzi?...

— Albo ja zginę, albo on zginie... Będzie to szybko, energicznie i radykalnie...

Podkomorzyna wyglądała przez chwilę, jak wyglądać zwykły człowiek własną pobity bronią. Trwało to jednak bardzo krótko. Głową wstrząsnęła i odrzekła:

— Jest to sposób łatwy, niedorzeczność popełnić... Nie o pojedynek tu chodzi, a o to, żeby Ludwikę za męża jak najrychlej wydać...

— Przeciwno temu nie mam nic...

— To nie dosyć... Trzeba jeszcze, żebyś był za tem i żebyś się o to postarał...

— Niechże się kto zgłosi...

— Jeżelibyśmy na to czekali, to doczekałyśmy się mogli drugiego pana Gustawa...

— Więc?...

— Należy działać... Przekonawszy się, że Ludwika skłonna jest do wyboru jak najgorszego, obowiązek nasz rodzicielski nakazuje nam postarać się o znalezienie dla niej męża odpowiedniego...

Podkomorzy zrobił minę bardzo markotną, przecuwając dla siebie pracę herkulesową.

— Dobrze... — rzekł kwaśnie. — Masz racyę, życie moje...

— Pochlebia mi to wielce, że mi rację przyznawać raczysz... Nie na tem atoli koniec...

— Oczywiście...

— Ty ojciec... Czyś ty pomyślał o losie dziecka twego?...

— Myśleć myślałem, ale, przyznam się, w przyszłości oddalonej nieco... Wydawało się mi, że się z Ludką spieszyć nie ma co, że należy czekać...

— Azeby się panów Gustawów doczekać...—pochwyliła pani.

— To nieszczęście... wypadek...

— Będący czekania następstwem prostem i naturalnem... Ludwika lat ma szesnaście i głowę rozmarzoną...

— Rozmarzoną...—powtórzył podkomorzy, mając zamiar zapytać: dzięki czemu?—powstrzymał się jednak na myśl sceny, jakąby zapytanie to niezawodnie wywołało.

— Trzeba się więc spieszyć...

— Dobrze... Z czem jednak?...

— Z wydaniem jej za męża...

— Za kogo?...

— Za księcia Godfryda Gamajdę... — odpowiedziała podkomorzyna tonem replikę wszelką z góry niweczącym. Podkomorzy spojrział tylko na żonę.

W spojrzeniu tem malował się wykrzyknik: czyś oszalała!...

Zamiast wydania atoli wykrzyknika tego, odpowiedział spokojnie:

— Dobrze... Nie mam przeciwko księciu Godfrydowi nic... Czy tylko on zechce, a raczej nie on, ale książę Norbert, bardziej zaś ojciec Korski?...

— To już rzecz twoja...

— Moja?... Jeżeli ojciec Korski nie zechce, cóż ja poradzę!...

— Nie do mnie należy rady tobie dawać... Powiadam tylko, że Ludwikę trzeba za księcia Godfryda wydać...

— I ja potrzebę tę uznaję... Pozwolę sobie tylko tę zrobić uwagę, że jest to wyciąganiem dziewczyny na wielką ofiarę...

— Na ofiarę!...—podchwyciła pani—Cóż to za ofiara, księżną zostać!...

— Dostać na męża niedołągę i oddać posag cały na oczyszczenie go z długów...

Podkomorzyna nic na to nie odpowiedziała. Milczała przez chwilę i po chwili zaczęła:

— Przekonałam się, że pomysł wszelki odemnie pochodzący jest przez ciebie z góry potępiony... Co żona powie, wszystko złe... Żałuję mocno, że ci pomysłu tego nie nasunęła przez kogoś trzeciego... Byłbyś go znalazł doskonałym... Ale, że pochodzi od żony, wnet więc i objekcyje się znalazły, objekcyje, pozwól to sobie powiedzieć, nacechowane brudną interesownością... Cóż to!... dla posagu więc, szczęście dziecka poświęcać mamy!... dla posagu los jej zagradzać!... Książę Godfryd nie bardziej aniżeli książę Norbert niedołążny, a przecież nie słyszałam, ażeby księżna nieboszczka nieszczęśliwą z mężem być miała... Ale, na co się to gadanie moje przyda!.. Wiem z góry, że nic z tego nie będzie...

Wstała i do odejścia się zabierała.

— Lewicki!...—krzyknął podkomorzy.—Każ zaprządz konie do kocz!...

— Słucham, jaśnie panie!... — odezwał się głos za drzwiami.

— Czy w pole, ażeby oglądać żyto jare?...—zapytała pani z przekąsem.

— Nie... do Krasiłowiec...

— Proszę pozdrowić odemnie księcia pana...

Wyszła.

Podkomorzy, przy pomocy Lewickiego i drugiego jeszcze lokaja, przebrał się żywo. W pół godziny później wsiadał do koczka, a po upływie drugiej pół godziny wysiadał z takowego przed krużgankiem, wspartym na kolumnach sędziwej starości. Na spotkanie jego wyszło dwóch służących siwizną przypruszonych, odzianych w liberyę dawne pamiętającą czasy.

— Książę pan w domu?...

— W domu, jaśnie wielmożny panie...—odpowiedział jeden z nich, poprzedzając gościa i otwierając przed nim podwoje. Niech jaśnie pan chwilę zatrzymać się raczy, natychmiast zamelduję jaśnie oświeconemu księciu...

Zostawił podkomorzego w salonie, którego okna wychodziły na podwórzec, sam zaś udał się w głąb pałacu.

Podkomorzy znał dobrze pałac krasiłowiecki, nie mniej jednak rozpatrywał się w nim w chwili obecnej z pewnym rodzajem zajęcia, zatrzymując wzrok, raz na meblach, wyszłych z mody oddawna, znów na okryciach i frankach spłowiałych, dalej na obrazach, przykrytych niby powłoką, pod którą domyślać się należało malowideł, wreszcie spoglądał przez okno, wodząc okiem po trawie porastającej na podwórku. W pałacu i dokoła niego panowała cisza głucha. Podkomorzy czekał nie dłużej jak minut dwadzieścia. Stary lokaj wszedł, podwoje otworzył i gromkim głosem przemówił:

— Jaśnie oświecony książę prosi jaśnie wielmożnego pana...

Książę znajdował się w pokoju tuż obok. Siedział w krześle z poręczami, przy stoliczku, nieopodal od okna, z którego widok wychodził na park, rozwijając się w pejzaż wcale ponętny. Gruppy drzew, łączki, ruiny kiosków, kilka posągów, otwory grot i szkielety mostków na kanale, w którym wody nie było, stanowiły całość malowniczą. Książę dzwignął się z krzesła, opierając się dłońmi o poręcze, postąpił kroków kilka naprzeciw podkomorzego, i rękę do gościa wyciągając, zaczął:

— Witam sąsiada szanownego... Jakże mnie cieszy przybycie jego!... Spodziewam się, że pan dobrodziej w dobrem znajduje się zdrowiu...

— Dziękuję waszej książęcej mości... Jakże wasze zdrowie, mości książę?...

— A...—machnął książę ręką.—Proszę siadać...

Ukazał gościowi krzesło i sam, osunąwszy się w swoje pomilczał przez chwilę z miną taką, jakby się zastanawiał nad zagadnieniem jakim, i znów zaczął:

— Spodziewam się, że rodzina asana dobrodzieja, dostojna podkomorzyna i piękna podkomorzanka, w dobrem znajdują się zdrowiu...

— Dziękuję księciu panu za pamięć łaskawą... Żona moja i córka zdrowe są, Bogu dzięki... zasyłają waszej książęcej mości pozdrowienia jak najserdeczniejsze...

Książę z uśmiechem poważnym głową na podziękowanie skinął. Znów pomilczał przez chwilę i znów zaczął:

— Spodziewam się, że asana dobrodzieja pomyslnie od podkomorzycy dochodzą wieści...

— Dziękuję waszej książęcej mości za troskliwość łaskawą... Karol przebywa obecnie w Paryżu i bardzo tam sobie podoba.

— Karol?...—zapytał książę tonem takim, jakby nie wiedział o kim mowa.

— Syn mój...—dodał podkomorzy.

— A... w Paryżu sobie podoba...

Nastawił się, jakby dalej rzecz o Paryżu miał ciągnąć, pomileczał przez chwilkę i zaczął:

— Spodziewam się, że pogoda dobra...

— Dobra, mości książę...

— Pozawczora... wszak tak? pozawczora?... deszcz padał...

— Padał, mości książę...

— Spodziewam się, że jutro nie będzie padał...

— Może sprawdzą się słowa waszej książęcej mości...

— Hm...—odparł książę i zamyślił się.—Spodziewam się, że droga jest dobrą...

— Wyborną, mości książę... jedzie się jak po stole i kurzawy wielkiej nie ma...

Odpowiedź ta, zdawało się, nie małą dostojnemu gospodarzowi przyjemność sprawiła.

— O!... widzi asan dobrodziej... droga dobra... hm... Spodziewam się...

Spuścił głowę, oczy wlepił w punkt jeden na podłodze i zamyślił się. Mina jego wydawała człowieka pracującego głową. Widocznem było, że do ostatniego „spodziewam się“ usiłował coś dodać i nie wiedział co. Myślał, myślał, oczy rozszerzał, brwiami mrugał, aż wymyślił na koniec:

— Spodziewam się, że asan dobrodziej spał dobrze tej nocy...

Podkomorzy uśmiechnął się sam do siebie i odparł:

— Nie najlepiej, mości książę... Miałem sen rodzaju osobliwego...

— O! proszę!... sen?...—z żywym zainteresowaniem się podchwycił książę.—I jakież to?...

— Śnił mi się książę Godfryd w przepaść padający...

Książę głowę podniósł, oczy szeroko otworzył, usta otworzył, oblicze mu się przedłużyło, wyglądał jak człowiek przerażony.

— Przeraziło mnie to niewypowiedzianie; oblał mnie pot zimny; poskoczyłem, pochwyciłem księcia Godfryda wpół i... obudziłem się...

Książę odetchnął, jakby wielki ciężar z piersi zrzucił.

— Sen ten zmęczył mnie wielce...

— Ale książę Godfryd w przepaść nie wpadł?...—zapytał książę.

— Nie... oczewiście...

— Asan dobrodziej wpół go pochwycił?...

— Ja i córka moja...

— Panna Ludwika?... No, proszę... A to sen szczególny, nadzwyczajny, muszę powiedzieć o nim i księciu Godfrydowi i ojcu Korskiemu... A może asan dobrodziej sam im opowiesz, bo ja nie ręczę za siebie... Zirytowałbym się zbyt mocno, a mnie szkodzi irytacja wszelka...

— Najchętniej, mości książę...

— Może asan dobrodziej masz ochotę odwiedzić księcia Godfryda i księdza Korskiego?...

— Bardzobym tego pragnął, mości książę...

— A... to... najłatwiej uczynić pragnieniu asana dobrodziejstwa zadość... Oni być muszą u siebie...

Mówiąc to, książę wziął w palce dzwoneczek, który mu na stoliku pod ręką leżał, poruszył nim, dzwoneczek wydał odgłos jęklivy; na progu pojawił się stary sługa.

— Zaanonsuj księciu Godfrydowi i jego wielbności

księdzu jezuitcie, że jegomość pan podkomorzy, Marcin Kostrzewicki, odwiedzić ich życzy sobie...

Sługa odszedł. Książę pogrążył się w zadumę, w której pozostał aż do powrotu sługi, który, próg przekroczywszy, stanął i na zapytanie czekał.

— I cóż?...

— Jasnie oświecony książę prosi jasnie wielmożnego podkomorzego...

Podkomorzy wstał, książę wstać próbował.

— Niechże wasza książęca mość nie trudzi się...—odezwał się gość tonem uprzejmym.

— Oh... eh...—stęknął gospodarz razy parę.

— Żegnam was, mości książę...

— Spodziewam się, że asan dobrodziej podzielić zechcesz obiad z nami...

— Mości książę!... łaski tyle!...

— Jadamy o szóstej...

— Najmilej mi będzie... Chwila każda, spędzona w towarzystwie waszej książęcej mości jest dla mnie nieocenioną... Pani moja czekać tam będzie na mnie, ale niech wybaczy...

— Sam ją o przebaczenie poproszę...—wtrącił książę.

— O! mości książę!...

Po wykrzykniku tym, podkomorzy cofnął się do drzwi, które lokaj na ścieżaj przed nim otworzył, przeszedł przez szereg pokojów stęchlizną zlekką cuchnących i wprowadzonym został do komnaty, bardzo podobnej do tej, w której go książę Norbert przyjmował. Książę Godfryd, jak ojciec, siedział także na krześle z poręczami, obok stoliczka, na którym rękę trzymał, nieopodal od okna, z którego widok na park się rozlegał. Na wejście podkomorzego, wstał z trudem niemalym, postąpił kroków kilka na spotkanie

gościa, rękę na powitanie podał, i cofając się, siedzenie po drugiej stronie stoliczka ukazał. Ruchy jego wszystkie były literalnem powtórzeniem ruchów ojcowskich. Biło z nich pozytywkowe nakręcenie; biła z nich chińszczyzna, wyrażająca się pod postacią etykiety wyuczonyj na pamięć. Gdy podkomorzy usiadł, książę się odezwał:

— Witam pana dobrodzieja!... Jakże mnie cieszy przybycie jego!... Spodziewam się, że asan dobrodziej w do-brem znajduje się zdrowiu!...

Wyrazy te wygłaszane były z akcentem deklamacyj-nym, znamionującym wyuczenie.

— Dziękuję waszej książęcej mości... Jakże zdrowie wasze, mości książę?...—odparł podkomorzy.

— Dziękuję... jako tako... Spodziewam się...

I powtórzyła się rozmowa cała w tym samym co i po-przednio porządku. Młody książę wyspodziewał się wszy-stkiego tego, co i dostojny jego rodzic i wyekspensowawszy cały spodziewań zapas, zapytał w końcu, jak się podkomo-rzemu spało.

— Nie najlepiej...—odrzekł zapytany.—Miałem sen, który właśnie jego książęcej mości, księciu Norbertowi, opowiadałem i który jego książęca mość polecił mi powtó-rzyć waszej książęcej mości...

— A?... to coś nadzwyczajnego być musi...

— W rzeczy samej... sen nadzwyczajny... Śniłeś mi się wasza książęca mość...

— Ja?...—krzyknął młodzieniec ręką sobie na piersi pokazując i brwi wysoko podnosząc.

— Nie inaczej... Padałeś wasza książęca mość w prze-paść...

— W przepaść?!... Och!...

Pochwycił za dzwonek i gwałtownie nim wstrząsnął.

— Co to wam, mości książę?...—zapytał niespokojnie podkomorzy, widząc oblicze młodego księcia powlekające się nagle bladością.

— Och!... Eh!... To nic.. Serce mi mocno bije...

Pojawił się w progu służący.

— Wody!... Flakonik!...

Obtarł sobie chustką czoło, na które pot w grubych wystąpił kropłach.

— Mości książę!... toć to sen tylko, a jak to powiada ją: „Sen mara, Bóg wiara“...—perswadował podkomorzy.

— Bóg, ach!...—podchwycił młody człowiek z uśmiechem.—O, Boże!...

W tej chwili wniósł służący wodę i flakonik. Książę się napił trochę, kazał karafkę przy sobie postawić, skienieniem ręki służącego oddalił, i zwracając się do podkomorzego, zapytał:

— Cóż dalej?... Spodziewam się, że tego... te...

— Skończyło się lepiej, jak się zaczęło... Córka moja pochwyciła waszą książęcą mość za rękę, ja wpół i... obudziłem się...

— Córka pana dobrodzieja, to jest, panna Ludwika, za rękę, pan dobrodziej wpół i?...

— I obudziłem się...—powtórzył podkomorzy.

— Spodziewam się więc, żem w tego... w tę... przepaść...

— W przepaść wasza książęca mość nie wpadłeś...

— Nie wpadłem?... Jakże to szczęśliwie!...

— Skończyło się, jak powiadam, lepiej, jak się zaczęło... Ludka i ja...

— Skończyło się bardzo dobrze!...—podchwycił książę w uradowaniu, które mu twarz opromieniło. Mogło się skończyć bardzo źle... nieprawda?...

— Niezawodnie...

— Musiało to papę, księcia Norberta, ucieszyć bardzo?...

— I dla tego książę pan polecił mi sen waszej książęcej mości opowiedzieć... Gdybym jednak przewidzieć mógł wrażenie, jakie opowiadanie moje sprawiło, to byłbym wolał milczeć...

— Ale nie, panie dobrodzieju... nie... Doznałem emocyi, bo trudno takowej nie doznać, słysząc okropność taką... Gdy się jednak dowiedział o końcu szczęśliwym, to emocya przeszła... Pan dobrodziej i panna Ludwika? Ale to sen?...

— Sen, nie co innego...—odrzekł podkomorzy tonem uspokajającym i dodał po chwili: Sny wszakże bywają znaczące...

— Tak, bywają... prorocze.. ksiądz Korski opowiadał...

— O Józefie synu Jakóbowym i o Dawidzie królu...

— Tak jest... I tu więc...

— Gdybyśmy mieli pod ręką Józefa jakiego do wytłumaczenia, to poznalibyśmy znaczenie snu mego...

— Ksiądz Korski...—podchwycił młody książę.

— Właśnie jego książęca mość książę Norbert zalecił mi, ażebym księdzu Korskiemu opowiedział...

— O! to dobrze... to bardzo dobrze...

— Pożegnaj przeto waszą książęcą mość, spieszyć bowiem muszę ze złożeniem uszanowania mego księdzu Korskiemu przed obiadem, przy którym będę miał zaszczyt waszą książęcą mość oglądać jeszcze...—rzekł podkomorzy wstając.

Książę Godfryd wy dobył się także z krzesła swego, stanął, ręce na brzuchu złożył i zawołał:

— O!.. A jakaż to przyjemność!..

Dłonie sobie do uściśnięcia podali. Młody książę zadzwonił, postąpił od krzesła kroków kilka, zatrzymał się i oczami gościa do progu odprowadził.

Podkomorzy, pod przewodnictwem lokaja, który przed nim podwoje otwierał, udał się na piętro do apartamentu ojca jezuity.

Ksiądz Korski zajmował pokojów trzy, skromnie umeblowanych, lecz dostatnio zaopatrzonych. W jednym znajdowała się biblioteka—biblioteka dawna pałacowa, pomnożona księgozbiorem księdza, składająca się więc przeważnie z dzieł treści tak zwanej poważnej, powaga których, w obec napływu pojęć nowożytnych, domagających się od nich ścisłego rachunku sumienia, coraz to bardziej na znaczeniu traci. Był to pokój, w którym się książę Godfryd uczył, uczył i niczego nie nauczył. Ksiądz Korski zwykle w nim przesiadywał, zabawiając się czytaniem in foliów w pargamin oprawnych. W nim też i podkomorzego przyjął, wstając na jego przybycie i czekając przy stole na zbliżenie się, przybrawszy postawę wyprostowaną i nieruchomą. Na stole leżała księga rozwarta, obok niej brewiarz złożony.

— Przychodzę złożyć wam uszanowanie moje, ojczye wielbny...—odezwał się podkomorzy, pochylając się ku ramieniowi księdza.—Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków...—odrzekł ksiądz, rękę podniósł i krzyżyk nad głową gościa w powietrzu zrobił.

— Jakże zdrowie wielbności waszej?...

— Służy mi, dzięki Najwyższemu... Proszę asana dobrodzieja siedzieć...

Podkomorzy zajął miejsce z drugiej strony stołu, i dla utrzymania konwersacyi, której ksiądz nie miał zwyczaju ze strony swojej zasiląć, zapytał:

— Ojciec wielebny zawsze nad księgami?...

— Ha!... Szuka się, mości dobrodzieju, czyniąc za-
dość przykazaniu Pana: „Szukajcie a znajdziecie“... Tędy
(tu dłonią po księdze uderzył) łaska Boża wskazała mi dro-
gę do bram królestwa niebieskiego...

Podkomorzy poważnie głową pokiwał.

— Wielebność wasza—odezwał się po chwili, wodząc
oczami po szafach—obfituje tu w pokarm duchowy...

— Nie wszystko to pokarm posilny... *pauca multis...*
pomimo zem pracował jak ogrodnik, przykładając siekierę do
drzew kwaśny rodzących owoc i rzucając takowe na
ogień...

Ojciec Korski wyraził tu pod przerośnią, że część zna-
czną ksiązek, jakie się zgromadziły za przodków księcia
Norberta, oddał na spalenie. Wyraziwszy to, usta pogar-
dliwie skrzywił i okiem złośliwie błysnął. Podkomorzemu
czyn ten wydał się rzeczą naturalną i godziwą. Palenie
ksiązek— w czym go to razić mogło!... Palono przecie
i ludzi, i nie wypaleno ich snadź należycie. Ksiądz Korski,
taki uczony, posiadał w mniemaniu podkomorzego prawo
miecza nad wszystkim co drukowane było. Uderzyła go tyl-
ko niestosowność jedna. Ojciec jezuita tępił książki szko-
dliwe, ale w Krasifowcach wyłącznie. Czyż przeto tępienie
to pożytek jaki niosło? Odezwał się więc:

— Gdyby to tak zrobić można przegląd wszystkich
bibliotek i księgarni i oczyścić ziarno z plewy...

— Nastąpi to kiedyś...—odparł jezuita spokojnie.—Pan
czuwa...

— Ksiązek jednak przybywa mnóstwo ogromne...

— *Quos vult perdere Jupiter, dementat prius...* Mnóstwo
owe ogromne sprowadzi szaleństwo na nieprzyjaciół kościo-
ła i kościół wówczas porządek robi... Jest to jego zada-

nie... Mnożą się księgi pisane z natchnienia złego ducha...
mnoży się opał dla ludzi przyszłości...

— Oby się ziściły słowa ojca wielebneho...—westchnął
podkomorzy.

— Ziszcza się... Nieprawość dochodzi już do granic
swoich ostatecznych... Sprawiedliwych coraz to mniej...
Pan zaś, gdy o wymiar sprawiedliwości chodzi, nie żartuje,
i dla Lota jednego, całą Sodomę i całą Gomorę w perzynę
obraca...

V.

Rozmowa z księdzem Korskim przybrała obrót, nie przypadający do miary tego interesu, w jakim podkomorzy do Krasilowiec przyjechał. Jako człowiek rozważny, nie miał on zamiaru interesu odrazu na stół wytaczać. Chodziło mu najprzód o przygotowanie gruntu. Z książętami poszło mu łatwo. Sen ów był wymysłem, zrodzonym w natchnieniu — w chwili kiedy książę Norbert zapytał, jak mu się spało. Była to pierwsza bruzda pod zasiew zaorana w roli wdzięcznej. Z księdzem jednak zachodziła rzecz inna. Tu rola przedstawiała się pod postacią opoki, w którą lemieszka wymysłu zapuszczać nie można było. Należało czekać sposobów pewniejszych. Podkomorzy jednak, zobowiązawszy się względem książąt opowiedzieć sen mniemany księdzu jezuicie, musiał tego dokonać, jeżeli nie dla czego innego, to dla tego samego, ażeby książęta, opowiadając sami, nie przekreśli i ze snu prostego potworności jakiejś nie zrobili. Starał się więc rozmowę na odpowiedni sprowadzić tor. Skorzystał ze wzmianki o Sodomie i Gomorze i o Locie sprawiedliwym, ryzykując przyrównanie do Lota księcia Norberta. Przyrównanie to nie było zbyt naciąganem. Książę był mężem sprawiedliwym w sensie jak najściślejszym ewangelicznym, albowiem nie zbywało mu nawet na skarbie tym cennym, który się nazywa ubóstwem

ducha. Nie sposób było temu przeczyć. Książdz też skinął głową z akcentem potwierdzającym, lecz nie rzekł ani słowa. Westchnął jeno.

— Gdybyż ludzi takich było więcej!...—ciągnął podkomorzy—i gdyby oni zajmowali stanowiska wpływowe!...

— Książę pan zajmuje stanowisko bardzo poważne...—odparł książdz.

— Tak... ale... za zbyt... za zbyt skromne...—rzekł podkomorzy z przyciskiem.

— Hm...—ścisnął książdz Korski ramionami.—Widziałeś się asan dobrodziej z jego książęcą mością?...

Zapytanie to było dla podkomorzego zbawieniem. Odetchnął i odpowiedział:

— O, jakże!... Miałem zaszczyt złożyć mu uszanowanie powinno i wypadkiem wzruszyłem jego książęcą mość...

— O?...—zapytał książdz z akcentem zdziwienia umiarkowanego.

— Opowiedziałem sen, jaki tej nocy miałem i który... wyznam ojcu wielebnemu w duchu mego szczerości... przyczynił się nie mało do wizyty dzisiejszej...

— Cóż to za sen, który nam zaszczyt widzenia asana dobrodzieja sprowadził?... Sny bywają prorocze niekiedy...

Podkomorzy poraz trzeci opowiedział rzecz zmyśloną, dodając w końcu:

— Książę Norbert kazał mi powtórzyć to księciu Godfrydowi i księdzu dobrodziejowi... Poruszyło to ich obydwoh głęboko...

— Przedziwnej bo to, istic gołębiej prostoty są ludzie... *Arcades ambo*... Mcznaby przed nimi zmyśleć cokolwiek... uwierzają...

Podkomorzemu gorąco w polizkach się zrobiło. Odparł z pośpiechem, oznaczającym, że zadraśniętym został:

— To sen... We snach najniepodobniejsze roją się dziwadła...

— O tak... a tak... zapewne... mości podkomorzy...— odpowiadał ksiądz, rzucając wyrazy w sposób taki, jakby myślał o czem innym.

W chwili tej słyszeć się dał echowy odgłos zegara, bijącego pół godziny. Ksiądz Korski rzucił okiem na zegar niemy w bibliotece zawieszony, sięgnął ręką po brewiarz, rozłożył go na zaznaczoną wstążeczką stronicę, i przeżegnawszy się, mrużąc począł przez nos, przebiegając drukowane wiersze oczami. Było to aż nazbyt wyraźnym dla gościa znakiem, ażeby się miał precz. Podkomorzy wstał, podszedł na palcach do zatopionego w czytaniu jezuitę, zrobił giest pocałunku złożonego na ręku jego w punkcie środkowym pomiędzy łokciem a ramieniem i na palcach oddalił się.

Do obiadu pozostawało jeszcze pół godziny.

Podkomorzemu znane były doskonale zwyczaje pałacowe, zastosowane do ściśle przestrzeganej etykiety, która co się obiadów tyczy, wymagała ubierania się przed przystąpieniem do stołu pańskiego. Nie ubierano się wprawdzie zachowywano jednak formę. Na pół godziny przed podaniem na stół, każdy z biesiadników udawał się do apartamentu swego i czekał na uderzenie dzwonka, oznajmującego, że wszystko gotowe. Na dzwonek schodzili się wszyscy do salonu, znajdującego się w środkowym punkcie pałacu, tam następowały powitania i ztamtąd, na cznajmniejszą marszałka, że zupa na stole, udawano się parami, pochodzą ceremonialnym, do sali jadalnej. Puszczano się obecność dam, i ten zapewne był powód, dla którego przestrzegano etykiety pod względem każdym.

Podkomorzy, wyszedłszy od księdza Korskiego, miał

do wyboru, albo pozostawać przez pół godziny w którym z salonów, albo kazać sobie otworzyć jeden z pokojów gościnnych, albo też udać się do parku. Wybrał to ostatnie. Uczynił to z tego powodu, że czuł się nieco zirytowanym i potrzebował świeżego do odetchnięcia powietrza.

Powód irytacji łącno się da wytłumaczyć.

Pan Marcin Kostrzewicki, aczkolwiek, dla spokoju domowego, odstąpił dzieci matce i do wychowania ich nie mieszał się wcale, nie mniej przeto poczuwał się do obowiązków ojcowskich, źródło których znajdowało się w sercu. Podkomorzy kochał dzieci swoje. Unycie od wychowania ich rąk pochodziło nie z braku serca, a ze zbytku zaufania w potęgę fortuny. Był tego przekonania, że co Francuzi i Paryżanki popsują, to pieniądze naprawią. Sądził trochę wedle siebie. Wychowanie, jakie sam odebrał, nie było ani świetne ani gruntowne. Umieć—cóż on umiał?—nie umiał nic. A przecie, gdy się znalazł na czele fortuny, znalazły się, jakby skinieniem różczki czarodziejskiej wywołane: i powaga, i swada, i pewność siebie, i takt, i rozum. Sprawdziło się na nim przysłowie ludowe: „Prybud' szczęście, rozum bude“. Nie uczył się wcale—uczeniem bowiem nazywać nie można spędzenia lat kilku w konwicie i przechodzenia z klasy do klasy za pieniądze—jednakże rozum miał i poważanie u ludzi posiadał. Uważał więc, że dzieciom jego nie przyniesie to ujmy najmniejszej, jeżeli się czegoś od Francuzów poduczają, chociażby tylko pronuncyacji paryzkiej. Dla tego wydał je matce, rzecz można, na pastwę edukacyjną. Nie chciałby atoli wydawać ich na pastwę losu.

— Biedna Ludka!...—rzekł głośno, chodząc po parku, zatrzymawszy się przed posągami Dyany, mchem do połowy okrytym, od mrozów popękanym i przez wróbli upstrzo-

nym. Otóż jej Klara małżonka wybrała!... Toć to (przez „to“ rozumiał księcia Godfryda) za ledwie do człowieka podobne... I co to za pozycie jej będzie!...

Wpatrywał się w posąg, jakby chciał, ażeby ten dał mu odpowiedź. Posąg milczał, odpowiadał jednak milczeniem samem, jak ów kościotrup, który pokazano elegantce pewnej z nadpisem: „Jaką jesteś, taką byłam; jaką jestem, taką będziesz“.

— Co za małżonek!...—zawołał, spoglądając ku pałacowi, przedstawivszy sobie żywo w oczach księżąt obu, w życiu ich powszedniem.

Księżęta pędzili żywot regularny, zegarkowy, jednostajny, otoczony nimbem wielkości, która racyi nie miała najmniejszej. W szeregach przodków ich świecili mężowie wartości rzeczywistej. Oni jednak odtoczyli się od jabłoni, ociężeli ciałem, skarleli duchem—wegietowali—jedli, spali, trawili i nic nie robili. Tryb spędzania czasu przez nich przyjęty, ciekawym był monotunnością. Zrana kawa ze śmietanką i z wielką mnogością bułek w łóżku, po kawie msza w kaplicy, po mszy śniadanie, po śniadaniu siesta do obiadu, po obiedzie siesta do herbaty, po herbacie spanie. Porządek ten zmieniał się raz w każdym tygodniu, w dniu, w którym komunię przyjmowali. Wówczas kawy w łóżku nie pijali. Z wyjątkiem tej zmiany jedynej, żywot ich toczył się bez wstrząśnień najmniejszych. Rzadki gość, gdy się pojawił w pałacu krasinowieckim, porządku nie nadwierał, nie było bowiem gościa, dla któregoby książę Norbert uważał za potrzebne i godziwe zadawać sobie przymus chociażby najmniejszy. To też rzadkim był wypadek, ażeby kto zajechał na podwórze pałacu krasinowieckiego. Szlachta okoliczna nie miała tam pędu najmniejszego, a jeżeli kto z dalszych przybywał okolic, to zazwyczaj stawał

w miasteczku, w domostwie zajezdne, szedł do pałacu na chwilę i wynosił się corychlej. Jeden tylko podkomorzy stanął pod względem tym wyjątek i to nie z popędu własnego, a z powodu podkomorzyny, która od dawien dawna czuła wielką dla księżęcego tego domu sympatyę.

— Co to za małżonek!..—powtórzył podkomorzy, pasując w myśli córkę swoją, dziewczynę jędrną i życia pełną, z tym galaretą obrosłym potomkiem rodu znakomitego, wpadającym w trwogę śmiertelną na wiadomość, że komuś się śniło, iż się w niebezpieczeństwie znajdował.

Szczerze mu córki żal było i szczerze pragnęłyby oszczędzić jej tej przykrości, niweczając życie całe. Myślał więc, czy nie dałoby się w sposób jaki nieszczęście to od niej odwrócić. Sposobów nastroczało mu się dużo, obok każdego z nich jednak stawała postać podkomorzyny i niszczyła w zarodku zamiary najlepsze.

— Ha!...—powtarzał i ramionami ścisnął.

„Żony się lękał“—ktoś pomyśleć gotów. Nie. Nie była to obawa żony, a wstręt do scen domowych, pociąg do spokoju miłego, dla którego gotów był córkę poświęcić.

Dał się słyszeć dzwonek.

Podkomorzy skierował kroki swoje ku pałacowi, i pomimo, że się nie spieszył, wszedł najpierwszy do salonu środkowego. Po nim niebawem przybył książę Godfryd.

— A!...—zawołał od progu, tocząc się powoli—witam pana podkomorzego dobrodzieja... Spodziewam się, że zdrowie jego w pomyślnym znajduje się stanie...

Litania z powtórzeniem.

Wkrótce potem, ciężko stąpając, wkroczył książę Norbert.

Książę rozpoczął powitania od syna. Ojciec i syn, mówiąc ze sobą, rozpoczęli frazes niemal każdy sakra-

mentalnym wyrazem: „spodziewam się“. Książę Norbert zwrócił się do podkomorzego.

— Witam sąsiada szanownego!... Spodziewam się... i t. d.
Wsunął się ojciec Korski.

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków...—odrzekli wszyscy chórem, szykując się z uszanowaniem frontem do księdza.

— Spodziewam się...—pisał stary książę—że zdrowie wasze, ojczy wielebny, w pomyślnym znajduje się stanie...

— Dziękuję waszej książęcej mości za łaskawą o mnie troskliwość...—odparł ksiądz ręce składając i głowę pokornie pochylając.

W chwili tej marszałek dworu zupę oznajmił.

Książę ukazał księdzu ręką na drzwi, oznajmiając przez to, ażeby zajął przewodnie w pochodzie miejsce.

Książdz się wymawiał. Książę nalegał:

— Prosimy... prosimy...

— Chybaż to zaszczyt ten odniosę nie do osoby mojej niegodnej, a do sukienki, która mnie okrywa...

— Prosimy...—powtórzył książę.

Książdz Korski złożywszy dłonie i ścisnąwszy pod pachą brewiarz—z tym nie rozstawał się nigdy—ruszył przodem, książę Norbert podał ramię gościowi; książę Godfryd zamykał pochód.

W sali jadalnej stał pośrodku stół, spojrzenie na który przenosiło w czasy dawniejsze. Uginał się od srebra.

Wazy, półmiski, salaterki, koszyki na chleb, solniczki, pieprzniczki, wygrzewalniki pod półmiski, łyżki, grabki, noże, niektóre gładkie, inne rzeźbione lub wyłacane, wszystkie były ze srebra czystego; talerze zaś przedstawiały zbieraninę fabryk i gatunków rozmaitych, zaczawszy od porcelany sewrskiej a skończywszy na fajansie horeckim,

Na srebrach cyfry i herby z mitrami książęcemi. Na środku stołu stały, w czaszach kryształowych, dwa bukiety kwiatów po połowie ogrodowych i polnych. W zastawie całej widać było połączenie dawniejszego dostatku z obecnym ubóstwem. Srebra ocalały i figurowały; porcelana się wytłukła i zastąpiono ją fajansem.

Nakryć było cztery, a przed każdym kielichów i kieliszków rozmaitej wielkości i kształtu różnego po kilka, inne do bordeaux, inne do węgryzna, inne do burgunda, do szampana, do win słodkich desserowych etc., butelka jednak. w której wino podejrzycie się dawało, znajdowała się tylko jedna.

Marszałek dworu ukazał biesiadnikom miejsca: na pierwszym posadził księcia Norberta, po prawej jego stronie księcia Godfryda, po lewej księdza Korskiego, naprzeciw podkomorzego. Każdy z nich obok krzesła swego stanął, ksiądz odmówił modlitwę po łacinie, przeżegnali się i miejsca pozajmowali.

I dał się słyszeć głos donośny marszałka, oznajmującego zupełną nazwaną wyrazem francuzkim przekręconym i pokaleczonym. Była to najprostsza w świecie zupa grochowa ze szperkami, zawieszista i wcale nie po pańsku przyrządzona. Książętom nalano pełne głębokie talerze, które oni, wypróżnili szybko, nie odrywając od takowych oczów. A gdy się zupa ku końcowi miała, wniesiono srebrną fajerkę, postawiono ją na środku stołu i na niej srebrny półmisek nakryty srebrną nakrywą. Zupa się skończyła, talerze głębokie sprzątnięto, jeden z lokajów nakrywę z półmiska zdjął, marszałek zaś oznajmił:

— Sztufada naturalna jarzyną garniowana z białym sosem...

Była to najprostsza w świecie sztukamięs z chrzanem.

Lokaj półmisek ze stołu wziął i obnosić go począł, zaczynając od księcia Norberta. Drugim z kolei był książę Godfryd, dalej ksiądz, na ostatku podkomorzy. Dwom tym ostatnim dostało się do podziału kawałeczków parę i sosu trochę, książęta bowiem, ojciec i syn, z półmiska okrytego zagarnęli jeden połowę i drugi połowę, utopili wzroki w talerzach i jedli łapczywie i żarłocznie.

Wniesiono znów fajerkę i półmisek nakryty, po odkryciu którego marszałek oznajmił:

— Kartofle *à la maître d'hôtel*...

Były to kartofle ze słoninką i z cebulką przysmażaną. Po tych nastąpiły „roniony wysadzane z ostrym sosem“, czyli nerki octem zaprawne.

Książęta z półmiska każdego nabierali sobie po talerzu okrytym i zjadali z żarłoczstwem przerażającym. Przykro i wstrętnie było patrzeć na nich. Mimowolnie przychodziło na myśl zapytanie: czy to ludzie? Nakładali do ust tyle, że ledwie gębą obracać mogli, policzki się im wydymały, oczy malały, po brodach im ciekło. Ksiądz Korski jadł mało i w milczeniu, z oczami spuszczone. Podkomorzy nie mógł jeść dużo, dostawały mu się bowiem resztki bardzo szczupłe. Dań było mało, półmisków cztery wszystkie, ale okrytych, tak, że obdzielić się z nich mogłoby osób dwanaście przynajmniej. Butelka z winem pozostała nietkniętą, przy desserze nawet, który składał się z sera krajanki, przezwanego przez marszałka szwajcarskim, i z owoców.

Po skończeniu uczy tej niewykwintnej, biesiadnicy powstawali z miejsc swoich i wysłuchali modlitwy dziękczynnej przez księdza odmówionej, poczem księciu Norbertowi podał ramię marszałek dworu, księciu Godfrydowi jeden z lokai i odprowadzili ich każdego w stronę inną. Ksiądz

brewiarz ujął, rozłożył i z utopionym weń wzrokiem wyszedł z sali jadalnej. Podkomorzemu lokaj drzwi szeroko od sieni otworzył, z sieni na ganek—powóz zaprzężony, a raczej niewyprzęgany, czekał—nie pozostawało mu nic innego, jak wracać do domu.

Jak widzimy przeto, zadanie podkomorzego było ogromnie do rozwiązania trudnem. Znajdował się pomiędzy młotem a kowadłem—pomiędzy kaprysem żony a idyotyzmem książąt, jednym i drugim do przełamania nie łatwym. Idyotyzm zwłaszcza przedstawił się mu pod postacią sęka nie do rozbicia, we względzie szczególnie losu, jaki czekał córkę.

— Trafićby do nich można...—myślał sobie.—Wymyśleć jeszcze jakiś sen i rzeczby się zrobiła... Złączyć jednak dziecko z człowiekiem takim, jak książę Godfryd?... przykuć je do niego łańcuchem małżeństwa?...

Myślał o tem długo. Rozpatrywał tę sprawę ze stron rozmaitych i nie widział w niej nic innego, jeno próżność, która żonie za pobudkę służyła.

— Boć ten z Gustawem romansik!...—mówił do siebie. W gruncie rzecz taka niewinna!... Młodzi oboje... Upłynie miesięcy kilka i miłość wywietrzeje, tak jej, jak jemu... Stałość romansowa istnieje tylko w książkach...

Konkluzją rozumowania powyższego było postanowienie pomówienia jeszcze z żoną. Ułożył sobie plan cały. Ułożył sobie frazesy, za pomocą których spodziewał się do przekonania trafić. Zajechał przed ganek otuchy pełen i udał się do apartamentu swego w nadziei, że podkomorzyna nadejdzie niebawem, w celu zasiągnięcia języka we względzie wizyty u księcia.

Nadzieja ta atoli płonną się okazała.

Nadeszła nie podkomorzyna, a panna Ludwika.

Dziewczyna była we łzach cała, w rozpacz. Rzuciła się ojcu w objęcia.

— Ach, papo!... papunieczku!...

Podkomorzy przygarnął ją do łona.

— Proszę mnie ratować!...

Położenie podkomorzego w obec córki łatwem nie było. Stawał on z góry po jej stronie, lecz jawnie z tem występować nie śmiał. Z serca całego gotów był pomagać jej, potrzebował jednak gotowość tę maskować w tem przeświadczeniu, że inaczej pomoc skutecznąby być nie mogła.

— Papo!... ja nieszczęśliwa!...

— Ha! samaś temu winna...—były słowa, za pomocą których neutralizował wzruszenie rzeczywiste, jakim go przejął widok rozplakanego dziewczęcia.

— Ach! papo!...

— Samaś temu winna, moje dziecko... Gniew matki jest słuszny... I ja się gniewam...

— Ależ tu, papo, nie o gniew chodzi...

— O cóż?... Dotychczas przynajmniej nie o co innego...

— Nie o gniew...—powtórzyła panienska—Gniew przebłagać można... Bóg się gniewa i przebacza... Chyba papa nie wie o niczem!...

— Wiem... — odrzekł podkomorzy z akcentem niechęci.

— Więc i papa przeciwko mnie?...

W zapytaniu tem zabrzmiał ton przesady teatralnej. Zdaje się, że panienska wiedziała, iż zapytanie podobne historya zapisała na kartach swoich. Wygłosiła więc je z emfazą niejaką i tem zapewne sprawę sobie popsuła. Podkomorzy odpowiedział sentencyonalnie.

— Ani matka, ani ja, nie jesteśmy przeciwko tobie,

moje dziecko... Pragniemy szczęścia twego jak najgoręcej... i posiadamy prawo niejake do uległości z twojej strony...

— Ach!... — zawołała panienka z wyrazem trwogi w głosie.—To samo, słowo w słowo, powiada mama...

— I ma rację—podchwycił podkomorzy.—Matka, co tak jak twoja całkowicie dzieciom się poświęciła, ma prawo domagać się od nich posłuszeństwa...

— Papo, ach! papo... myślałam, że mnie papa od księcia Godfryda uratuje!... W papie pokładałam nadzieję całą!...

Zasłoniła oczy chusteczką od nosa i płakać rzewnie poczęła.

Podkomorzemu żal było dziecka. Znajdował się jednak w pozycji drażliwej. Bez rozmówienia z żoną, nie chciał, nie mógł do niczego względem córki się zobowiązywać i nie miał innego do wyjścia z trudności sposobu, jak tylko pocieszać strapioną owemi wyrazami banalnemi, które pociechy nie niosą i sensu wiele nie mają. Mówił:

— Nie płacz, Ludko... Bądź spokojna... Jakoś to będzie... Księciu Godfrydowi, ostatecznie, cóż do zarzucenia jest?...

Na słowa ostatnie, panna Ludwika rzuciła się z giestem oznaczającym obrzydzenie.

— No i cóż!...—ciągnął podkomorzy.—Nie idziesz z nim przecie do ołtarza jeszcze!...

— Obym nie szła nigdy!...

— I to stać się może...

— O papo!...—zawołało dziewczę, przybierając nagle wyraz twarzy błagalny, składając dłonie i zwracając się do ojca z uśmiechem łzami oblanym—gdyby tylko papa zechciał!...

— Gdybym ja zechciał?...—zapytał podkomorzy to-
nem takim, w którym czuć było, że się nie poznał na tem,
iż słowa panny Ludwiki były podejściem.

— Gdyby papa tylko zechciał...—powtórzyła panien-
ka z przyciskiem.—Mama powiada, że od papy zależy wszy-
stko, że niczyja tylko papy dzieje się wola, że zawsze pada
na swoim postawi... O, papo kochany!... papo drogi!... Ja
się do papy modłę... o!...

I na kolana się osuwała.

Podkomorzy nie dopuścił jej uklęknąć.

— Papo!... ratuj!...

— No... no... bądź spokojną...

— Niech ja nie idę za księcia Godfryda...

— Cóż mówisz o iściu!... Jeszczeż zrobionego nie ma
nic...

— Niechże nic zrobionego nie będzie... Wszak to od
papy zależy...

— No... zobaczmy...

— Papa mi przyrzeka?...

— Nie przyrzekam nic... Mówię: zobaczmy...

— Papa chceć nie może nieszczęścia mego...

— Ani ja, ani matka nieszczęścia twego nie chcemy...
bądź o tem przekonaną... Bądź-że spokojną i czekaj... Ja-
koś to się zrobi....

Na „jakoś“ stanęła konkluzya, która pozostała jak oś
sprawy tej całej na długo—na miesięcy kilka. Podkomo-
rzyna chwyciła się taktyki osobiwej. Zamilkła w kwestyi
wydania córki za księcia Godfryda. Nietylko nie zapyty-
wała podkomorzego o rezultat wizyty powyżej opisanej, ale
nie mówiła z nim wcale o księżętach Gamajdach. Tak upły-
nął dzień jeden, drugi, trzeci. Obrabiała córkę, ale mężowi
spokój dawała i ten ostatni, za pośrednictwem córki tylko

dowiadawał się, że zamiar bynajmniej zaniechanym nie został. Pragnął rozmowy, wyzywał na takową; gotów był na burzę się narazić; nie był jednak w stanie, ani na rozmowę wyciągnąć, ani burzy ściągnąć. Podkomorzyna otoczyła się zagadkowością jakąś złowrogą, która to sprawiła, że podkomorzy, w tydzień później, znów pojechał z wizytą do Krasinowic.

Powrócił i znów znalazł się w obec zagadkowego małżonki milczenia.

W tydzień przeto znów z wizytą pojechał.

Milczenie się nie przerywało.

Położenie stawało się nieznośnem tak dalece, że podkomorzy mógłby śmiało z miecznikiem Malczewskiego powtórzyć:

„Wolałbym dźwigać więzy u brodacza Turka,
Niż żeby mi tak marnie więdnąć miała córka„.

Panna Ludwika wędła, w rzeczy samej. Trawiła ją niepewność, a może i inna jeszcze okoliczność, miłość na przykład, która, w sposób gwałtowny przzerwana, w samym tym sposobie siłę czerpała.

Gustaw, był to chłopiec, jakby do kochania umyślnie stworzony. Zapomnieć o nim z trudnością przychodziło, mając zwłaszcza w rodzaju *vade mecum*, książki francuzkie w ilości niemałej, które nauczały prawideł kochania, jak dzieła sławnego Felicyana da Silva nauczyły poczciwego wieśniaka, nazwiskiem Quixada, prawideł rycerstwa błędnego. Ta przeto okoliczność przyczynić się mogła wielce do więdnienia panienki, tembardziej, że pan Gustaw słychu o sobie nie dawał. Dziewczę się trapiło i męczyło—po nocach nie sypiała, apetyt traciła; gorączki niekiedy dostawała, słowem politowanie wzbudzała. Podkomorzy więc postanowił rozmówić się z małżonką, i wybrawszy do tego

moment, który się mu najstosowniejszym wydawał—porę poobiednią—zaczął:

— Potrzebaby, Klareczko, żebyśmy się porozumieli...

— Względem czego?...

— Względem losu Ludki...

— Tyś ojciec... Tyś pan... Nie ma gadać o czem...

— Czy ty trwasz w... życzeniu... wydania jej za księcia Godfryda?...

— Cóż życzenie moje tu znaczy?...—zapytała pani ironicznie.

— Trzebaby... zdaje się...—ciągnął podkomorzy, usiłując rozmowę na właściwy zwrócić przedmiot—mieć wzgląd na Ludkę...

— My kobiety powinnyśmy we względzie względów wszelkich być z góry wyperswadowanemi... Wzgląd na Ludkę?... Możeby się godziło mieć troszeczkę względu i na mnie?... Zresztą, o czem tu gadać!... Tyś ojciec... Tyś pan... Rób, co i jak ci się podoba...

— Aleś ty matka!...—podchwycił podkomorzy.

— Matka... cha, cha!... odsunięta od troski o los dziecka!... postawiona w położeniu bardzo wygodnem, acz upokarzającym... Ale... co tam!...

— Wiesz przecie, że jeżdżę do Krasinowic...

— Więc?...

— Chciałbym przed tobą z rezultatu wizyt tych sprawę zdać...

— Nie ciekawam...

To rzekłszy, zawołała na pannę służącą, kazała sobie żurnal mój podać i poczęła dawać jej informacye, co do stroika jakiegoś, który należało albo z muszlinu w centki, albo z muszlinu w rzutki wykroić. Stroik ów pochłonął podkomorzyny uwagę całą; rozprawa zaś o nim zaniósła się

na tak długo, że podkomorzy uważał za rzecz najstosowniejszą wynieść się do apartamentu swego, bez doprowadzenia do skutku postanowienia rozmówienia się.

— Ha!...—zawołał znalazłszy się sam.—Jedno z dwóch: albo zgodzić się na piekło w domu w stanie ciągłości dożywotniej, albo też...

Pomyślał przez chwilę i krzyknął:

— Lewicki!... każ mi konie do powozu zaprządz!

VI.

Nie doprowadziwszy do skutku postanowienia rozmówienia się z żoną, powziął postanowienie rozmówienia się z księżętami. Tyczy się to poczciwego naszego podkomorzego, który, stanąwszy na punkcie „albo, albo“ wolał zażykować córkę, jak siebie.

Czy się to tak nie dzieje na tym świecie podślonecznym?

Na zapytanie to, możnaby się do tej chrześcianinowi każdemu doskonale znanej uciec odpowiedzi: „Kto bez winy, niech na podkomorzego kamieniem ciśnie“.

Podkomorzy też do winy się nie poczuwał najmniej-szej, zajechał przed pałac szczęśliwie, wysiadł i w progu spotkał tych samych dwóch służących, których spotykał zwykle i którzy przed nim ze zwykłym ceremoniałem podwoje otwierali.

— Jego wielbność, ksiądz Korski, w domu?...

— W domu jaśnie wielmożny panie... Niech jaśnie pan chwilkę zatrzymać się raczy, natychmiast zamelduję jaśnie oświeconemu księciu...

— Nie o księcia a o księdza pytam...—podchwycił podkomorzy, spostrzegłszy, że lokaj niedosłyszał.

— O księdza?...

— O księdza jezuitę...

— To ja... nie wiem... Bo to...

Porządek etykietałny chciał, żeby goście, przybywający do pałacu, przedstawiali się najprzód księciu ojcu, następnie księciu synowi, w końcu księdzu jezucie. Podkomorzy porządek ten na odwrót stawiał. Lokaja to przerażyło.

— Ja nie wiem...—bąkał.

— Pójdź zamelduj mnie...

— Jaśnie oświeconemu księciu?...

— Nie, księdzu... księdzu jezucie... Rozumiesz?...

— Ależ... bo to... jaśnie wielmożny panie...—zaczął lokaj.

— Czy ksiądz jezuita w domu?...

— Musi być... zdaje się... gdzieżby był indziej!...

— Pójdź więc wprost do księdza jezuity i zapytaj jego wielbności, czy zechce ofiarować mi chwilkę czasu... Mam do niego interes...

— Interes?...

— Tak jest, interes... Przybywam nie z wizytą ale z interesem i dla tego nie przedstawiam się księciu panu aleksiędzu jezucie...—tłumaczył podkomorzy, domyśliwszy się co lokaja powstrzymuje.

Ten atoli wahał się jeszcze.

— Idź-że, ośle stary!...—krzyknął podkomorzy zniecierpliwiony.

To nareszcie *dictum acerbum* skutek odniosło.

Lokaj poszedł; nie było go długo z powrotem; pojawił się nareszcie, oznajmiając, że wielbność jego prosi jaśnie wielmożnego podkomorzego.

Ksiądz Korski przyjął gościa tak samo, jak poprzednio, tę samą przybrał postawę, temi samemi przemówił wyrazy i tak samo siedzenie ręką ukazał.

— Ojcie wielebny...—zaczął podkomorzy.

— Przepraszam...—przerwał ksiądz, rękę podnosząc. Asan dobrodziej oznajmić mi raczyłeś interes jakiś... Czy wolno zapytać: jakiej natury?...

— Pufnej... przyjacielskiej, księżę dobrodziej!...— odparł podkomorzy bez namysłu, wietrząc w zapytaniu zastrzeżenia jakoweś.

— Czyż ja, niegodny, zasługuję na przyjaźń asana dobrodziej!...

— Ojcie wielebny! kapłanem jesteś, udaję się więc do was, przedewszystkiem, jako do takiego...

Ksiądz głową skinął.

— Następnie, jesteś opatrnością, czuwającą nad lato-
roślą rodu znakomitego książąt Gamajdów, zredukowanego,
w osobie księcia Godfryda, do przedstawiciela onego jedy-
nego... Ród ten obchodzi mnie żywo, jak obywatela każde-
go, stanowisko swoje rozumiejącego, obchodzić powinna ży-
wa tradycja...

Ksiądz powtórnie, wyraziściej atoli jak poprzednio,
głową skinął.

— Mówmy otwarcie...—ciągnął podkomorzy po prze-
stanku króciuchnym, podczas którego odetchnął—ród ten
zaczeknie, jeżeli go nie podtrzymamy...

Ksiądz się uśmiechnął.

Podkomorzy mówić przestał.

Ksiądz się odezwał:

— Słucham asana dobrodziej!...

Podkomorzy był jak człek płynący, któryby życzył so-
bie, ażeby mu kto rękę podał. Odchrząknął i mówił dalej:

— Opłakany, zaiste, los zagraża młodemu księciu,
gdyby... broń Boże... jeden tylko z wierzycieli o należność
się zgłosił...

Ksiądz popatrzył podkomorzemu w oczy, wzrokiem który do duszy zaglądał. Chwilkę pomilczał i odrzekł:

— Rzecz to nie moja... Sprawy ziemskie obchodzą mnie miernie...

— Ksiądz dobrodziej nie możesz jednak nie uznać rzetelności przedstawienia stanu, w jakim się księżęta znajdują...

— Tak... Czyby jednak nie właściwiej było, przedstawienie to uczynić księciu panu?...

— Nie... zachodzi tu okoliczność jedna natury bardzo delikatnej... Żona moja i ja powzięliśmy zamiar wydzwignąć ród ten z upadku, w taki atoli sposób, ażeby się tego nie domyślali ani książe ojciec, ani książe syn...

— Zamiar chwalebny...—wtrącił ksiądz.

— Są to bowiem do szanowania z jednej i z drugiej strony uczucia godności osobistej...

W tem miejscu ksiądz znów się uśmiechnął.

— Krótko powiedziawszy...—rzekł podkomorzy żywo, jakby uśmiechem tym ponaglony—idzie o to, ażeby córkę moją węzłem małżeństwa z księciem Godfrydem skojarzyć...

Jezuita na słowa te, oczy powoli zamknął i głowę spuścił. Zapanowało chwilowe milczenie, które przerwał podkomorzy.

— Rozumie więc ksiądz dobrodziej, że sprawa ta przeprowadzić się nie da bez interwencji osoby trzeciej, umięjącej należycie ocenić wzajemny stron stosunek... Córka moja nie może się o księcia Godfryda starać; trzeba żeby się książe starał o nią... Ja nie mogę księciu Norbertowi wyluszczać kombinacji, za pomocą której stan interesów jego z opłakanego, odrazu w świetny się zmieni; jest to bowiem rzecz delikatna, dotykając której musiałbym obrazić miłość własną jego księżęcej mości... Dla tych wszystkich przeto

względów, interwencya wasza, ojczye wielebny, jest tu konieczną...

Ksiądz powieki otworzył i na podkomorzego spojrział. Podkomorzy oczy spuścił.

— W każdym razie, w interesie, jaki księdzu dobrodziejowi mam zaszczyt przedstawiać, naganego nie ma nic...

— Jest ofiara...—odrzekł ksiądz tonem uroczystym.

— Daję dziecko i fortunę...—zareplikował podkomorzy.

— Książe daje imię...

— A!...—chciał podkomorzy powiedzieć coś innego; zamiarkował się jednak i powiedział:

— Zapewne... Ceni się to wysoko... Dla tego też skojarzenie córki mojej z księciem Godfrydem, zamiast iść drogą zwyczajną, wchodzi, przez pośrednictwo księdza dobrodzieja, na drogę negocyacji poważnej... Wielebność wasza przybierasza tu charakter szafarza: jednemu dajesz wielkie imię, drugiemu wielką fortunę, a wszystko to ku tem większej chwale bożej, fortuna bowiem pójdzie pod rozporządzenie pupila waszej wielebności, syna waszego wedle ducha...

— Amen...—odezwał się ksiądz.

— Uważać więc mogę sprawę za załatwioną?...

— Uważaj ją asan dobrodziej za znajdującą się na dobrej drodze... Podałeś argumenta *ad hominem*, których trafność uznaję... Są jednak jeszcze niektóre do zwalczania trudności...

— Sądzę, ojczye wielebny, że trudności owe zwalczyć się nam dadzą...

— Zobaczymy... zobaczymy... Przed straszakiem ryb się nie łowi... W każdym razie ze strony mojej dołożę starań, za skutek których nie ręczę jednak... Ród Gamajdów jest wysoki... Ho!

— Toć — podchwycił podkomorzy — ród Kostrzewickich nie jest znów tak niski, ażeby trudność z tej strony wielką być miała... I my się wyprowadzamy od kasztelanów, wojewodów, którzy obok Gamajdów zajmowali krzesła senatorskie...

— Nie w tem rzecz...—odparł ksiądz.—Mitra jest znamieniem symboliki duchowej, która tłumaczy się następującemi Zbawiciela słowami: „Oddaj Bogu co boskie, a Cezarowi co jest Cezara“... Glina jest gliną, złoto złotem, człowiek człowiekiem, lecz glina, złoto i człowiek nabierają znaczenia szczególnego, gdy owionie je tchnienie boże...

— Zapewne, ojczcie wielebny...—odrzekł podkomorzy, nie myśląc przeczyć mistycznym księdza wywodom. Ja też nie odważam się rodu mego stawiać na równi z rodem książęcym Gamajdów... *Sum cuique*... Śmiem tylko twierdzić, że się książę Godfryd nie bardzo zniży, pojmując Kostrzewickę za małżonkę. Książęta Radziwiłłowie, książęta Sapiehowie, książęta Czartoryscy, Czetwertyńscy, królowie nawet kojarzyli się ze szlachciankami nie lepszymi od córki mojej...

— Wyjątki, chociaż najliczniejsze, reguły nie obalają... Zobaczmy jednak, mości podkomorzy... zobaczymy... Co do mnie, nie widząc w propozycyi asana dobrodzieja wyraźnej obrazy bożej, gotów jestem popierać ją w miarę możności mojej...

Rozmowa przeciągnęła się dłużej jeszcze. Ksiądz jezuita nie przyrzekał wyraźnie, nie odmawiał stanowczo: czynił dopięcie zamiarów zależnem od warunków jakichś bliżej nie określonych a mglistością mistyczną osłoniętych, stawiając młodego księcia Godfryda jako istotę, będącą wcieleniem wyższej jakiejś idei. Podkomorzy nie rozumiał tego dobrze, i dla tego też zapewne uznawał racye przez księdza Korskiego podawane. Co więcej, racye owe podno-

siły w oczach jego księcia Godfryda i pożądanym go czyniły. Nabierał on w oczach jego znaczenia owocu zakazanego, i pomimo, że zdrowy rozum powiadał mu, że książę w ogólności jest idjotą na politowanie zasługującym, wydawać się mu poczęło, że pragnienie związku tego ze strony żony jest dziełem natchnienia, spływającego z nieba. Tak go rozmowa z księdzem nastroiła.

Podkomorzy dzięki wyobrażeniom, któremi nasiąknął, podległym był hallucynacyom swego rodzaju. Skolligowanie się z księżętą nabierać poczęło w oczach jego znaczenia osobliwego, a i idjotyzm nawet przedstawiał się mu już nie jako idjotyzm zwyczajny, lecz jako coś idealnie zagadkowego, tajemniczego i wyższego. Uwierzył w ofiarnosc księcia, nie przestając jednak litować się nad dzieckiem własnem, to znaczy, żywić tego przekonania, że i panna Ludwika występuje jako ofiara.

— Biedne dzieckol!...—mówił sobie.—Ale... ha!.. nie ma rady...

Dwa wyrazy ostatnie były pod adresem podkomorzyny, odgrywającej rolę wyroczni. Byłaby rada, gdyby nie podkomorzyna.

Napróżno się więc panna Ludwika razy jeszcze kilka do ojca z prośbami i łzami zwracała. Podkomorzy dawał odpowiedzi wymijające, pocieszał córkę i uspokajał; powiadał jej:

— Jakoś to będzie...

Aż powiedział w końcu:

— Nie ma rady...

— Papo!...—krzyknęło dziewczę biedne.—Jakto?... ja za tego... wyjść muszę?...

— Zdaje się, moje dziecko...

— Papie się zdaje?... Mama chce?... Papa chyba na meżką wolę zdobyć się nie może!...

— Nie to... Ty nie wchodzisz w powody istotne... Nie bierzesz na uwagę tego, że ty, córka moja, dźwigniesz z upadku ród znakomity... Zastanów się jeno nad tem, zastanów się jeno nad tą rolą wzniosłą, jaką ci Opatrzność w ręce daje...

— Ależ papo!...— podchwyciła panienska patetycznie nieco. Ja... kocham... kogo innego...

— Iii...—machnął podkomorzy ręką.—Tyś jeszcze zbyt młoda i tobie się tak wydaje... Miłość ta, wierz mi, jest urojeniem...

— Ach! papo... Co też papa mówi!... Ja kocham!..

Rzecz się miała tak. Pan Gustaw, jakeśmy o tem wyżej wspomnieli, ulotnił się z horyzontu ohrebyskiego. Odszukamy go w dalszym powieści ciągu; dla panny Ludwiki atoli był on nie do odszukania, dla powodów, których ona nie знаła i zamiast których tworzyła sobie dramat miłosny, przerażająco romantyczny, który się jednak zakończyć miał bardzo dobrze. Panienska nastrajała się do zakończenia tego, ślubując co chwila kochankowi nieobecnemu wierność niewzruszoną. Spodziewała się wieści od Gustawa, spodziewała się dalej samego Gustawa, w postaci bohatera, przybywającego po nią i gotowego za nią życie hazardować. Duchy go jakieś prowadziły; przecucia nim kierowały.

Co się jej samej tyczy, gotową była na hazardy wszelkie, mianowicie zaś na to, ażeby, w jakiejś kapliczce ustronnej, przed jakimś księdzem nieznanym, w obecności świadka jakiegoś zagadkowego, wziąć z miłym ślub, słowem, dać się wykraść. Bardzo jej się tego chciało. Marzyła o tem, roiła; ile razy sama pozostawała, natychmiast

szła do zwierciadła i na wykradzioną pozowała, układając stosownie włosy na głowie, mantylkę na ramionach, szal na ręku, zatykając za warkocze i za gors kwiatki polne i listki różne i przybierając minę bolejąco-radośną. A westchnienia jej—któżby je policzył!.. Wzdychała co moment; co moment oczy do góry wznosiła, łzami je bardzo często rosła i na Gustawa czekała.

Czekała atoli nadaremnie.

Gustaw podział się gdzieś. Nie przybywał. Wieści o sobie nie dawał. Nie stawiał się ani w postaci bohatera, ani też w postaci śmiertelnika zwyczajnego.

Napróżno wieczorami wymykała się do ogrodu, do pamiętnej altany. Napróżno echem rzucała zapytanie:

— Gdzie ty?..

Echa jej zapytaniom odpowiadały—bawiły się z nią niejako w ślepą babkę.

Raz rzuciła wykrzyknik:

— Gustawie!..

Echa odpowiedziały jej:

— W stawie...

Złękła się dziewczyna biedna i przepłakała noc całą, myśląc o duchu kochanka i o tem, jak Gustaw po śmierci wygląda.

Myśl ta sprowadziła do fantazyi jej myśl o śmierci własnej. Wyobraziła siebie bladą, w białej sukni, w zielonym wieńcu, pod gazową zasłoną, w ślubnej odzieży, leżącą na czemeś, nie na katafalku jednak—katafalk wstręt w niej budził i nie chciała siebie nawet wyobrażać na nim; wtem, wchodzi ktoś,—to on!.. staje, kolana ugina, ręce wyciąga i woła:

— Ludwiko!..

— Gustawie!..—odpowiada mu dziewczyna.

Nieboszczka zmarłych powstała. Miłość cud sprawiła. Dusza usłyszała wołanie kochanka, z raju przybiegła—raj opuściła—wstąpiła w ciało napowrót, i zmarła, powstawszy z wolna, podała kochankowi rękę. Ksiądz, który miał grzebać, dał ślub.

Tak więc, w ten i ów sposób, zawsze się i dramat ślubem miał zakończyć.

Panna Ludwika marzyła, roiła—kochała—kochała tak silnie, że się zdobyła na odwagę powiedzieć to ojcu, pewną będąc, że wyznanie wywrze na podkomorzym wrażenie piorunujące, że podkomorzy osłupieje, zatoczy się, ręką się za poręcz jakąś uchwyci i zapyta:

— Ty?... kochasz?...

Zdziwiła się więc nie pomału, gdy zamiast tego ojciec ręką machnął i miłość tę, tą kłębiącą i taką nadzwyczajną urojeniem nazwał.

— Ach, papo!... Papa chyba nie wie...

— Wiem, moje dziecko... Byłem młodym i ja... I mnie także w głowie zielono bywało...

— Papa chce chyba zrobić ze mnie ofiarę!...

— A gdyby; przypuśćmy, i tak było, to czyż nie piękniej, nie wznioślej, ofiarą zostać, aniżeli kapryswi dogodzić!... W ofierze jest coś wzniosłego, podczas kiedy w kaprysie nie ma czego innego, jak tylko urojenie...

— Urojenie?... miłość?...

— A no... Ręczę ci słowem szlacheckim, iżbyś się tak nie rozkochała, gdybyś była *antycypatywe* nie przeczytała romansów tuzinów kilka...

— Papo!... zgroza!...

Ze słowem tem na ustach panienka wybiegła z apartamentu ojca, udała się do swego i tam oddała się rozpacz... przed zwierciadłem. Rozpacz—dodać należy—była

jej stanem normalnym od czasu zniknięcia Gustawa, oswoiła się więc nieco ze stanem tym, który z powodu jednostajności poczynał jej już ciężyc potrosze. Rojenia o wykradzeniu i o śmierci ze zmartwychpowstaniem, były to symptomata zdradzające znużenie, jeżeli nie znudzenie. Pragnęła wyjść już ze stanu tego tak lub owak, bodaj przez śmierć.

— Śmierć...—mówiła do siebie, w zwierciadło spoglądając i usiłując obliczu swemu nadać wyraz jak najbardziej śmiertelny.—O!... ach!... ofiara!...

Wysunęła szufladkę w gotowalni i wydobyła z takiej pudełeczko safianem obite i na klamerki zamykane. W pudełeczku tem mieścił się stroik dyademem zwany. Było to cacko szczerozłote, zdobne w perełki i brylanciki, tworzące zygzaki symetryczne. Panna Ludwika przyłożyła je sobie do warkocza, który jej głowę nad czołem obwijał, przytwierdziła je iglicą, odgarnęła włosy z nad skroni, podczesała je szczotką do góry—spoglądała w zwierciadło, wdychała i uśmiechała się.

Uśmiechała się i wdychała.

Analiza uśmiechów tych i tych westchnień byłaby niesłychanie ciekawą, i wielką mielibyśmy ochotę uczynić takową. Musimy ją jednak na później odłożyć, a może i całkowicie zaniechać, przekładając stawianie faktów nad rozsnuwanie rozumowań, będących nie czem innym, jeno zapuszczeniem skalpela w duszę dziewczęcia szesnastoletniego. Operacya chirurgiczna tego rodzaju wstręt niejaki sprawia, nie chirurgom wszakże, ale mężom wielce poważnym, krytykom, stojącym na straży ideałów, którzy krzyczą na pisarza: „Nie tykaj tego!... Nie rozbijaj kryształów, w których się tak barwnie rozkładają promienie!... To cynizm!“ Dobrze więc. Nie będziemy się w analizę wdawali. Po wiem prosto: panna Ludwika uśmiechała się i wdychała,

mając na głowie iglicą przypięty dyademik szczerozłoty, który jej przywiózł papa z kontraktów kijowskich. Dyademik był szczerozłoty, misternie zrobiony. Z pośrodku perełek mrugały dyamenciki i zdawało się, jakby cichym a tajemniczym szeptały głosem:

— Księżna...

Głos zaś w sercu odszeptywał:

— Ofiara...

Wyrazy „księżna“ i „ofiara“ dopuszczały się dziwnych jakichś w umyśle dziewczyny łamańców. Raz wsiadał wierzchem jeden na drugi i jechał—księżna osiodływała ofiarę, lub też ofiara księżnę; znów jeden robił sobie z drugiego posłanie i wyciągał się na takowem; zdarzało się, że jeden z drugim spletał się w rodzaj girlandy długiej niezmiernie i obwijał pannę Ludwikę od głowy do stóp, obwijał ją tak gęsto, że z tych kwiatów, w które się poprzemieniały litery, tworzyła się tkanina przejrzysta, osłaniająca pannę Ludwikę całą, tak jednak, że z pod niej wychylała się postać jej w jaśni osobliwej jakiejś, w dyademiku na głowie mrugającym dyamencikami, nie szeptającami już, ale wygrywającami na strunach promiennych wyraz dźwięczny:

— Księżna...

Wyraz ten, w towarzystwie wyrazu „ofiara“, nie był pozbawiony uroku pewnego.

Pana Ludwika jednak wzdychała.

A... kochałaż przecie.

Miłości nie wrywa się z serca, jak chwastu z grządki i nie rzuca się jej na drogę przechodniom na podeptanie. Panna Ludwika też nie wrywała i nie rzucała, ale ją powoli, ostrożnie, z całym należnym jej uszanowaniem i z jak największym smutkiem wyjmowała i jak najdelikatniej w bawełnę wspomnień obwijała. Nie zrobiło się to odrazu.

Nie dokonało się to w zupełności. Po pierwszym tem posiedzeniu, na którym odbyła się konferencya poufna pomiędzy dwiema pannami Ludwikami—tą przed zwierciadłem i tą w zwierciadle—po posiedzeniu tem, panna Ludwika usłyszawszy za drzwiami chód matczyiny, szybko schowała dyademik do szufladki, uskoczyła w bok, i rzuciwszy się na kanapę, oparła się łokciem o poręcz w pozie rozpaczey.

Prezesowa weszła, zatrzymała na córce wzrok surowy i zapytała:

— I długoż to jeszcze, Ludwiko, dziecinić się zamierzasz?...

Panna Ludwika nic na zapytanie to nie odpowiedziała.

— Mówiłaś z ojcem?...

Panna Ludwika westchnęła.

— Trzeba, żebyś wiedziała, że ja z ojcem twoim w materyi tej nie mówię wcale... Nie chcę, ażeby życzenia moje na postanowienie jego w najmniejszym wpływały względnie... Usunęłam się na stronę całkowicie... Ojciec twój ma swoją wolę, którą przeprowadzać lubi i umie: dowiódł tego w pożyciu naszym aż nadto... aż nadto, powiadam, często bowiem, a raczej najczęściej nie chciał tego, czegom ja chciała, nie dla czego innego, ale dla tego jedynie, ażeby woli swojej na uszczerbek nie narazić... Nie brałam, Bóg widzi, i nie biorę mu tego za złe... Zostawiałam mu i zostawiam swobodę działania zupełną... I obecnie, jeżeli się ciebie zapytuję, to dla tego jedynie, ażeby się do woli jego zastosować... Mówiłaś z ojcem?...

— Mówiłam, mamó...—wyjąkała panienka.

— Cóż więc?...

— Papa... hm... papa... chce tego samego, co mama...

— Żebyś szła za księcia Godfryda?...

— Żebym z siebie ofiarę tę zrobiła...

Podkomorzynie przemknął przez oblicze uśmiech, który nazwalibyśmy ironicznym, złośliwym nawet, gdyby to nie matka z córką rozmawiała.

— Widzisz więc...—rzekła—i ojciec domaga się od ciebie... tej... *ofiary* (wyraz ten z przyciskiem wymówiła)... ojciec, mający dla ciebie słabość... Przekonajże się, że ze strony mojej nie jest to żadne przywidzenie, żadna fantazyja, ale zrozumienie jasne pozycyi tak naszej, jak twojej... Tyś mnie smartwiła bardzo i zraniłaś serce moje głęboko...

Podkomorzyna, mówiąc to usiadła obok córki i dalej głosem łagodnym mówiła:

— Ale ja ci i przebaczę i zapomnę... Wierz mi, moje dziecko, nikt cię tak nie kocha i kochać nie może, jak ojciec i matka... Tyś jeszcze taka młoda, tyś dziecko prawie... nie masz praktyki życia, nie masz doświadczenia, skłonną jesteś brać złudzenia za rzeczywistość i błądzić... Zbłądziłaś... ojciec i ja, bez zważania się uprzedniego, nie robimy nic innego, tylko ścieżkę twoją prostujemy... Ja ci przebaczam, bo ja cię kocham, bo chcę widzieć ciebie nie jakąś tam Zahalnicką, a księżną Gamajdziną...

Padły sobie w objęcia. Panna Ludwika płakała i podkomorzyna się rozplakała.

Przez chwilę słychać było jeno dwa łkania, wtorujące jedno drugiemu.

Po chwili słyszeć się dał wyraz:

— Ofiara...

Wymówiła go panna Ludwika.

Podkomorzyna na to:

— Cóż robić!... moje dziecko... cóż robić!... Ofiara to, ale wzniosła, ale piękna, ale chlubna...

Płakały jeszcze trochę, aż łyzy im oschły i podkomorzyna prawie poczęła o ofiarach w ogólności, jakie czynią

z siebie wszystkie panny za mąż wychodząc. Ściągało się to do niej samej, do wyjścia jej za podkomorzego.

— To los nasz ogólny, chodzi o to tylko, ażeby się poświęcić dla kogoś, co tego wart, co na ofiarę zasługuje, ażeby nie wyrzucać sobie potem przez życie całe: mogłam zrobić los inny...

Westchnęła.

Panna Ludwika odpowiadała matce westchnieniami.

Wszakże nie zaofiarowała się jeszcze tym razem na księżnę.

Podkomorzyna nie nalegała na nią.

Przyszło to samo przez się, bez nalegania, w tygodni parę po rozmowie powyżej przytoczonej, kiedy panna Ludwika, odbywszy kilkanaście konferencyj sama ze sobą, wyjęła z serduszka swego miłość dla Gustawa, obwinęła ją należycie w bawełnę wspomnień i włożyła do pudełeczka złocistego, uklejonego z rojeń dziewiczych. Prześliczne to pudełeczko! Widać przez nie na wylot. Przedmioty w niem przechowywane przelewają i migocą, niby woda w brylancie, i w końcu wietrzeją wraz z pudełkiem, z bawełną i ze wszystkim. Nie następuje to jednak odrazu, o! nie.

Panna Ludwika walczyła z sobą długo.

Nie zapytywała już atoli ech o Gustawa, pomimo, że o nim myślała, układając sobie sceny rozmaite, które się odegrać mogły i w układaniu których zachodziło pewne stopniowanie.

Wyobrażała sobie, najprzód, że Gustaw pojawia się nagle przed nią i zapytywała sama siebie, jakby się w tym wypadku znalazła. Niestety! nie miała już na zapytanie to odpowiedzi wyraźnej. Pragnęła i nie pragnęła wypadku podobnego, potrzebnego koniecznie do zaokrąglenia romansu. Wyobrażała sobie następnie siebie po zarę-

czynach; Gustaw się pojawia; ona mu pokazuje pierścień, on wpada w czarną rozpacz, z której wywiązuje się historia długa, dyalogowana—pojedyńki, awantury—i kończy się to wszystko jakoś, bez konkluzji jasno określonej. Wyobrażała sobie w końcu siebie w sukni białej, w wianku zielonym, w zasłonie gazowej klęczącą na stopniach ołtarza, wymawiającą wyrazy sakramentalne. Wymówiła wyrazy te, rzuca okiem i spostrzega pod kolumną postać bladą, z włosami rozczochranemi, ze wzrokiem błędnym. To on! w oczach się jej zaćmiło. Wtem rozlega się wystrzał z pistoletu. Scena ta, pomiędzy wszystkimi innemi jedyna, miała koniec i zaokrągląła romans całkowicie.

VII.

O! było z książętami, a właściwie z ojcem Korskim kłopotu nie mało, zanim się targu dobiło.

Sprawa, nie obwijając rzeczy w bawełnę, zesłała na targ. Książdz zgodził się w zasadzie, chciał jednak ofiarę księcia wyzyskać na księcia korzyść; podkomorzy zaś nie chciał ofiary córki hazardować na przepadłe. Rozbijało się o to, jaki z posagu panny Ludwiki użytek zrobić: czy go oddać księciu na własność, czyli też zabezpieczyć na Krasiłowcach. Ojciec Korski stał przy pierwszym uparcie, podając za przyczynę względy, czerpane w biblii, w ewangelii, w ojcach kościoła, w autorach pogańskich i w prawie kanonicznem i przytaczając przykłady historyczne z żywotów Świętych pańskich i inne również autentyczne. Podkomorzy nie był w stanie go przeargumentować. Liczne a często się powtarzające z księdzem jezuitą konferencye kończyły się na niczem. Po każdej podkomorzy powiadał sobie:

— Nie mogęż przecie córki własnej zarzynać...

I po razy tysiąc decydował się, dać temu wszystkiemu czysty pokój. Chodziło mu jednak o spokój domowy. Wziął więc na kiel i taki do ojca Korskiego wystosował list:

„Wielebny ojcze i jaśnie wielmożny mości dobrodzieju! Nie mogę ja nie przyznawać JW. Imć panu dobrodzie-

jowi racyi we wszystkim. Słów jego z pokorą słucham. Wszelako, ojcem będąc, nie chcę, a raczej nie mogę dziecka własnego pozbawiać słusznie należnej onemu i uczciwie nabytej fortunki. Z drugiej atoli strony, zważywszy, że dziecko to, jest córka moja, żywi affekta gorące względem jaśnie oświeconego imć księcia i cierpiałoby wielce, gdyby nie zostało synową jaśnie oświeconego księcia Norberta Gamajdy, mam zaszczyt oświadczyć JW. Imć panu dobrodziejowi, iż następującą stawiam alternatywę: albo niech będzie po mojemu, albo też na mocy rewersu jaki posiadam, opatrzonego podpisem własnoręcznym jaśnie oświeconego księcia, zahypotekowanego i oblatowanego, od którego od lat dwudziestu pięciu procentów nie pobierałem, na mocy rewersu rzezonego, o którym wielebność wasza wie dobrze, będę się widział zmuszonym przeprowadzić, z bólem serca, tradycyę majątku, to jest wyzucć jaśnie oświeconego księcia i pana z dóbr wszelkich i z alimentów, jakich takowe dostarczają. Z bólem serca, powiadam, chwycę się sposobu tego. W waszej, ojcze wielebny, mocy odwrócenie ciosu, który, że tak rzekę, z rozpaczą zadam, jeżeli od wielebności waszej pomyślnej nie dostanę odpowiedzi.

„Mam zaszczyt“, etc.

„Jaśnie wielmożny mości dobrodziej!—brzmiała odpowiedź księdza.—Jedynie tylko dla niedopuszczenia jaśnie wielmożnego pana do grzechu, którybys nieochoybnie ściągnął na siebie, gdybys zmartwił pana tak zacnego, tak bogobojnego i tak przykładnego, jak jego oświecony książę, jedynie dla tego, nie zaś dla czego innego, podejmuję się pośrednictwa we wiadomym imć panu dobrodziejowi interesie. Nie ręczę za skutek. Ufam tylko, że łaska boża natchnie mnie wymową, potrzebną do odwrócenia grzechu JW. pana dobrodzieja. Będę się za jaśnie wielmożnego pana dobro-

dzieja modlił, i polecając go nieprzebranemu Pana naszego Jezusa Chrystusa miłosierdziu, mam zaszczyt“ etc.

„*Post scriptum*. Racz jasnie wielmożny pan dobrodziej pofatygować się do Krasilowiec za tydzień od daty niniejszego“.

Podkomorzy liczył, że za tydzień zostanie już rzecz całą załatwioną. Omylił się jednak. Zastał ojca Korskiego w usposobieniu posępnem. Ksiądz spotkał go słowami następującemi:

— Nie... Sumienie nie pozwala mi brać grzechu na siebie, znając onego rozciągłość całą...

— Więc ja, ojcze wielebny, nie mam co tu robić...— odparł podkomorzy, zabierając się do wyjścia.

— Asan dobrodziej odchodzisz?...

— Odchodzę, ojcze wielebny...

— I czemu to?...

— Bo mi na gadanie z wami rozumu nie starczy... Żal mi dziecka własnego...

— Żal asana dobrodzieja jest arcychwalebny; zważywszy jednak w jakie majątek dostanie się ręce...

— Przeciwno rękom nie mam nic... Możebym miał co przeciwko głowie...

— Panie podkomorzy dobrodzieju!...—zawołał ksiądz. Wyrażenie podobne równa się świętokradztwu... Aż nie powiedziano u Pawła apostoła: „Mądrość tego świata jest szaleńcem przed Bogiem!...“ Aż jego książećca mość, książe Godfryd, nie jest wzorem najczystszych tych, których jest królestwo niebieskie!...

Ksiądz dłużej jeszcze w tym sensie prawił, co oczywiście miało na celu nie co innego, jeno zagadanie i zastraszenie podkomorzego, który, poznawszy się na tem, odpowiadał co chwila:

— Temu nie przeczę, ale...

I nie mógł do słowa przyjść. Ksiądz zasypywał go gradem cytat, czerpanych w listach Pawła apostoła do Koryntyan i Kolosejczyków, w dziełach Św. Augustyna, Tertuliana, Św. Jana Chryzostoma, Tomasza a Kempis, Św. Ireneusza, Laktancyusza, Jana Skota, Orygenesza etc. etc. i przerywał mu za każdym razem, jak tylko ze swoim „ale“ występował. Ojciec Korski w rzadkich tylko wypadkach wymowę podobną rozwijał. Podkomorzy został odurzony potokiem uczoności, która mu w uszach bębniła i przez słuch się, niby przez przetak, przelewała. Ksiądz zakończył:

— Jeżeli przeto asan dobrodziej nie przeczysz, zatem... uznajesz...

— Nie przeczę i uznaję...

— Jeżeli uznajesz, zatem własne asana dobrodzieja dobro wymaga tego, ażebyś jaśnie oświeconemu księciu oddał podkomorzankę wraz z wianem, jakim ją opatrzeć zamierzasz, bez zastrzeżeń, wystawiających na szwank zbawienie duszy... Czyż bowiem nie dość tego, że jaśnie oświecony książę pojmie żonę, wbrew temu co pisze Ś-ty Augustyn: „Małżeństwo nie jest dobrem“?... Ś-ty Paweł powiada: „Żona niechaj będzie poddaną mężowi swemu, jako panu; żona niech się lęka męża swego“... Możeż ona być poddaną, możeż się lękać, jeżeli wiano swoje zahypotekuje obyczajem pogańskim?... Ś-ty Hieronim mówi: „Kobieta jest to brama szatańska, droga grzechu, ukąszenie skorpiona“... Godziż się jaśnie oświeconego księcia na ukąszenie skorpiona wystawiać i temuż skorpionowi żądło zaostriąć?...

— Ojczye wielebny!... —krzyknął podkomorzy, przerywając—protestuję!... protestuję!...

— Przeciwno czemu?... —zapytał ksiądz sucho.

— Przeciwno temu, ażeby córka moja skorpionem być miała...

— Nie tyczy się to córki asana dobrodzieja szczególnie, ale rodzaju całego... Ś-ty Szymon Słupnik odepchnął matkę rodzoną, dla tego, że niewiastą była... Odpychanie niewiast jest cnotą wysoką, którą młodzianek książęcy praktykował dotychczas, od której waszmość dobrodziej chcesz go odwieść i nie chcesz w zamian odstąpić na rzecz jego dóbr marnych, prowadzących na potępienie, zwłaszcza gdy w ręku niewiasty pozostają... Nie, mości podkomorzy, to nie po chrześcijańsku, tak się nie godzi... Nie!... asan dobrodziej nie uczynisz tego, przez wzgląd na jaśnie oświeconego księcia... przez wzgląd na siebie samego... przez wzgląd na dziecko własne...

Ksiądz się zmęczył nieco i podkomorzy mógł nareszcie wypowiedzieć argument, który mu na sumieniu ciążył.

— Ależ, ojcze wielebny, śmiertelni jesteśmy!...—zawołał.

— Właśnie też...

— Jeżeliby jaśnie oświecony książę zeszedł... czego Boże nie daj!... ze świata tego pierwaj anizeli małżonka: miałaby ta ostatnia zostać żebraczką?...

— A...—rzekł ksiądz, rękę wyciągając.—Wypadek ten można w intercyzie przewidzieć, zastrzegając dla niej, naprzykład... dożywocie...

— Myślę, że sprawiedliwiej i godziwiej byłoby zastrzedz dożywocie dla jaśnie oświeconego księcia, na wypadek, gdyby żonę przeżył... W ten sposób majątek dostałby się spadkobiercom naturalnym...

Ksiądz uśmiechnął się ironicznie.

Uśmiech ten podkomorzego zmieszał.

— Wielebność wasza...—odezwał się i wyrazu odpowiedniego w myśli szukał.—Wielebność wa-a-sza...

— O!...—odrzekł ojciec Korski z westchnieniem, wzrok do góry wznosząc—jakże teraz na świecie wiary mało!... ofiarności mało!... Asanu dobrodziejowi w myśli spadkobiercy naturalni... Troskasz się o owoce grzechu, które z góry ubezpieczyć zamierzasz, a ani pomyślisz o kościele, matce duchowej, karmiącej cię krwią i ciałem Zbawiciela... O!... moi podkomorzy...

Podkomorzy, poruszony intonacją głosu, która miała w sobie nastrój uroczysty, równie jak argumentami, które z wiarą przyjmował, gotów już był ustąpić i byłby to czynił, gdyby nie wzgląd na podkomorzynę. Podkomorzyna w oczach mu stanęła, milcząca i zagadkowa. Lękał się niedorzeczność popełnić. Ze wszystkiego, co ksiądz mówił, najmocniej utkwily mu w umyśle słowa Św. Hieronima, mianującego niewiastę „ukąszeniem skorpiona“. Lękał się skorpiona drażnić i dla tego jedynie zażądał u księdza jezuity zwłoki do namyślenia się.

— Namyślaj się asan dobrodziej, o! namyślaj się!...— była odpowiedź księdza.—Namyśla się nieprzyjaciel rodzaju ludzkiego, który krąży około wahających się, czatuje i wypatruje *quaerens quem devoret...*

Mimo apostrofy tej, podkomorzy chwycił się namysłu niby deski zbawienia i pożegnał księdza.

Wracając do domu, przez drogę całą doznawał w uszach szumu osobliwego, jakby od napoju odurzającego. Nie był w stanie myśli zogniskować. W głowie mu się przewracało, jak w naczyniu w którym się ferment odbywa. Wydawało się mu, że, w rzeczy samej, znajduje się na drodze dopełnienia grzechu wielkiego, prowadzącego do piekła, do którego dostać się nie życzył sobie bynajmniej.

— Sprawa fatalna...—mówił sam do siebie.—Djabli nadalili!... Wdałem się w nią i ot... Samochcąc, człek licha sobie narobił... Ach!...—westchnął.—Gdyby nie... skorpion...

Skorpion mu ćwiekiem w głowie utkwił.

Dojeżdżając do Ohrebyszcz, postanowił sobie rozmówić się z podkomorzyną. Odnowił postanowienie dawniejsze, które, jak wiemy, spełzło na niczem.

Przyjechał, udał się do apartamentu swego i kazał Lewickiemu panią poprosić.

Podkomorzyna stawiała się na wezwanie.

— Kazałeś mi przyjść... Jestem... — odezwała się cierpko.

Podkomorzy drzwi na klucz zamknął i klucz do kieszeni schował.

— Co to znaczy?...—zapytała.

— Głowa mi pęka...—była podkomorzego odpowiedź. Zdałaś na mnie sprawy najdrażliwsze i najdelikatniejsze i te gniołają mnie ciężarem całym... Chcę się rozmówić z tobą...

— O czym?...

— O wydaniu Ludwiki za księcia Godfryda...

— Cha, cha...—zaśmiała się pani. Chciałbyś ją wydać?...

— Chciałbym dogodzić tobie... życze niom twoim...

Pani podkomorzyna głową pokiwała z akcentem oznaczającym niedowierzanie.

— Nie bawmy się jednak w rekryminacye...—podchwycił podkomorzy.—Dobijam targu i potrzebuję pomocy, porady twojej... Siadaj i słuchaj...

Podkomorzyna usiadła na kanapie. Podkomorzy zdał jej sprawę wierną z całego toku zabiegów swoich, nie ukry-

wając ani zatajając niczego, nawet obaw, jakie w nim jezuita wzbudzić potrafił, we względzie zbawienia duszy.

— Boć to, przyznaj sama—kończył—sprawa nie lada... Ciało zgubić, to mniejsza... ale duszę!...

Podkomorzyna ramionami wzruszyła.

— Cóż ty na to?...

— Co ja na to?...—odparła.—Ja... wytoczyłabym proces księciu Norbertowi...

— Azeby ściągnąć na siebie potępienie wieczne...

— Ach, nie...—odrzekła z giestem niecierpliwość zdradzającym.—Potępienie wieczne?... Co jeszcze!... jakby nie było spowiedzi, pokuty i odpuszczenia grzechów!... Wyspowiadasz się i...

Podkomorzy się dłonią o czoło uderzył, aż oklask się rozległ.

— Co?...—zapytała podkomorzyna.

— Na myśl mi to nie przyszło...—odrzekł uradowany. O! ojciec jezuito... mam cię!... Pojadę jutro do Krasinowic... albo nie... nie pojadę już tam wcale... napiszę... Postawię *ultimatum*, termin oznaczę i niech się co chce dzieje... Nie pojadę... skończyło się...

Chodził czas jakiś po pokoju, uśmiechając się sam do siebie, usiadł obok podkomorzyny i w rękę ją pocałował.

— Powiedzże mi, Klareczko, czemu tak długo, tak uporczywie unikałaś rozmowy ze mną?...

— Ja rozmowy unikałam?... Unikałam nie rozmowy, ale tych sprzeczek do niczego nie prowadzących... Ja lubię spokój i stokroć wolę uleść tobie, aniżeli narażać się na dyskusye jałowe...

— Hm... niech tak będzie...—przerwał podkomorzy.— Gdybyś była jednak dawniej ze mną pomówiła, tobyś ma była oszczędziła połowy zabiegów... Stało się jednak...

Mam głowę pełną Tertulianów, Augustynów, Pawłów, Hieronimów, Chryzostomów i innych wielu świętych...

— O którychbyś nie wiedział inaczej...—wtrąciła podkomorzyna tonem półzartu.

— Prawdę powiedziawszy, wołałbym był nie wiedzieć a to dla tego, że... niewiedomość grzechu nie czyni...

— Czy grzech ten naprawdę cię obchodzi?...—zapytała pani zyczliwie.

— Hm!... czy na prawdę?... Nie może nie obchodzić po tem, co ksiądz Korski nagadał... Gdybyś go słyszała!... Gdybyś widziała, jakim się niekiedy zapałem unosił!...

— A proboszcz?...

— Co proboszcz?...

— Jeżeli masz wątpliwość jaką, odwołaj się do proboszcza...

— Jak w sądach—podchwycił podkomorzy—od instancyi jednej do drugiej... od niższej do wyższej... Zachodzi jednak kwestya: czy proboszcz wyższym jest od jezuita, czy jezuita od proboszcza?... A zresztą... co tam już!.. Zgrzeszę, wypowiadam się, odpokutuję...

— Gdybyś mnie posłuchać zechciał...

— Moja Klareczko!...—odparł podkomorzy z przyciskiem—a czyż kiedy głuchy jestem na słowo twoje?...

— Zdarza się to *niekiedy*...—odrzekła podkomorzyna z silnym na ostatnim wyrazie naciskiem—teraz jednak może, dzięki ojcu Korskiemu, łaskawszym się okażesz...

— Słucham więc...

— Moglibyśmy, gdyby się pomyślnie skojarzenie Ludki z księciem powiodło, ślubować sobie odbycie, wraz z państwem młodem, pielgrzymki do Częstochowy...

— Wyborny pomysł!... Świetny pomysł!... Pielgrzymka do Częstochowy zgładzi grzechy przeszłe i przyszłe, tyl-

ko... nie trzeba o tem ojcu Korskiemu powiadać, bo on gotów w dziełach świętych Tertulianów, Augustynów, Hieronimów znaleźć ustęp, który ślub nasz w niwecz obróci... Cicho... sza... podejmiemy klechę i na swoim postawimy... Zdaniem mojem atoli, nie ślubujmy za innych, a tylko za samych siebie... Nowożeńcy?... jak się im podoba, zechcą jechać, dobrze, nie zechcą, drugie dobrze... Zobowiązmy siebie samych: jeżeli, co daj Boże, małżeństwo do skutku przyjdzie, pojedziemy do Częstochowy dla podziękowania Bogu i oczyszczenia się z grzechów...

— Zrobię przytem szydełkiem obraz do ołtarza...

— A ja sprawię parę lichtarzy srebrnych...

— Wyhaftuję komeżkę dla proboszcza...

— A ja nową patynę kupię... Wyrzuci się karbowańców kilkanaście, ale przynajmniej nie daremnie, przez to bowiem ubezpieczy się całkowicie posag Ludki, który gotów już byłem przepołować...

— Jak?... co?...—zapytała podkomorzyna, nie rozumiejąc ostatnich męża wyrazów.

— Przyciśnięty przez księdza jezuitę do muru, zamierałem komplanacyę proponować, połowę posagu dając na przepadłe a połowę hypotekując... Miałem jednak dobre natchnienie, żem się z tem nie wygadał...

— Lepiej się stało...—zauważyła podkomorzyna.

Że się stało lepiej, to najmniejszej nie ulega wątpliwości. I małżeństwo do porozumienia przyszło i sprawa jasno stanęła. Podkomorzy drzwi otworzył. Nie oznaczało to bynajmniej, że życzy sobie ażeby się małżonka precz miała. Oznaczało to tylko powrót ufności zobopólnej pomiędzy mężem a żoną. Środek heroiczny, do jakiego się uciekł w rozpacz, był już niepotrzebny. Podkomorzyna nie omieszkała ze sposobności skorzystać i jak najłagodniej uwagę zrobić, że

kończy się zawsze na tem, iż wola męża bierze górę nad jej wolą. Dowódl w oczy się rzucał. To wezwanie jej i to drzwi na klucz zamknięcie, nie nosiłyż na sobie cech gwałtu?

— Było to jednak niepotrzebnie, mój Marcinie...—kończyła tonem uległości.—Ty wiesz przecie, że ja zawsze za twoją idę wolą...

Podkomorzy w zanadto dobrym znajdował się humorze, ażeby ochotę miał sprzeczkę wszczynać. Uznawał przeto wszystko z góry, i czuł tylko, że się zaangażował w sposób, niedopuszczający ani zwłoki, ani wahania się. Nie pozostawało mu, jak iść, jak to powiadają, na przebój—zdobywać zięcia szturmem—rozpoczynać akcyę zaczepną, paląc okręta za sobą i nie zważając na nic, a najmniej na to, iż akcyja owa do piekła go zaprowadzić może. Piekło, jakie mu ojciec Korski w perspektywie dalekiej ukazywał straszło go nie tyle, jak to, któreby się w ohrebyskim utworzyło dworze, gdyby małżeństwo zamierzone chybiło. Czuł więc, iż rozwinąć musi energję jak największą—i nie psuło mu to humoru: czuł bowiem za sobą plecy, pod postacią małżonki własnej, która, udzieliwszy mu aprobaty i nasunawszy rad zbawiennych parę, przez to samo brała na siebie rolę mocarstwa sprzymierzonego do działania zaczepno-odpornego. Mając sprzymierzeńca, nabywał odwagi, z odwagą zaś przychodził i humor, który go nie opuszczał przez dzień cały do wieczora i w nocy sprowadził sny miłe.

Nazajutrz rano zasiadł do pisania listu do ojca Kor-skiego.

Było to zadanie nielada, należało bowiem pogodzić łagodność formy z niezłomnością ultimatyeczną. Pisał więc i mazał, mazał i znów pisał, napsuł papieru sporo zanim zredagował epistolę następną:

„Jaśnie wielmożny mości dobrodzieju, ojcze wielebny. Namysłilem się! Grzechy wszelkie na siebie przyjmuję. Niech mnie Bóg sędzi przed najwyższym trybunałem swoim, gdy się Mu podoba powołać mnie przed takowy. Postanowiłem, pomimo, że Bóg widzi ile to mnie kosztuje i jak nad tem cierpię, wytoczyć jaśnie oświeconemu księciu proces, odwrócenie którego znajduje się w mocy wielebności waszej. Postanowienie moje jest niezłomnem. Będę czekał do przy padającego od dziś za tydzień dnia 18 maja, w którym to dniu, jeżeli jaśnie oświecony książę nie raczy zrobić kroku stanowczego, będę musiał, wierz mi ojcze wielebny, z wielkim bólem serca przystąpić do kroków sądowych. Mam honor etc.

Podkomorzy wezwał podkomorzynę i odczytał jej list powyższy. Odczytawszy, zapytał:

— No... i jakże się tobie wydaje?...

— Dobrze... bardzo dobrze...

— Lękam się rzeczy jednej...

— Jakiej?...

— Żeby... kominka nie dali...

Odpowiedź ta, niedość jasna, wymagała komentarza, z którym też podkomorzy pospieszyć nie omieszkał:

— Oni tam straszliwie bogobojni, obawiam się przeto, żeby, jak się ich naciśnie, nie poszukali ucieczki w murach klasztornych...

Podkomorzyna głośnym na to odpowiedziała śmiechem.

— Można się tego obawiać... — tłumaczył podkomorzy.

Podkomorzyna przeczyła temu najprzód głową i ręką, następnie słowami:

— Gdyby się to stać miało, to jużby się stało... Do

klasztoru trzebaby, ażeby ich kto namówił... a któżby namawiać zechciał ludzi takich jak oni!... Nie... Ostateczności podobnej lękać się nie należy...

— Ksiądz Korski... zacięty...

— Do pewnego stopnia... Zobaczysz jak złagodnieje...

Podkomorzy przeto wyprawił list przez kozaka, któremu kazał odpowiedź przywieźć.

Kozak pojechał, powrócił i przywiózł odpowiedź taką:

„Otrzymałem pisanie, jakim mnie jaśnie wielmożny pan dobrodziej zaszczycił raczyłeś. Oby łaska boża czuwała nad jaśnie wielmożnym panem dobrodziejem i godną rodziną jego. Mam zaszczyt“ etc.

— Czekać więc potrzeba do 18 maja...—taką była konkluzya, jaką jednogłośnie podkomorzy i podkomorzyna z listu powyższego wyciągnęli.

Przez tydzień cały najmniejsza z Krasinowicz nie przybywała wieść. W czasie tym trafił się tam jarmark, na który jeździł Bładzikiewicz i powróciwszy zdawał podkomorzemu sprawę z ceny bydła, koni, owiec, produktów rolnych etc.

— A nie słyszałeś czego o księżętach?...—zagabnął podkomorzy.

— Nie, jaśnie wielmożny panie...

— Nie widziałeś kogo z pałacu?...

— Widzieć widziałem... uwijali się po mieście ludzie pałacowi...

— Trzebaż ich było o zdrowie jaśnie oświeconych zapytać...

— Ot... jakoś mi to na myśl, proszę jaśnie pana, nie, przyszło...

— Hm...—mruknął podkomorzy.

Tydzień ów włókł się dla rodziców panny Ludwiki po-

woli. Podkomorzyna zaglądała do kalendarza często, nie mogąc się dość nadziwić temu, że dni tak leniwie upływały. Szukała rozrywek różnych, to w książkach, które ją nudziły, to w robótkach, które jej z rąk padały, to w przechadzkach, które pomimo rozkwiecionej, rozpachniałej i śpiewem ptasząt rozbrzmiałej pory majowej, uroku dla niej nie miały. Szukała rozrywek w rozmowie z córką, i to jednak niewiele przedstawiało ressursów, panna Ludwika bowiem zgadzała się z losem ofiarnym, jaki jej w udziale przypadał. Jedyną rozrywkę, interesowniejszą nieco, dostarczył na czas jakiś otrzymany z poczty list od Karola, opatrzony w przypisek pana de Lurcy, datowany z Paryża i domagający się spieszego wysłania sukursu pieniężnego.

„Korzystam ogromnie — brzmiał główny listu tego ustęp — nabieram akcentu poprawnego, tak, że Francuzi sami za Paryżanina mnie biorą; bawię się doskonale, ale wszystko tu kosztuje bardzo drogo, pomimo, że wydajemy pieniądze na rzeczy najpotrzebniejsze. Pan de Lurcy jest człowiekiem nieocenionym. On poświadczy, że się bez pieniędzy obejść nie sposób w mieście takim jak Paryż, gdzie się przecie potrzeba przyzwoicie prezentować. Proszę wyobrazić sobie, tytułując mnie tu hrabią, „*ce jeune comte polonais*“. Niechże papa kochany będzie łaskaw przysyła pieniądze jak najprędzej, mam już bowiem i długów trochę, mianowicie u krawca, którego zamówiłem sobie, ażeby mi robił, chociaż do Ohrebyszcz powrócę.“

„W Paryżu bowiem krawca mieć można, mieszkając w Chinach nawet. Jest to wygoda wielka. Prawda, że płacić sobie każe, ale za to robi lepiej jak wszyscy razem wzięci tulczyńscy, berdyczowscy, a nawet i odescy. Krawiec mój powiadał mi, że ma klientów w Anglii, w Szwecyi,

w Turcyi i u nas. Krawcy damscy także miewają roboty przez pocztę zamawiane...“

— Ach!...—przerwała podkomorzyna—Jakże wiadomość ta w samą przychodzi porę!... Trzeba będzie obszernie o tem do Lola napisać...

Podkomorzy nic na to nie odrzekł.

— Może się w Paryżu, bez zachodów żadnych, uszyć wyprawa dla Ludki... a i ja będę potrzebowała sukni parę porządniejszych...

— Poczekajmy do ośmnastego...—zauważył podkomorzy, a głos jego zabrzmiał niby głos zwiastuna wieści złowrogich.

— Czekamy przecie...—odparła podkomorzyna tonem złego humoru.

Aż w końcu upłynął tydzień ów, ze wszystkich zapewne przez podkomorstwo przeżytych tygodni najdłuższy. Zaświtał dzień wyglądany. Podkomorzy, podkomorzyna i panna Ludwika wcześniej jak zwykle dnia tego powstawali i około dziesiątej rano zmienili dwór w obserwatorium, z którego, przez wszystkie nadające się ku temu okna, wzroki ich badały trakt z Krasinowiec prowadzący. Podkomorzyna zdradzała niecierpliwość żywą. Panna Ludwika wytrzymywała charakter, jaki jej rola ofiary nadawała. Podkomorzy udawał spokój, w gruncie jednak bodaj czy nie on był najnieszczęśliwszy, niby bowiem obojętnie fajkę palił, wstawał atoli często, do okna podchodził, i jak skoro pokazało się w dali coś, co kształtu woza chłopskiego lub bryczki żydowskiej nie miało, natychmiast na ganek wychodził.

Na ganku czekał na niego Mędziński z synem.

W jednym z rozdziałów poprzednich zdaliśmy sprawę ze spotkania tego i z rezultatu, jaki z onego się wywiązał.

Kacperka Lewicki zabrał; stary Mędziński pozostał nie wiedząc co z figurą swoją robić; podkomorzy witał gości, którzy z trudem niemałym wydobywali się z pudła karety zwanej „arką Noego“. W operacyi tej pomagali im lokaje krasielowieccy i ohrebyscy. Księcia Norberta potrzeba było wyciągać. Zasiedział się i udźwignąć brzemienia ciała własnego nie mógł. Stękał i krechciał, deptał syna po nogach i ledwie nie ledwie wylazł z wnętrza budy, opierając się na ramionach sług, podtrzymujących go z przodu, z tyłu i z boków. Księciu Godfrydowi poszło łatwiej, luboż i on bez pomocy obcej obejśćby się nie mógł. Wylazł jednak zwawiej aniżeli ojciec, a nawet zeskoczył ze stopnia ostatniego.

VIII.

Stary Mędziński wrócił do chaty, zły jak sto djabłów. Kobieta jego zdaleka to poznała i odrazu domyśliła się, że sprawa niepomyślny obrót wzięła. Zamierzyła zrazu zejść mężowi z oczu, jak to czynić zwykła, ile razy stary okazywał humor niezgodliwy. Tym razem jednak nie zeszła, poczuła się w prawach matki. Zły obrót sprawy, którego się domyślała, tyczył się jej syna, jej dziecka. Powstała więc, i kiedy mąż na progu stanął, zapytała, patrząc mu w oczy ostro:

— Gdzie Kacperek?...

Mędziński miał oczy krwią nabiegłe.

Zuchwałstwo takie ze strony żony, odznaczającej się uległością pomiędzy mieszkankami Ohrebyszcz, wprawiło go w rodzaj osłupienia. Wbił w nią oczy—zdaje się, że chciał ją wzrokiem spiorunować, taki oczom wyraz srogi nadał—postąpił kroków kilka, zachwiał się, zatoczył, twarz mu krwią zaszła, oczy ze srogich błędnemi się stały.

— Gdzie Kacperek?...—powtórzyła kobieta.

Z piersi starca wydobył się głos, podobny do ryknięcia stłumionego.

— Jezus Marya!...—krzyknęła Mędzińska przerażona nagle.

Stary się mocniej zatoczył. Kobieta ramie mu poda-
Ofiary.—Tom I.

a, lecz on ramienia jej ująć nie mógł. Ona go w pół pochwyciła, do ławy dowlokła i na takowej posadziła. Opuścił się, głowa mu opa dła, usiedzieć nie był w stanie.

— Jezu Chryste!... Matko boża!... Antoni święty!... O ja nieszczęśliwa!... Ludzie ratujcie!...

Stary na ławie harczał, robiąc ruchy takie, jakby się z czemeś mocował. Mędzińska kręciła się po chacie, chwytając to kubek, to miskę, to łyżkę, to nóż i wołając ludzi na pomoc.

Ludzie wołania jej nie słyszeli, a chociażby i słyszeli, to pomoc ich nie na wieleby się przydała. Mędzińskiemu potrzebnym był ratunek natychmiastowy, którego nikt podać nie mógł, albowiem nietylko lekarza, ale cyrulika nawet na wsi nie było. Starego krew zabiła. Mędzińska wybiegła na podwórko z lamentem, który ściągnął sąsiadek kilka. Weszły do izby. Stary już nie żył.

Wiść o wypadku tym gruchnęła wnet po wsi całej, z wyjątkiem dworu, w którym odbywał się akt deklaracji, zajmujący uwagę nie tylko interesowanych nim bezpośrednio, ale i domowników wszystkich, sług płci obojej i rodzaju wszelakiego, przebywających w garderobie, w kredensie, w przedpokoju, w kuchni, w piekarni, w czeladnej i w stajni. Poszło to ztąd, że książę Godfryd oświadczył się o rękę panny Ludwiki na ganku w obecności lokajów. Kiedy się ojciec z podkomorzym przywitał i nadzieję co do zdrowia w pomyślnym stanie wyraził, młody książę wysunął się naprzód, podał podkomorzemu dłoń, i bez wstępów żadnych, zaczął:

— Spodziewam się, że zdrowie pana dobrodzieja.. ehm!... to jest... że pan podkomorzy dobrodziej dać mi ze chce rękę jejmościanki podkomorzanki...

— Mości książę!...—podchwycił podkomorzy.

Książę jednak nie dopuścił go do słowa.

— Pan dobrodziej zaufać mi może... Będę małżonkiem dobrym, bardzo dobrym... i papa to poświadczy... i ojciec Korski poświadczy... Będę obowiązków małżeńskich dopełniał regularnie, panie podkomorzy dobrodzieju... 'Spodziewam się przeto...

— Pomówimy o tem, mości książę, na innem miejscu...—podniesionym głosem przerwał podkomorzy, widząc uśmiechy szyderskie na obliczach lokajów, których bawiły snadź i oświadczyły księcia Godfryda i mina księcia Norberta, wyprostowanego, słuchającego i oczami łypiącego. Proszę na pokoje... Służę... Proszę...

— Spodziewam się...—zaczął książę Norbert głosem piskliwym—że deklaracya syna mego, księcia Godfryda...

— Ależ pomówimy o tem!... Proszę waszej książęcej mości...—znów przerwał podkomorzy.

— Zostanie przyjętą...—skończył książę Norbert.

— Służę waszej książęcej mości...

— Spodziewam się, że deklaracya syna mego...—powtórnie głosem ani na jotę nie zmienionym zaczął książę ojciec.

— Spodziewam się...—zawtórował mu książę syn.

— Zostanie przyjętą!... zostanieli!...—odparł podkomorzy. Tylko proszę do pokoju... Niech ich książęce moście raczą próg przestąpić...

— Spodziewam się...—zaczął książę jeden.

— Spodziewam się...—zaczął książę drugi.

— Ależ, na Boga! nie stójmy tu, na ganku... Żona moja i córka radeby jak najprędzej powitać wasze książęce moście...

— Spo...

— Niech wasza książęca mość ramie mi podać ra-

czy...—rzekł podkomorzy tonem poufałości uprzejmej, przystępując do księcia i wsuwając mu rękę pod ramię.

Książę, porwany, nie dokończył wyrazu, dał się uwleć gospodarzowi domu i znalazł się niebawem w salonie błękitnym, w obec witającej go uśmiechem ułożonym podkomorzyny i wyglądającej doloroso podkomorzanki.

Książę Norbert i książę Godfryd mieli na sobie fraki, białe kamizelki, zaboty, rękawiczki, mieli głowy ufryzowane, oblicza wygolone i kapelusze w rękach. Krytyka nie jednoby strojowi ich do zarzucenia znalazła, najbardziej zaś to, że fraki czyniły z nich figury tak pocieszne, iż nie sposób było patrzeć na nich i śmiechem nie parskąć. Ludziom tak otyłym przystoją jeno stroje fałdziste, staropolskie lub tureckie. Fraki uwydatniały kształty ich potworne, robiły z nich okazy ludzi w karykaturze, podobne do tych, do przedstawiania jakich humoryści niektórzy szukają zasilku w zoologii. Księcia starego przyrównywalіśmy już raz do słonia. Przedstawiał się on w rzeczy samej jak słoń-człowiek we fraku, w zabotach i w mocno nakrochmalonych kołnierzykach, idących pod uszy i zagrażających rogami trąbie. Nos jego książęcej mości, długi, przypłaszczony i z pośrodku dwojga oczków małych wychodzący, przypominał niezmiernie trąbę. Książę młody postacią swoją naprowadzał na myśl młodego nosorożca, przyozdobionego w głowę człowieczą i postawionego na tylnych łapach. Głowa była kształtna, tylko wielka, na twarzy i w oczach rozlewał się uśmiech słodki.

Na widok panów tych, szarmanckie wykonywających ukłony, podkomorzyna oczy przymrużyła, podkomorzanka zaś, której oblicze przed chwilą pełnem było wyrazu boleści, usta zagryzała i nadymała się, przysiadając i za matkę się kryjąc.

— Spodziewam się...—zaczął książę ojciec.

— Spodziewam się...—zaczął książę syn.

— ... że pani podkomorzyna dobrodziejka—mówili razem—znajduje się w pomyślnym stanie zdrowia...

— Dziękuję... serdecznie dziękuję... jak najmocniej dziękuję... Jakże zdrowie waszej książęcej mości?...

— Spodziewam się...—zaczął książę ojciec.

— Spodziewam się...—zaczął książę syn...

— ... że pani podkom...

— Ależ proszę panów siadać!... Proszę... Wasza książęca mość...—zwróciła się do księcia Norberta—Wasza książęca mość...—zwróciła się do księcia Godfryda.

— Spodziewam się...—zaczął książę jeden.

— Spodziewam się...—zaczął książę drugi.

— ... że błogosławiony stan, w jakim się pani podko...

— Proszę panów siadać!...—przerwała podkomorzyna głosem wysoko podniesionym.—Niech panowie będą łaskawil!...—krzyczała.

Krzyczała dla zagłuszenia parskania śmiechem, jakiego się za jej plecami panna Ludwika dopuszczała.

— Niechże panowie będą łaskawi, zając raczą siedzenia!... Przybycie ich cieszy mnie niewypowiedzianie... Jest to zaszczyt, który cenić umiem...

Zagadywała. Kto wie jednak jakby się rzecz obróciła, gdyby podkomorzy z pomocą czynną nie pospieszył, rozpoczynając chrząkanie i przesuwanie krzesel, na których gości usadawiał. Korzystając z tego podkomorzyna, do córki się szybko zwróciła:

— Ludwiko...—szepnęła—Na miłość pana Boga!...

— Mamo, nie wytrzymam...—odrzekła podkomorzanka przez chustkę od nosa, którą głębiej sobie zatkała.

— Głupia!... <http://rcin.org.pl>

— Chi chi chi...

— Wyjdź, wody się napij i wracaj natychmiast...

Panna Ludwika, zataczając się, z salonu wybiegła.

Podkomorzyna usiadła obok gości i twarz przymloną ku nim zwróciła.

Podkomorzy głos zabrał:

— Żona moja—rzekł—wyprawiła córkę umyślnie, albowiem nie przystoi pannie obecną być w chwili, w której wymawiają się pierwsze, o losie jej stanowiące wyrazy... Klaro! (tu głos uroczyście nastroił) jego książęca mość, książę Godfryd Gamajda, tu obecny, oświadcza się o rękę naszej Ludwiki... Tyś matka, ja ojciec... Co się mnie tyczy, dałem już jego książęcej mości odpowiedź... Chodzi więc o ciebie, o twoją odpowiedź, o zdanie twoje, które, jeżeli się z mojem zgodnem okaże, rzecz będzie skończona...

— W sprawie tak ważnej—odpowiedziała podkomorzyna—zdanie moje, mój mężu, nie może być z twojem niezgodnem... Oboje pragniemy jednakowo szczęścia dziecka naszego... Coś ty odpowiedział, to ja potwierdzam...

— Ja przyjąłem oświadczyni jego książęcej mości...

— Ach!...—zawołała podkomorzyna, nadając obliczu swemu wyraz natchnienia uśmiechniętego, podnosząc nieco dłonie i zwracając się do siedzącego prosto księcia Norberta.—Uważam krok wasz, mości książę, nie inaczej, jeno jako zrządzenie Opatrzności... Nie myślałam o tem, nie spodziewałam się tego, tylko w modłach swoich gorących do Najwyższego, błagałam Go o męża dla mojej Ludki, podobnego choć w części do jego książęcej mości, księcia Godfryda... Bóg też snadź wysłuchał prośb matki, gdy zesłał nie kogoś podobnego ale samą jego książęcą mość... Popieram więc sercem całym odpowiedź męża mego... Zezwalam na związek dzieci naszych...

Podala księciu Norbertowi rękę.

Książę wziął w dłoń swoją rękę podaną, i odwracając się od podkomorzyny, na syna spojrział.

Spojrzenie to byłoby skarbem dla malarza, któryby z niego zrobić umiał użytek odpowiedni, chwytając je w tym momencie, kiedy się stało punktem ogniskowym, skupiającym w sobie cały interes komedyi tej matrymonialnej. Książęta wzbudzali politowanie—nie wiedzieli biedacy co poczują. W oczach podkomorzyny malowała się pogarda, w oczach podkomorzego obawa. Trwało to chwilkę. Podkomorzyna rozbiła urok obrazka tego charakterystycznego.

— O, mości książę!...—zawołała.—Wypowiedzieć nie zdołam uczucia, jakie mnie przepełnia w tej chwili...

Książęta zwrócili się ku niej. Podkomorzyna miała w tej chwili oczy do góry wzniesione.

— Spodziewam się...—zaczęła.

Wyraz ten zelektryzował książąt. Wywarł on na nich wrażenie takie, jak pierwsze słowo, wypowiedziane studentowi, który, recytując lekcję, nie wie od czego zacząć. Wnet odezwali się obydwaj razem:

— Spodziewam się...

Stary książę zamilkł a młody ciągnął dalej, zajękując się:

— ... e... ze, pani podkomorzyna dobrodziejka... e... dać mi zechce... e... rękę jejmość panny podkomorzanki... e...

Powiedziawszy to, odetchnął z głębi piersi i szukać począł po za sobą poły od fraka, ażeby wynaleźć kieszeń, wydobyć z niej chustkę od nosa i obetrzeć takową sobie warz, która się kroplistym okryła potem. Szukał i wygiął się na siedzeniu to naprzód to na tył. Gdy ręką z prawej sięgnął strony, poły uciekały w stronę przeciwną; gdy to samo czynił ze strony przeciwnej, poły uciekały na pra-

wo. Spróbował raz, drugi, trzeci i czwarty. Napróżno. Powtarzanie prób męczyło go i pot w obfitości coraz to większej wywoływało. Kręcił się na krześle, a powtarzając ustawicznie „e... e... e...” trzymał wszystkich w oczekiwaniu, zapowiadał bowiem przez to ciąg dalszy przemówienia:

— E... e...

Pot oblewał go coraz to mocniej. Wyszukanie poły od fraka i dostanie się do kieszeni stawało się coraz to trudniejszym.

Gimnastykowanie się to trwało minut kilka, po upływie których, przekonawszy się, że usiłowania do pożądanego nie doprowadzą rezultatu, książę Godfryd przechylił się w fotelu na wznak, ręce do góry podniósł, nogi wyciągnął i gębę otworzył.

Książę Norbert okazywać począł oznaki niepokoju, obracając się na siedzeniu i przenosząc wzrok wyrazu zapytania pełen z syna na podkomorzego, z podkomorzego na podkomorzynę.

— To nic, mości książę...—odezwała się ta ostatnia. To wzruszenie... W chwili tak ważnej, książę Godfryd głębokiego doznał wzruszenia, które—dodała głosem tajemniczym—zdradza miłość w sercu jego książęcej mości...

— Spodziewam się, że pani dobrodziejka odda księciu Godfrydowi rękę podkomorzanki...

— Jakżebym oddać nie miała po dowodach takich przywiązania!...

— Przyjmujemy jego książęcą mość na zięcia...—dodał podkomorzy.

— Spodziewam się... rzecz już skończona...

— Skończona, mości książę... Pozostaje jeno zaręczyny odbyć i dzień ślubu naznaczyć...

— Zaręczyny...dzień ślubu... powtórzył książę Norbert.

— Wypadałoby...—podchwycił podkomorzy—wezwać Ludwikę...

— Ludwika...—przerwała podkomorzyna, obawiająca się ażeby córka niestosowności jakiej nie popełniła—wyznała przedemną, że kocha księcia Godfryda, obecność więc jej w tej chwili byłaby zbyt dużą i przyczyniłaby się jeno do spotęgowania wzruszenia jego książęcej mości... Lepiej, zdaniem mojem, wezwanie jej odłożyć na później nieco... Jeżeli wasza książęca mość—zwróciła się do księcia Norberta—zgodzisz się na to, to zaręczyny odbyć się mogą dziś wieczorem... Posłalibyśmy po księdza proboszcza, zaprosilibyśmy sąsiadów bliższych kilku i tak, *en petit comité*, nastąpiłaby wymiana pierścionków, po której w miesiący kilka mógłby się odbyć ślub...

— Ślub... w miesiący kilka...—powtórzył książę, który, jak wszyscy w ogóle idyoci, chwycił myśli zawarte w wyrazach ostatnich, a raczej, chwycił wyrazy ostatnie.

— Nie inaczej...—tłumaczyła podkomorzyna—trzeba bowiem dać o tem znać Karolowi, poczekać na przyjazd jego i przysposobić wyprawę, godną stadła przyszłego...

— Wasza książęca mość zostać raczy u nas na obiadku...—dodał ze swojej strony podkomorzy.

— A tymczasem udać się raczy do apartamentów gościnnych...—dorzuciła podkomorzyna—i wypocząć trochę... bo i waszą książęcą mość wzruszenie przejęło...

— Wruszenie przejęło...—powtórzył książę.

— O tak... To widoczne... I nie dziw... Kto ma syna jedynego i takiego, jak książę Godfryd... kto go tak kocha, jak wasza książęca mość, ten w chwili aktu tak ważnego, jak wybranie dla syna ukochanego towarzyski życia całego, wzruszeniu oprzeć się nie może...

— Oprzeć się nie może...—były słowa księcia.

— Upewniam jednak waszą książęcą mość, że wybór jego jest bez zarzutu pod względem trafności... Ludwika będzie towarzyszką, godną księcia Godfryda, będzie żoną dobrą...

— Będzie żoną dobrą... a...—odparł książę Norbert.

W chwili tej książę Godfryd, który po nieudanych próbach odszukania poły od fraka, wysapał się nieco, zabrał głos:

— Pani dobrodziejka zaufać mi może... Będę małżonkiem dobrym, bardzo dobrym... i papa to poświadczy... i ojciec Korski poświadczy... Będę obowiązków małżeńskich dopełniał regularnie, nie wykraczając przeciwko takowym ani myślą, ani mową, ani uczynkiem... i starając się usilnie o to, ażeby małżonka moja znajdowała się ustawicznie w stanie... w stanie (tu jąkać się począł)... w stanie... pani podkomorzyno dobrodziejko... w stanie... e... Spodziewam się przeto, że... te... tego... tam... ponieważ przeszkód żadnych nie ma, więc pani dobrodziejka... e...

— Rzecz już skończona, mości książę...—odezwał się podkomorzy. Deklaracya przyjęta, akt wstępny dopełniony...

— Dopełniony?...—odezwał się książę Godfryd tonem zapytania.

— Dopełniony?...—zawtórował synowi książę Norbert.

Podkomorstwo spojrzeli po sobie, a wzroki ich wyrażały zapytanie: „czegóż oni chcą?”

Pomiarkowali się jednak prędko, i podkomorzy, dobierając wyrazów, za pomocą których trafićby mógł do umysłu dziecka, wytłumaczył książętom, że dopełnienie aktu pobrania się dwojga ludzi, wedle zwyczajów przyjętych w świecie chrześcijańskim, dzieli się na trzy stopnie: deklaracya, zaręczyny i ślub. Wytłumaczywszy to, tak kończył

— Wasza książęca mość jesteś już tedy po deklaracji... Dziś wieczorem, Bóg da doczekać, będziesz po zaręczynach... Nim zaś do zaręczyn przyjdzie, zjemy obiadek, po obiedzie wypoczniemy sobie i nad wieczorem użyjemy świeżego w ogrodzie powietrza... Zgoda?..

— Zgoda...—odpowiedzieli obaj książęta razem.

— Proszę więc... służę...

To mówiąc, podawał księciu Norbertowi ramię.

Wtem weszła panna Ludwika.

Książęta, którzy się z fotelów dźwigać poczynali, na powrót się w takowe osunęli.

Wejście panny Ludwiki mięszało szyki, a mięszało je tembardziej, że podkomorzanka ustroiła się w wyraz powagi-chłodnej i imponującej, księżycą bladego. Miała warkocz odczepiony z jednej strony i kwiatków parę we włosach od niechcienia wetkniętych. Miała muszki czarne, jedną na skroni, drugą z boku na brodzie. Miała twarz skrzywioną, jakby z bólu srogiego, który jej serce szarpał. Wchodziła krokiem chwiejnym, wyciągając rękę, w której wachlarz trzymała, jakby dla nadania sobie równowagi.

Podkomorstwo nie nader radzi byli temu niewczesnemu zjawieniu się córki. Trzeba jednak było coś z tym fantem zrobić. Spojrzeli na siebie i wnet się porozumieli, jak—jak to powiadają—łyse konie na jarmarku. Nikt się tak dobrze nie porozumiewa przy ludziach, jak małżeństwa, żyjące ze sobą w stanie przymierza dyplomatycznego. Podkomorzyna poskoczyła do panny Ludwiki, podkomorzy podszedł do księcia Godfryda. Pierwsza zaczęła córkę zapytaniem:

— A ty tu po co?..

— Mamo... przecie...—była odpowiedź zapytanej.

— Niepotrzebnieś przyszła... No... Ale...

To mówiąc, podała córce ramię i z twarzą uśmiechem dobrotliwym opromienioną zwróciła się do księcia Godfryda, który, wydzwigniony przez podkomorzego z krzesła, stał, trzymając się pod ramię przysłego teścia swego.

Matka z córką, przyszły teść z przyszłym zięciem, poszli do księcia Norberta.

— Mości książę...—przemówił prezes.—Oto ta, którą niebawem nazwicie synową waszą... Oddajemy ją księciu Godfrydowi z ufnością całą, w tem przekonaniu, że znajdzie w nim opiekuna troskliwego i kochającego, w was ojca drugiego... Zaszczyt, jaki ztąd na dom nasz spływa, nie oślepi ani mnie, ani żony mojej... Oddajemy synowi waszemu córkę naszą nie dla zaszczytów, a dla tego żeby jej zapewnić szczęście, którego dla niej pewni jesteśmy w poźyciu z młodzianem pełnym cnót, jakim jest syn dostojny waszej książęcej mości... Błogosławimy związek ten...

Podkomorstwo złączyli dłonie dwojga młodych ludzi.

— Błogosławię was, dzieci moje...—rzekł podkomorzy, rękę wyciągając.

— Błogosławię was...—powtórzyła podkomorzyna.

— Błogosławię...—zawtórował książę Norbert machinalnie, patrząc na stojącą przed nim parę oczami osowiałemi.

Panna Ludwika z ukosa spojrzała na swego przysłego, następnie oczy spuściła, pierś w falisty ruch wprawiła, pochyliła się i zemdląła.

Przez oblicze podkomorzyny przesnął się wyraz zadowolnienia.

Podkomorzy pochwycił córkę w objęcia.

Rozległy się, przez podkomorzynę wydane okrzyki, nawołujące służbę płci obojej i wzywające o ratunek.

Książęta strwożyli się i jeden stojący, drugi siedzący,

przybrali postawę posągów, wyobrażających przestרח niemy.

Służba się zbiegła—kamerdynerzy, lokaje, panny re-spektowe, panny służące, za którymi wsunął się do salonu chłopak lat dwunastu, ogorzały i tak wygląający, jak źrebak przyprowadzony wprost z tabunu, w chomont ubrany. Włosy mu się jeżyły, oczy były szeroko otwarte, na twarzy jego malowały się zdumienie i lęk. Rolę chomonta odgrywała odzież, składająca się z surduta, kamizelki i spodni półliberyjnych, którą mu naprędce dano i która z tego powodu nie zupełnie dobrze przystawała do postaci chłopczyny, wychodowanego strawą co nie tuczy i swobodnem powietrzem, które suszy. Wsunął się, stanął przy drzwiach, głębę otworzył i przypatrywał się zdaleka scenie zemdlenia, która w ruch wprawiła wszystkich, z wyjątkiem dwóch księżąt i jego.

Księżęta, jeden siedział, drugi stał, z ustami tak samo pootwieranemi jak u Kacperka Mędzińskiego.

Podkomorzy trzymał zemdląłą w objęciach.

Podkomorzyna wołała:

— Wódki! soli!... doktora!...

Służba się garnęła i kręciła, a nikt nie wiedział co robić.

Zemdląła, przodem wygięta, z głową zwieszoną, z war-koczem opadłym, blada, z oczami zamkniętymi, z muszkami na skroni i na brodzie, nie oddychała prawie.

Zauważymy mimoходом, że w tejże samej chwili, mi-nuta w minutę, w chacie Mędzińskiego odbywała się scena podobna. Mędzińska prowadziła męża do ławy pod oknem. Pisaliśmy o tem na początku rozdziału.

Wracając do panny Ludwiki, dodać należy, iż zemdle-nie jej odpowiadało prawidłom smaku estetycznego. Tak

jak leżała na ramieniu ojca, możnaby ją malować. Śliczną była i nie jeden na miejscu księcia Godfryda umiałby piękność jej ocenić należycie. Nie twierdzimy jednak, ażeby książę Godfryd oceniać takowej nie umiał. To pewna, że nie odrywał oczów od widoku przyszłej swojej i nie oderwałby ich kto wie jak długo, gdyby nie to że ramię podkomorzego zabołało. Pani wołała o wódki i sole, służba się kręciła, podkomorzy zaś ciężar cały dźwigał. A ciężarów, acz dziewiczy, miał jednak wagę normalną, funtów sto mniej więcej. Dziewiczość nie ujmowała mu łuta ani jednego. Podkomorzego ramię zabołało, zwrócił się więc do służby i z przyciskiem szepnął:

— Weźcież ją już, bo upuszczę...

I skinął brwiami na pannę Magdalenę, pannę służącą, którą Fryderyk I, król pruski, byłby wyposażył i za mąż wydał, gdyby ją był na drodze spotkał. Panna Magdalena poskoczyła i podkomorzankę w ramiona wzięła; inna panna służąca ujęła ją poniżej pasa a powyżej kolan; inna jej nogi podtrzymawała; inna jej pod głowę dłoń podkładała; inna jej ręce podnosiła.

— Trzeba ją wynieść i stanik rozpuścić...—odezwała się podkomorzyna.

Panny służące ruszyły z szacownym ciężarem; zaledwie jednak ruszyły, ciężar rzucił się nagle na ich rękach. Tak rzuca się rybka, z wody tylko co wyjęta.

Panny służące zatrzymały się. Zemdląła nieruchomą pozostawała, nie okazując życia znaku.

— Idźcież...—nagliła podkomorzyna.

Panny służące ruszyły; lecz krok jeden zaledwie zrobiły, podkomorzanka znów się rzuciła.

Dziwny ten, a zagadkowy zemdlenia symptomat objawił się poraz trzeci i wprawił podkomorzynę w zdumienie.

Zagadka spotęgowała się nawet. Zemdląła, z zemdlenia nie wychodząc, przemówiła. Z ust jej ściętych padł wyraz z przyciskiem jęklwym wymówiony:

— Szpilka...

— Hrrm!...—chrząknął głośno podkomorzy.

— Idźcie!... prędeż!...—krzyknęła podkomorzyna.

Panny służące kroku przyspieszyły i drgającą wyniosły.

Wraz z niemi wyszła podkomorzyna.

Służba się oddaliła a z nią wysunął się z salonu i chłopczyna, który scenie tej całej przypatrywał się z wielkiem zdziwieniem i z ciekawością nadzwyczajną.

W salonie pozostali jeno: księżęta i podkomorzy.

Ten ostatni oddychał ciężko i głęboko. Po chwili zbliżył się do księcia Norberta.

— Cóż, mości książe?... Przeszliśmy przez emocye silne... To daje waszej księżęcej mości miarę, jak potężnem jest przywiązanie Ludwiki do rodziców... Zemdląła na myśl rozstania się z nami... Jego księżęca mość, księżę Godfryd, wybaczy to przyszej swojej, tembardziej, że nie czyni to mu ujmy najmniejszej... Reguła ogólna i pewna: kochająca córka jest kochającą żoną, ztąd więc dla księcia Godfryda wróżba jak najpomyślniejsza... Waszej księżęcej mości jest to rzecz wiadoma...

— Jest to rzecz wiadoma...—potwierdził książe Norbert. Weszła podkomorzyna.

— I cóż, życie moje?...—zwrócił się podkomorzy do żony.

— Rozpięto jej stanik, rozsznurowano gorset, dano soli do wążania, nacierano skronie wódką kolońską... zemdlenie było silne, ocuciła się jednak... Ocuciła się i natychmiast zapytała: Gdzie jestem?... książe Godfryd?...

Książę Godfryd oczy szerzej otworzył.

— Lube dziecko...—ciągnęła podkomorzyna.—Położyłam ją do łóżka, ażeby nabrała sił potrzebnych do aktu wieczornego; wasza książęca mość wybaczy jej, iż nie będzie przy obiedzie asystowała...

IX.

Obiadek u podkomorstwa, po obiadku wypoczynek, przybycie gości, zaręczyny, zapicie zaręczyn węgrynym starym i wesele nawet nie przedstawiają się jako materiał nader bogaty, do budowania z onego powieściowego opowiadania, zdolnego żywym czytelnika zajęciem przejąć. Są to wszystko rzeczy zpowszedniałe. Ludzie się obiadkami częstują, zaręczają się i żenią codziennie, nie tu, to tam, to ówdzie. Spotykamy się z tem na kroku każdym i widzimy ustawicznie powtarzającym się jedno i to samo. Nie przeczę, iż powtarzanie się to jest zawsze ciekawem. Twierdzę tylko, że i ciekawość sama powszednieje, stając się nawykiem, zmieniając się w pewien rodzaj potrzeby, posiadającej znaczenie niejaki dla tych, co takową zaspakajają przy każdej nadarzonej sposobności, ale niekoniecznie nadającej się człowiekowi, prowadzącemu opowiadanie powieściowe. Ten i ów, pomimo, że asystował na weselach razy sto, pójdzie z gustem na asystenta raz setny pierwszy, ale, przeczytawszy opis wesela jeden i drugi, gdy mu przyjdzie czytać po raz trzeci, ciśnie książkę i autora nudziarzem nazwie.

Nic straszliwszego, jak powieściarzowi na nazwę nudziarza się narazić. Zginać raczej!

Dla tego to pomijam obiadek, herbaty, wieczery, wi-
Ofiary.—Tom I.

zyty, odwiedziny, pominąć jednak nie mogę, nie zaręczyn, które się w należyтым odbyły porządku, ale wzmianki o gościach niektórych, powołanych do odegrania roli w dalszym opowiadania niniejszego ciągu.

Gości nie przybyło na zaręczyny wiele. Czasu zbrakło na zaproszenie takowych w ilości znacznej. Podkomorzy, odprowadziwszy książąt do apartamentów gościnnych, posłał po Bładzikiewicza i kazał mu przygotować pięciu posłańców konnych, sam zaś zasiadł do pisania zaprosin jednobrzmiących.

„Jaśnie wielmożny, (lub wielmożny) mości dobrodzieju, sąsiedzie szanowny. Będąc pewnym, iż nie odmówisz mi, mam zaszczyt wzywać cię, ażebyś raczył, w dniu dzisiejszym, nawiedzić dom mój i być świadkiem zaręczenia córki mojej jaśnie oświeconemu młodemu księciu Gamajdzie. Racz przyjąć“, etc.

Taką mniej więcej była treść listów pięciu, z którymi w ręku wyszedł podkomorzy na ganek, gdzie Bładzikiewicz już czekał.

— Oto masz...—rzekł, listy oddając.

— Słucham, jaśnie wielmożnego pana...

— Po proboszcza posłałeś?...

— Posłałem, jaśnie wielmożny panie...

— Posłańcom nakaż, ażeby mi się dobrze sprawili...

— Dobrałem co najprawdopodobniejszych... już gotowi, na listy tylko czekają...

— A nie pozamieniaj listów... Masz na kopertach adresy wyraźne...

— O! jaśnie wielmożny panie...—tonem protestu odparł komissarz.

— No...—chciał podkomorzy ostatnie rzec słowo, gdy wtém odezwał się dzwon z cerkiewnej dzwonnicy.

Odgłos ten, w niezwykłej dający się słyszeć porze, zastanowił podkomorzego. Zmarszczył brwi, ucha nadstawił i zapytał:

— Co to znaczy?...

— Co, jaśnie wielmożny panie?...

— To dzwonienie?...

— To dzwonienie?...—powtórzył komissarz.—To chyba na anioł pański...

— O tej porze!...

— Za duszę...

— Za czyją?... Czy kto umarł?...

— Stary Mędziński...

— Cóż ty pleciesz!.. Stary Mędziński był tu przed godziną... Widziałem go na oczy własne...

— I umarł, jaśnie wielmożny panie... to za jego duszę dzwonią...

Podkomorzego zastanowiło to zdarzenie i sprawiło na nim wrażenie silne. Zdawało mu się, że dzwon przemawia do niego, że w każdym jęknięciu spżu, słyszy wyrazy: *memento mori*. Staął, zadumał się. Ponury odgłos drzał i drgał w powietrzu, przejmując go dreszczem nawskrós. Komissarz czekał na słowo ostatnie. Podkomorzy giestem dał mu znak odejścia, sam zaś pozostał na ganku i wsłuchiwał się w jęczenie dzwonu. Myśli różne tłumnie mu mózg obsiadły. Stary szlachcic w oczach mu stał. Przypomniał sobie powód, który Mędzińskiego sprowadził.

— Oddał mi chłopca... jakby przeczuwał...

Gdyby nie oddał, byłby nie umarł. Podkomorzy jednak wiedzieć o tem nie mógł i oddanie brał w znaczeniu zrządzenia Opatrzności, czyniącej go opiekunem osierociałego dziecka. Zbieg okoliczności naturalny tłumaczył sobie za pomocą interwencyi siły nadprzyrodzonej, wskazują-

cej mu obowiązek do spełnienia. Przejęła go rzewność jakaś.

— Przyszedł...—powiedział sobie w duchu—oddał mi chłopca, odszedł i umarł...

A dzwon wciąż jęczał.

— Lewicki!...—krzyknął podkomorzy.

Lokaj powierny stawił się przed nim.

— Co się zrobiło z chłopcem starego Mędzińskiego?...

— Proszę jaśnie wielmożnego pana, kazałem mu wziąć miarę na liberyę, a tymczasem przebrałem go w liberyę po Jaśku...

— Na co się on zda?...

— Nie wiem jeszcze... na ogrodniczka, na forysia, na kuchtę, na kredencera... Tymczasowie kazałem mu kredensu się trzymać...

— Niechże przy kredensie pozostanie...—rzekł podkomorzy po chwilce namysłu. Ja dla chłopca tego coś później obmyślę... Miej oko na niego... radbym żeby się nauczył czytać i pisać... Wiesz, że mu ojciec umarł?...

— Jezus, Marya, Józefie święty!...—krzyknął Lewicki. Ażeż był tu przed godziną!...

— No... widzisz... Umarł... Szkoda starego... taki dobry strzelec!... Miejże no oko na chłopca jego... chciałbym go na człowieka wykierować...

Po wyrażeniu intencji tej, podkomorzego nie tak już raziło jęczenie dzwonu; założył ręce w tył, przeszedł się razy parę po ganku, wszedł do sieni, zajrzał do kredensu, popatrzył na Kacperka rozglądającego się w dziwach, jakie się oczom jego przedstawiały, głową pokiwał i na chłopaka zawołał:

— Ha?...—odezwał się Kacperek, usłyszawszy imię swoje.

— Jaśnie wielmożny pan woła...—przemawiali do niego lokaje.

Staął jak słup, nie wiedząc co począć ze sobą.

— Kacperku!...

— Idźżel... słyszysz?...—nalegali lokaje.

Naleganie jednak nie skutkowało, aż jeden ze służby galonowanej ujął go za ramię i przed podkomorzego poprowadził.

— Ty Kacperek?...—zapytał ten ostatni dobrotnie.

Chłopiec zrobił minę uśmiechniętą, ujął poję od odzieży i począł takową w palcach miąć.

— Ty Mędziński?...

Prawda, że podkomorzy mógłby się o co innego, lepszego pytać. Chłopiec nie odpowiadał.

— Podoba ci się tu?...

Kacperek wykrzywił się i zęby pokazał.

— Cóż?... Mów... podoba ci się?...

— Jużci...—wykrzywiając się odrzekł Kacperek narzeczcie.

— Chcesz zostać?...

— Jużci...

— Posłuchajże no mnie (tu podkomorzy ujął go za brodę i głowę mu do góry podniósł)... Szanuj się, starszych słuchaj, trzymaj się okrzętnie, a dobrze ci będzie... Lewicki, kupisz dla niego elementarz... Naucz się czytać i pisać, a możesz wyjść z czasem na człowieka... Rozumiesz?...

— Jużci...—odparł chłopczyna.

— No... (tu się podkomorzy do lokajów zwrócił) nie znęcać mi się nad tym chłopcem!... chcę, żeby się z nim obchodzono po ludzku...

Pogłaskał chłopca po twarzy i po głowie i poszedł zażywać sjesty przedobiedniej, a raczej, przebrać się, ażeby

wystąpić na pokoje odpowiednio do uroczystości obrzędu, jaki dnia tego odbyć się miał.

Kacperek pozostał w kredensie śród lokajów, szykujących, pod dyrekcją Lewickiego, porcelanę, kryształy i srebra. Chłopiec pozostawał pod wpływem oczarowania, na widok bogactw olśniewających, jakie mu w oczy były. Nie mógł się nadziwić wszystkiemu co widział. Dziwiło go najprzód to, że się znajdował tak blisko tych ludzi wielkich, których przedtem spostrzegał tylko zdala i miał ich, z powodu fraków, galonów, guzików błyszczących i kamizelek czerwonych, za istoty wyższe od śmiertelników zwyczajnych. Znajdował się śród nich, o nich się ocierał—oni układali w stosy serwisy i wydobywali tace, malowane w kwiaty, w ptaki, w ludzi pozłocistych. Wszystko to było przedmiotem podziwu niewysłowionego dla chłopczyny, który nie wydał się za granice wsi i rodzinnej nie oglądał splendorów żadnych. Lokaje coś tam mówili; rozmowy ich jednak bębniły mu w uszach niezrozumiale—słuchał, ale wyrazów chwycić nie był w stanie. W momencie, kiedy na wołanie pana i pani służba cała ruszyła do salonu, i on z nią poszedł, jak owo ciele w bajce, i oglądał komnatę pięknie malowaną, w obrazy i firanki przyozdobioną, oglądał meble mahoniowe, oglądał scenę zemdenia i doznał oszołomienia, które rojem zagadek mózg mu obsiadło. Nie był w stanie pojąć, co się około niego dzieje. Migąło mu w oczach, szumiało w uszach. Radby się spytał kogo—nie śmiał jednak i byłby dał za to wiele, gdyby kto do niego, podczas kiedy się w kredensie znajdował, słówko jedno przemówił.

Przemówił do niego podkomorzy—a tak dobrze, tak po ludzku! i pod brodę miękką dłonią ujął, i po twarzy pogłaskał. Kiedy podkomorzy przemawiał, Kacperek języka w gębie zapomniał. Słodko mu jednak się zrobiło. Za

przykładem pańskim poszli wnet lokaje i dalejże go zapytaniami zarzucać.

— Hej, cóż ty, chłopczel!...—odezwał się jeden.—Zkąd ty się wziął?...

— Jak ci na imię?...—zapytał drugi.

— Kacperek, proszę jaśnie wielmożnego pana...

Lokaje w śmiech. Matka nakazała mu odpowiadać podkomorzemu „proszę jaśnie wielmożnego pana“, a on tytuł ten do lokaja zastosował. Ztąd śmiech, którego powodu Kacperek nie rozumiał, przekonany będąc, że tytuł ów do galonów się odnosi. Przekonanie to nie było bez racji, jeżelibyśmy na uwagę wzięli pochodzenie tytułów w ogólności, pobudka których pierwotna z lokajstwa wypływa i galonów się tyczy. On jednak o historii wyobrażenia nie miał. Co jaśniało, to ujaśnił i był w zgodzie z sumieniem własnym, dziwując się śmiechowi, który mu snadź wydał się dowodem łaskawości, albowiem i sam śmiać się począł.

— Widzisz go...—rzekł z lokajów jeden—jaki on sobie wesoły!... A nie umiesz ty śpiewać Mikołaja?...

— A nie umiesz ty przez kij skakać?...—dorzucił wnet drugi.

— A którą ty ręką nos ucierasz?...—dodał wnet trzeci.

Dowcipy lokajskie sypnęły się, niby z rogu obfitości. Następowały one tak szybko jeden po drugim, że chłopak nie był w stanie odpowiadać. Uśmiechał się tylko, bo ci panowie śmieli się, i osowiałem okiem wodził po obliczach pytających.

— Ciepła rączka pańska?... he?...—zagabnął go jeden z przekazem.

— Cieplesze pańskie słowo...—zauważył drugi—Tatuńcio panu cię odstąpił, mołojcze zasmarkany?...

— A wiesz ty, kto twój tatuńcio?...—wyrwał się ten, co szkło obcierał.

Zapytanie to wywołało śmiech ogólny, który powściągnął Lewicki, rzuciwszy wyrazy następujące:

— Ej, nie zbyt kowalibyście się nad sierotą!... Tam dzwonią za duszę starego Mędzińskiego, a wy tu językami pytlujecie... Iii!...

Zrobiło się wnet cicho, jakby makiem zasiał i przez okno otwarte wpadło do kredensu ostatnie dzwonu jęknienie.

Lokaje w milczeniu wynosili na tacach serwis do sali jadalnej i nakrywali stół na pięć osób.

Kacperek w milczeniu przypatrywał się krzątaniu temu. Widział a nie rozumiał. Stół został nakryty. Poczęto nosić z kuchni jedzenie. Wraz z podaniem wazy, słyszeć się dał turkot zajeżdżającej przed ganek bryczki.

— Kogoż tam Pan Bóg prowadzi?...—zapytał z lokai jeden.

— Ksiądz proboszcz... — odpowiedział inny, wyrzawszy przez okno i wyskakując na spotkanie gościa, który z powodu wąskiej, do kostek mu sięgającej a na drobne guziczki od dołu do góry zapinanej sutanny, z trudnością niejako wysiadał z bryczki komissarskiej, ujmując się półdrabków mocno i stawiając nogi na stopniach ostrożnie. Lokaj rękę mu podał. Ksiądz skoczył i zapytał:

— Cóż to się u was święci?...

— Panna za mąż idzie...

— A ba!...—zawołał proboszcz zdziwiony i zapytał organisty, który z kozła zlązł właśnie:—Wziął ty ornat i kape?...

— Nie, proszę jegomości... wziąłem ino komeżkę ta stułą...

— Masz go!... Ależ bo i prawda... kto się tam spodziewać mógł!... Czy są goście?...—spytął lokaja.

— Jego oświecony książę Gamajda z synem...

— A więcej?...

— Więcej nikogo... spodziewani na wieczór...

— Cóż u licha!... Któż to się żeni, chyba książę Norbert, a może książę Godfryd?...

— Nie wiem, proszę jegomości...

— Chyba że książę Norbert, bo tamtemu do żeniaczki, jak kuchcie do patyny... Toć i ksiądz jezuita musiał z nimi przyjechać?...

— Nie, proszę jegomości...

Ksiądz strzepnął kurz z odzieży i udał się wprost do sali jadalnej, gdzie się już znajdowali gospodarstwo i książęta. Nastąpiło powitanie uprzejme i zapraszanie do stołu. Proboszcz wymawiał się, że jest już po obiedzie, dał się atoli przekonać podkomorzemu, gdy ten przytoczył przysłowie, że „kij na kij wadzi“, zasiadł i dowiódł, że przysłowie prawdę mówi. Apetyt, z jakim talerze wypróżniał, świadczył, że obiad na obiad nie wadzi.

Ksiądz proboszcz należał do rodzaju tych ludzi, co to radziby każdemu dogodzić i nikomu nie zawadzać, miał się za lekarza w sensie duchowym i uległ losowi takiemu samemu, jaki spotyka uczniów Eskulapa, którzy po skończeniu nauk, dostając się na praktykę, na prowincyę, zapominają medycyny, nie przestając mimo to być lekarzami doskonałymi. Nauka, z jaką przybyli, ułatwiła im praktykę; za jej pomocą poznali choroby miejscowe i nauczyli się leczyć takowe; stali się specjalistami lokalnymi, i w rozrządzeniu ustawicznem, stracili z oczu całość nauki. Wielkim byłby ich ambaras, gdyby po latach kilkunastu praktyki wezwano ich do zdawania egzaminów z przedmiotów, w któ-

rych celowali! I ksiądz Maryan Celowicz egzaminów z teologii, z historyi kościoła, z prawa kanonicznego, etc. zdaćby nie potrafił. Wywietrzało mu to z głowy oddawna; zachował jeno odrębność fachową, a zresztą, pod względem intelektualnym, zrównał się z owieczkami swojemi, wśród których nabrał humoru dobrego i zaokrąglił się w sobie. Był to kontrast ojca Korskiego: ten suchy, surowy, ten pękaty i wesoły. Niewielka też pomiędzy nimi panowała harmonia, pomimo, że w jednym mieszkali miasteczku, jeden w pałacu, drugi na probostwie. Nie stykali się z sobą nigdy prawie. Ojciec Korski, jako kapelan ksiązęcy, odprawiał nabożeństwa w kaplicy pałacowej; ksiądz Celowicz miał kościół w rozporządzeniu swoim i zawadzało mu to nieco, że ławka dostojnych kolatorów, z wyjątkiem uroczystości dorocznych, stała zawsze pustką w niedziele i święta pomniejszych.

Przy obiedzie, nieobecność panny Ludwiki dziwiła nieco księdza proboszcza.

— Co u licha!...—myślał sobie.—Przecież to o nią chodzi...

Nie miał jednak czasu zastanawiać się, z powodu dystrykcji, jaką mu sprawiała żarłoczność ksiąząt, pochłaniających jadło w ilości niepomiarowanej. O jedzeniu takim wyobrażenia nie miał. Nosem więc czmychał i głową wstrząsał, widząc znikające z talerzy stopy, jakie sobie książęta nabierali.

Usiłowania podkomorzyny bawienia gości obracały się w niwecz. Zaczepiała rozmową, to księcia Norberta, to księcia Godfryda; tym jednak nie do rozmowy było. Można więc powiedzieć, że obiad przeszedł w milczeniu; po obiedzie zaś sjesta stała się koniecznością. Ksiąząt wyprawdzono. Podkomorzy zaprosił proboszcza na kawę czar-

ną i fajeczkę, ulokował go na fotelu wygodnym, kazał mu podać cybuch długi z bursztynem, sam się usadowił i zaczął gawędkę od niechcienia, poprzedzając takową westchnieniem i ziewnięciem szerokim:

— Haj-ha!... księżę dobrodzieju!... bieda i kwita...

— Oj tak, mości dobrodzieju...—odparł zapytany, otaczając twarz zdrowiem połyskującą kłębami wonnego dymu.—Że bieda, to bieda... Czuć się ona daje szczególnie po dobrym obiadku...

— Gdy człowiek, w spokoju ducha, zastanawia się nad kłopotami...—dokończył podkomorzy, poprawiając się w siedzeniu. Ot, ja na przykład, wydaję córkę...

— A za kogo, jeżeli spytać wolno?...

— Za księcia, no...—odpowiedział podkomorzy zdziwiony nieco.

— Za którego?... Dwóch ich jest...

— Książd dobrodziej nie domyślasz się?...

— Usiłowałem zagadkę tę rozwiązać przy obiedzie...

— W jaki sposób?...

— Powiedziałem sobie, że który z dwóch książąt rozmiłowanym jest w podkomorzance, ten brak apetytu okaże... Miłość bowiem i apetyt w parze nie chodzą...

Uwaga ta rozweseliła podkomorzego. Roześmiał się przez nos, wyciągnął się i westchnął.

— Oba jednak—ciągnął książd—mości dobrodzieju, nie okazywali jakoś przy obiedzie symptomatów miłosnych... Ztąd też, nie wiem który z nich do imię panny podkomorzanki się zaleca...

— A któregobyś książd dobrodziej córce mojej życzył?...

— Na!... Oto jegomość dobrodziej pensum mi zadał!... Żeby na nie odpowiedzieć... chyba w palce stuknę...

— A no...—odparł podkomorzy i głowa mu na pierś spadła.

Zdrzemnął się.

Ksiądz okiem z ukosa rzucił, na fotelu się poprawił, z cybucha pociągnął, i oparłszy głowę o poręcz, począł pod sufit kółka dymu puszczać i myśleć o migdałach niebieskich. Z ostatniem kółkiem i jemu się powieki skleiły.

Słodka to chwila, chwila drzemki poobiedniej. Znają ją ludzie wybrani, którzy się nie rodzą jak grzyby po deszczu. Umieć drzemnąć sobie po obiedzie, jest to sztuka w swoim rodzaju, jak umieć śpiewać albo wiersze pisać. Podkomorzy i ksiądz proboszcz należeli do liczby wybrańców owych. Jeden z głową pochyloną i z brodą na piersi opartą, drugi na wznak, z obliczem do góry wzniesionem, obaj z powiekami zmrużonemi i z ustami w pół otwartemi, pozostawali w nieruchomości niedługo, pół godzinki, nie więcej. Podkomorzy zmarszczył się i prychnął od czasu do czasu, księdzu po twarzy błądził półuśmiech błogi. Zdawało się, jakby czar jakiś trzymał ich obu. Po upływie pół godziny, czar pękł. Podkomorzy prychnął i chrząknął głośno. Ksiądz drgnął i obudził się.

— Ksiądz dobrodziej chrapnął sobie troszeczkę...

— Ja?... nie... Boże uchowaj... To jegomość dobrodziej...

— Co?... ja?... A niech mnie Pan Bóg bronil... Nigdy nie sypiam w dzień...

— Zdrzemnęło się nieco...

— Gdzież tam!... Nie jest to we zwyczaju moim... Znam ja siebie pod tym względem... Natura moja snu dziennego, a nawet i drzemki nie znosi, zwłaszcza siedzący...

— I moja taka sama... Żebym zasnąć mógł, potrzeba mi się położyć koniecznie i to na łóżku nie lada jakim...

— Na miękkim?...

— Nie, przeciwnie... Sypiam na twardem, ale poślanie powinno posiadać pochyłość, tak ażeby głowa znajdowała się wyżej a nogi niżej... pochyłość... Rozumie podkomorzy dobrodziej?...

— Rozumiem... Wysoko w głowy... Poduszki...

— Nie... Pochyłość...—przerwał ksiądz, giestykulując odpowiednio, to znaczy (i powodził dłonią z góry na dół pod kątem gradusów kilku). O... pochyłość, głowa tak, nogi tak, a o poduszki mniejsza... Jak tego, to jest, pochyłości nie ma, to mi wnet krew do głowy uderza... Spać mogę jeno na łóżku, posiadającym pochyłość... Rozumie pan podkomorzy dobrodziej?...

— Rozumiem...—odparł podkomorzy, dłubiąc sobie piórkami w zębach.—Ro-o-zumiem...

— Zapytywałem o to doktorów, coby to znaczyć miało...

— I cóż?... doktorowie?...

— At... albo to oni o czem wiedzą!... Jeden gada tak, drugi owak...

Podkomorzy ziewnął szeroko i gębę sobie wielkim palcem przeżegnawszy, krzyknął:

— Lewicki!...

Lewicki się wnet pojawił.

— Ponakładaj-no nam fajki i podaj mi szklankę wody świeżej...

Gdy lokaj do spełniania rozkazu przystąpił, podkomorzy tak do księdza prawił dalej:

— Co to jednak znaczy, proszę księdza dobrodzieja, że człowiekowi woda smakuje pomimo przysłowia: *in vino veritas?*

— To znaczy nie co innego, jeno chyba to, że człowiekowi do życia nie samo tylko wino potrzebne...

Turkot na podwórzu przerwał dalszą rozmowę. Zajechał przed ganek kocz wiedeński, unoszony czwórką tęgich koni w lic założonych i powożony przez stangreta w nowe liberyi, a w nim dwoje ludzi płci różnej, wyglądających tak, że gdyby przeżyte przez nich lata dodać razem, to summa nie doszłaby liczby pięćdziesiąt. On nie miał trzydziestu ona nie miała dwudziestu. Ksiądz wstał z fotelu, nogami trochę na miejscu podreptał, w okno spojrział i rzekł:

— Bóg gości dał... Państwo Oleccy z Frasnoblówki... Niedawno pobrali się sami...

— To dobra dla Ludwiki wróżba...—odezwał się podkomorzy.—Młode małżeństwo spieszy na jej zaręczyny... Ksiądz dobrodziej przysposobi się przecie z oracyjką jakąś przy wymianie pierścionków?...

— No... hm... proszę jegomości dobrodziej!... Rozumie się...

— Zaręczyny nabiorą powagi, będą miały więcej znaczenia... Proszę podnieść ród Gamajdów i nie ponizać rodu Kostrzewickich, boć to i my wyprowadzamy się od antenatów...

— To się wie, mości dobrodziej... Pokadzę ja, pokadzę... niech jegomość dobrodziej będzie spokojny... Wiem, co się komu należy...

Podkomorzy wyszedł do przyległego pokoju, w którym przed gotownią poprawiał sobie krawatki, przyczesywał włosy, opatrywał paznogie i szykował się do wyjścia do gości na salony. Rozmowa pomiędzy nim a księdzem toczyła się przez drzwi otwarte.

— Więc ksiądz dobrodziej pozostanie na chwilkę, dla skupienia ducha i przygotowania się do oracyjki...

— Dobrze, ale ja co na myśli to i na języku...

X.

Chcielibyśmy uwagę czytelnika zatrzymać na parze tej, która z wezwanych na zaręczyny gości najpierwsza przybyła. Przedstawiamy więc mu ją ze strony jak najlepszej ale oraz i jak najbierniejszej, to jest, z tej, która cnoty i zalety wszelkie tłumaczy za pomocą dziesięciorga bożego przykazania, złożonego, jak wiadomo, z wyjątkiem punktów trzeciego i czwartego, z samych „nie“. Zalety jej stanowiło niedopuszczanie się złego. Pan Michał Olecki i pani Józefa, małżonka jego, nie mieli bogów cudzych, nie brali imienia pana Boga nadaremnie... święcili dni święte i nieświęte i czcili ojca i matkę zmarłych przed laty... nie zabijali, nie kradli, nie cudzołożyli, nie mówili fałszywego świadectwa naprzeciw bliźnim swoim, nie pożądali żon (to się nie tyczyło pani—widocznie dziesięcioro napisanem było wyłącznie dla mężów), ani wołów, ani osłów, ani sług, ani służebnic, ani żadnej rzeczy—nie pożądali tego wszystkiego, los bowiem zaopatrzył ich we wioskę intratną, która po śmierci rodzica dostała się panu Michałowi z działu majątkowego. Zauważymy tu, że przy fortunki pomocy łatwo jest być cnotliwym przez „nie“. Pan Michał w ten sam sposób i rozum posiadał. Był nie-głupi i miał żonę nie-głupią. Para ta, skojarzona od miesięcy kilku, stanowiła stadło dobrane pod względem każdym, stadło nie-złe i nie-głu-

pie, nie zdolne dopuścić się nietylko zbrodni, ale i występku, przekroczenia nawet, przeciwko wszystkiemu temu, co się utarło pod nazwą cnoty pospolitej. O tem, żeby pan Michał zdobyć się miał na czyn jakiś dodatni, na coś coby heroizmem trąciło, ani myśleć było. Cała dodatniość jego na tem polegała, że usiłował iść w ład wszystkim i wszystkiemu; był więc, dla włościan nie-złym panem, w odniesieniu do majątku nie-złym gospodarzem, w odniesieniu do żony nie-złym mężem, w powiecie nie-złym obywatelem, w okolicy nie-złym sąsiadem, w stosunkach z ludźmi nie-złym człowiekiem. Pani odpowiadała mu, jak echo odpowiada krzykowi. Była to, w całości tego wyrazu znaczenia, nie-zła kobieta.

Pobrali się miesiąc temu kilka. Czy się kochali? „A jużci“...—odpowiemy, jak odpowiadał Kacperek. Para taka nie kochać się nie może. Gdyby się nigdy przedtem nie widywali, gdyby jedno nie wiedziało o egzystencji drugiego i gdyby się po raz w życiu pierwszy na ślubnym spotkali kobiercu, to, wymawiając wyrazy sakramentalne, jużby się pokochali. Taką była ich przyroda. Należeli oni do tej większości społecznej, której forma zastępuje treść, litera duch — byli to ludzie porządni w stopniu najwyższym.

Weszli w posiadanie Frasobłówni, zamieszkali w białym dworze słomą poszytym i o obszerny sad fruktowy opartym, i na drugi po przenosinach dzień byli już tak, jak gdyby we dworze tym od lat stu mieszkali. Mieli miodowy pożycia małżeńskiego miesiąc—inaczej być nie mogło, dla tego chociażby samego, że pan Michał zmienił stan kawalerski, a pani Michałowa zmieniła stan paniński—z tym miesiącem jednak dziwnie się jakoś stało. Rozpłynął się. Częścią pobiegł wstecz, częścią naprzód, sięgnął w przeszłość

i w przyszłość i rozczynił się w terażniejszości, nie sprawa dzając uroków, nie sprawiając młodej parze uniesień ani zachwyków żadnych, nie dając jej zagadnień do rozwiązywania, ani pragnień do nasycania. Państwo młodzi od razu weszli w tryb regularny i ruszyli drogą życia spólnego spokojnie, zgodnie, w takt, jakby pod bęben, wprawiając w podziw niemały domowników, officyalistów, arendarza i sąsiadów, którzy spodziewali się jakiegoś wyskoku, jakiegoś wybryku, czegoś nakoniec, coby oznaczyło miesiąc miodowy młodego małżeństwa. Nadzieje wszystkich zawiedzione zostały. Państwo Oleccy, w pierwszych chwilach małżeńskiego pożycia, stanęli na stopie powagi obywatelskiej, zapatrzonej we wszelkie możliwe „nie“, która rokowała im długi, wstrząśnieniami niemący żywot i trwały ze strony ludzi szacunek.

— Małżeństwo porządne, przyzwoite, wzorowe... — po wiadano powszechnie.

I otoczono ich szacunkiem, na który zasługiwali, tak sami przez siebie, jako też przez to, że pozostawali w spokrewnieniu i skoligaceniu z najznacześniejszymi domami na Podolu, Wołyniu i Ukrainie, przymykając zbliżka i zdaleka, po mieczu lub po kądzieli do Sanguszków, Lubomirskich, Czartoryskich, Czetwertyńskich, Potockich, Branickich i wielu innych, przymykających do wyżej wymienionych. Rzucało to na nich urok niemały, tem większy, iż oparty na Frasobłowce, zasłaniającej ich przed sromotą pracy. Bo w epoce owej, do której się powieść niniejsza odnosi i w miejscowości tej, która jej za tło służy, nic tak, w sferze szlacheckiej, człowieka nie sromociło, jak praca. Nie ciskamy na ojców naszych kamieniem potępienia, ale po rostu konstatujemy fakt, który miał znaczenie wielkie w każdym względzie, szczególnie zaś we względzie życia towarzyskiego i łączących

się z takowem stosunków. Pracowitość sromociła człowieka. Kto z urodzonych brał się do pracy, do zarobkowania, tego odtrącano, z listy wykreślano. Znalіśmy między innymi, jednego, co nic nie miał, nic nie umiał, był do niczego i pobierał subsydyja od familii sute dla tego jedynie, że groził, iż pójdzie na leśniczego, jeżeli zasiłków nie dostanie. Racya rezydentów i rezydentek, trzymanyh po domach zamożniejszych, polegała nie na czem innem, jeno na wyobrażeniu o sromotności pracy. Urodzeni, w dostatkach żyjący, tulili przy sobie urodzonych zubożałych, celem zapewnienia dla nich należnego im *otium* ustawicznego. Dawniej trzymano ich na stopie zupełnej równości; w owych atoli czasach, w domach pańskich, jakim był dom podkomorzego, naprzykład, rezydenci mieszkali w oficynie i jadali przy drugim stole, i tylko już w domach szlacheckich przypuszczano ich do poufałości większej. U państwa Oleckich przebywało dwóch: jeden, przywiązany niejako do gruntu, staruszek jak gołąb biały, dostał się im w spadku po rodzicach; drugi człek lat średnich, wśacz od stu djabłów, daleki jakiś pana Michała krewny, przybłąkał się do frasoblewieckiego dworu od lat paru i pozostał na bawienie. Zabawić miał czas jakiś i bawił dla tego, że nie odjeżdżał, nie odjeżdżał zaś dla tego, że odjazd od jutra do jutra odkładał. Jutra przychodziły i przemijały, on się wciąż wybierał, dla procesu, o którym przy każdej opowiadał okazji, i wciąż pozostawał. Pierwszy nazywał się Antoni Pogoński, drugi Maciej Okrasa. Pierwszego tytułowano panem podstolicem, drugiego panem komornikiem. I jak ten tak ów posiadali specjalności, które ich jeżeli nie pożytecznymi, w ścisłym tego wyrazu znaczeniu, to przynajmniej nie zawadzającymi czyniły.

Specjalnością podstolica była znajomość gruntowna heraldyki polskiej i związków rodowych familii szlache-

ckich. Był to herbarz chodzący. W wieku XVIII i dawniej znajomość ta należała do rodzaju najpotrzebniejszych i zaden szlachcic statysta bez takowej obchodzić się nie mógł. W wieku XIX występowała ona pod postacią zabytku przeszłości, przerzucającego się tu i owdzie. Utyskiwano na brak onej, lecz nadaremnie. Duch czasu postawił na indeksie naukę, przed którą praojcowie nasi czołem bili i nauka znikła, przepadała, przechowując się jeno w głowach starców, wieku swego dożywających. Jednym z takich był podstolic, przy którym dosyć było wymienić nazwisko pierwsze lepsze, ażeby on opowiedział dokładnie nie tylko o herbie, ale oraz i o pokrewieństwach, powinowactwach i kolligacjach nazwisko to otaczających.

— Mospaneńku serce...—od tych słów odezwanie się każde zaczynał—herbu (takiego to z takiego), rodzi go (ta a ta), po mieczu (tu wymieniał nazwisk kilkadziesiąt niekiedy), po kądzieli (i w tym względzie niemniej dokładne podawał daty).

Pełnił więc funkcyę jakąś; szedł w ład wyobrażeniom, które racyę bytu traciły, ale jeszcze panowały (od panowania tego i dziś nie jesteśmy zupełnie wyzwoleni); był przytem nabożny bardzo—modlił się nieinaczej, jeno na klęczkach, przy łóżku swoim, z dłońmi złożonemi i z oczami wlepionemi w zawieszony na ścianie wizerunek świętego Antoniego, do pośrednictwa którego odnosił wszystkie pacierze, modlitwy i suplikacye, które odmawiał w ten sposób, że wyrazy niektóre wypowiadał głośno, całe zaś okresy szeptem. Naprzykład:

— Ojcie nasz...—następowało mówienie ciche, aż znów głos podnosił: Chleba naszego powszedniego...—i mówił po cichu do: I odpuść nam nasze winy... A nie wódź nas na pokuszenie...—reszta tonęła w szeptaniu.

Do gospodarstwa się nie mieszał, w sprawach żadnych udziału nie brał najmniejszego, do rozmów nie stawał, z wyjątkiem kiedy się nadarzyło mówić o rodowości. O przeszłości własnej nie rozpowiadał nigdy, a przecież, będąc młodym w czasach burzliwych, jakimi były lata drugiej, połowy wieku XIX, musiał przechodzić koleje jakieś. O tych nie wiedział nikt, ani pan Michał, który, przyszedłszy na świat, zastał podstolica na rezydencyi w domu rodzicielskim i nie pamiętał go inaczej, jak pod postacią staruszka, cichego, skromnego, potulnego, nikomu wody nie mącącego, nabożnego i w heraldycznych wiadomościach bardzo biegłego.

Komornik był podstolica przeciwieństwem absolutnem, zaczynając od pobożności. Nie widział go nikt odmawiającego pacierz; nie widział go nikt żegnającego się krzyżem świętym. Uchodził za farmazona, zaprzedanego djabłu, luboć odbywał spowiedź wielkanocną regularnie. Spowiedź jednak nie zasłaniała go przed podejrzeniem o zimowę z nieczystym, którego imię miał na języku ustawicznie. Jak podstolica przysłowiem było „mospaneńku serce“, tak tego: „djabeł wie, mociumpanie“. Mentyka, kłótlivy, każdego zaczepił, każdemu dokuczył, do wszystkiego się mieszał i jedyną korzyścią, jaką przynosił, było to, że myszy łapał. Stanowiło to specjalność pana Macieja Okrasy, specjalność, której oddawał się z taką namiętnością, jak inni kartom, polowaniu, kieliszkowi etc. Myszom poprzysiągł, zda się, nienawiść nieubłaganą.

— Pan komornik, mospaneńku serce...—mawiał staruszek—mści się za króla Popiela...

— Djabeł wie, mocium panie...—odpowiadał pan Maciej. Król Popiel tyle mnie obchodzi, co, nie przymierzając psa piąta noga...

Zgłębił wszystkie tajemnice mysiej natury i umiał je łapać na sposobów dziewięćdziesiąt i dziewięć. Budowanie, reperowanie, odcyszczanie i narządzanie pułapek, pastek, samotrzasków, żelaz, jam, sideł stanowiło jedyne jego zatrudnienie, w którym doszedł do mistrzostwa skończonego. Zatrudnienie to nie licowało do niego. Zabawnie wyglądał, człek barczysty, wąsaty, z karkiem na którym choć obody gnij, z rękami do łamania podków, bawiący się pręcikami i drucikami. Po za pręcikami i drucikami bawił się potrosze delatorstwem, mającem za cel ekonomą, leśniczego, arendarza, klucznicę, kucharza, służbę stajenną, służbę pokojową, służbę piekarnianą, gumienno, karbowego, etc.; gdy zaś na fryca natrafił, to mu opowiadał ze szczegółami wszystkimi o procesie, jaki toczył o sukcesyę, zabraną mu nieprawnie przez successorów podczaszyny Oleckiej, z domu Okrasianki, wypadającej mu babką a zmarłej przy schyłku wieku zeszłego. Podczaszyna owa była prababką w linii pobocznej pana Michała. Ten to był tytuł, dla którego Okrasa przybył do niego i w domu jego ugrzązł.

— Ja tu, do tej Frasobłówki, djabeł wie, mociumpanie, przyjechał na moment tylko...—tak zaczynał opowiadać swoje. Przyjechałem rozmówić się z panem Michałem, jako z Oleckim, za Oleckim bowiem, djabeł wie, mociumpanie, była Okrasianka, która wniosła summy posagowej złotych polskich tysięcy szesnaście, zaintabulowanych na Hołobnatowie... Dokumenta są (tu dłoń szeroką ręką lewą pokazywał i palcami ręki prawej na odlew po takowej trzepał), są... o... Djabeł wie, mociumpanie!... Wniosła tysięcy szesnaście, jak lodu, i nie wyniosłaż ich ze sobą na tamten świat... Gdzież one są?... o... Djabeł wie, mociumpanie... Ale ja nie z takich, co to gruszki w popiele zasypiają... Pilnuję i dopilnuję, siedzę adwokatowi na karku i ode-

tchnąć mu nie dam, póki swego, djabeł wie, mociumpanie, nie dojdę...

Był w stanie, zacząwszy rano, prawić o processie tym do wieczora i nie skończyć. Według niego, sprawa znajdowała się w pełnym toku, w rzeczywistości jednak, nie istniała wcale i historia cała była wytworem bujnej pana Macieja imaginacyi.

Podstolic miał swoje przy stole pańskim miejsce, które zajmował przy gościach i bez gości. Odznaczało się ono krzeselkiem odmiennem, skórą obitem i w wysoki poręcz zaopatrzonem. Gdy do stołu podawano, staruszek stawał za krzeselkiem swoim, ledwie go z za poręczą widać było, i tak stał aż wszyscy miejsca pozajmowali, poczem krzeselko ostrożnie odsuwał, zęgnął się, poły od kapoty zawijał, siadał i nie odzywał się, chyba, że go kto pytaniem zaczepił. Gdy mu przy stole wpadło w ucho nazwisko obce, wnet ustami ruszał, wymieniając sobie, w rozmowie z samym sobą, czem się ów wymieniony pieczętuje, kto go rodzi, z kim w powinowactwie pozostaje. Recytować to samo gotów był głośno, lecz nigdy sam z popędu własnego głosu nie zabierał.

Komornik miał także swoje przy stole miejsce, a nawet i przy gościach, ale nie zawsze i nie przy wszystkich. Zwykle, gdy się goście trafili, co zdarzało się dość często, służba zapominała niby nakrycie dla niego stawiać. Od rodzaju gości zależało, ażeby pan Michał zapomnienie to sprostował, lub nie. Niekiedy zwracał się do lokaja z pytaniem:

— A pan komornik?...

Wówczas lokaj co rychlej talerz stawiał, krzesło przysuwał i spieszył prosić myszoborcę do stołu.

Niekiedy jednak, w razie gdy matedory jakies obiad

obecnością swoją zaszczycały, pomijał zapomnienie lokajskie milczeniem i wówczas pan Maciej, zajrzawszy razy parę do izby jadalnej, wstrząsał głową, wymawiał pomrukiem wyrazów kilka pod nos em, i bądź, jeżeli pora sprzyjała, wybierał się z laską w rękę na przechadzkę daleką, bądź też, jeżeli deszcz padał lub zimno na dworze było, kładł się na łóżku swoim na wznak i zasypiał.

Dwoje państwa Oleckich i dwóch rezydentów, w otoczeniu sług, służebnic i officyalistów: oto grono, które się wybierało w pochód życiowy, w charakterze punktu ogniskowego, świecącego w Frasnoblówce. Młodzi państwo Oleccy stanowili parę przewodnią. Szli przodem, za nimi rzuszali inni, a z tyłu podążał tłum—gromada włościńska. Była to jednostka społeczna w pełni swojej, takiej, w jakiej wyszła z łona dziejów. Z jednostek podobnych składała się całość, na wzór tego jak z hufców składa się armia.

O! cóż za wielkie, co za święte, na parze przewodniej ciążyły obowiązki!...

Obowiązków tych natury określać nie będziemy. Napomknęliśmy o nich dla tego jedynie, że się pod pióro nasunęły; nasunęły się zaś pod pióro dla tego, że chcieliśmy dokładnie dać czytelnikowi poznać osobistości, wprowadzone na teatr powieściowego działania.

Pan Michał nie był panem, jak podkomorzy; pani Michałowa nie była panią, jak podkomorzyna. Na pochwałę ich powiedzieć należy, że się do państwa nie pięli, ale też nie pięli się do niczego, coby za zwykłe, uznane i utarte wprowadzało tory. Byli, w znaczeniu całem, ludźmi chwili terażniejszej, żyli dniem dzisiejszym, wpływy otaczającej ich sfery przyjmowali i do takowych się stosowali. Na niewie bytowania ich rosły chwasty. Nie ochodziło to ich. Rosły? Tem ci gorzej. Nie oni je zasiali. Nie poczowali

się więc pod względem tym do winy najmniejszej. Przyjmowali sumieniem spokojnem stanowisko swoje „urodzonych“; „urodzonych“ tulili przy sobie; i ani im przez myśl przechodziło, ażeby bądź oni sami, bądź podstolic i komornik, bądź podkomorstwo Kostrzewiccy lub książe Ga-majdowie, bądź kto inny z tej sfery, pasożytami być mieli.

A przecież, niestety! nie co innego, jeno pasożytyzm, postawiony na stanowisku czynnika dyrygującego, był przyczyną pierwotną nieszczęść i klęsk wszystkich, przez jakie i tu i tam i ówdzie ludzkość przechodziła. Zaczynał się on od tych właśnie punktów, które za wytyczne powieści naszej służą. Dla tego to o punktach tych z przyciskiem niejaki mówimy, wykazując je o tyle, o ile w powieści wykazywanie podobne uchodzić może. Mielibyśmy o tem do mówienia dużo jeszcze, ale...

Pan Olecki objeżdżał łany, kiedy z Ohrebyszcz przybiegł posłaniec z listem od podkomorzego. Przyjechał na koniu spoconym, konia u płotu uwiązał, i zdjęwszy we wrotach czapkę, z głową odkrytą do dworu kroczył. W ganku, w czapce na bakier, wzięwszy się ręką pod bok, pogwiżdżając sobie pod nosem, stał pan Okrasa. Posłaniec w pas mu się pokłonił.

— He?...—zapytał komornik od niechcienia.

— Z pismem do pana...

— Zkąd?...

— Od jaśnie wielmożnego pana z Ohrebyszcz...

— Pana w domu nie ma...

Posłaniec z miną zakłopotaną w głowę się podrapał.

Zakłopotanie chłopca, komornika nie obchodziło wcale. Zdziwiło go tylko, że ten stęknął.

— Co?... czy cię kurcz porywa?...

— Nie, proszę wielmożnego pana...—odparł zagabnięty—ale...

— Ale co?...

— Jakiś to musi być interes bardzo pilny, bo pan komissarz nakazywali i nakiwali... Może pani wielmożna w domu?...

— Pani w domu...

— A otże pismo...—rzekł, podając list, zapieczętowany wielką herbową pieczęcią.

— No?...

— To chybaby wielmożnej pani te to pismo oddać, ażeby ona zobaczyła, co w niem napisano stoi...

— A mnie co do tego!...

Posłaniec cofnął rękę z listem i oglądać się począł, ażali nie zoczy z domowników kogo, coby się missyi wręczenia listu podjąć chciał.

Zoczył podstolica, kroczącego powoli przez podwórze na ganek i pozdrowił go pokłonem w pas.

— Co tam, mospaneńku serce?...

— Ot co...—i wetknął list podstolicowi w ręce.

Staruszek zwrócił go pieczęcią, której przypatrzył się zdaleka, jak to ozynić zwykli ludzie z osłabionym wzrokiem, i rzekł:

— Herb podwójny, mospaneńku serce... małżeństwo... jednym pieczętują się Slascy, Kowalscy, Żulicy, Bolejewscy, Stożkowie, Kostrzewicy, Gawronscy, drugim Sobiescy, Wierzbietowie, Podlodowscy, Kanewscy, Janikowscy. Połączyły się one przez imię pana Kostrzewickiego Marcina, podkomorzego i przez jejmość panią Klarę z Janikowskich Kostrzewicką, podkomorzynę, zamieszkałych w dobrach dziedzicznych, Ohrebyszczach...

— Ta to, djabeł wie mocumpanie...—odezwał się ko-

mornik—jegomość, gdybys się chłopą tego spytał, dowiedziałbys się, że to list od podkomorzego...

— Nie sztuka pytać, mospaneńku serce...

— Właśnie że sztuka, djabeł wie mociumpanie... Ot, na ten przykład, ja... Pytałem i dopytałem się do podczaszyny Oleckiej, z domu Okrasianki...

— Świeć, panie, jej duszy, mospaneńku serce...

Staruszek westchnął.

— Jegomość... djabeł wie mociumpanie... znałeś ją?.. Zapytanie to raz setny, co najmniej, zadaniem zostało.

— Czym ją znał?... mospaneńku serce...—odpowiedział podstolic—oj... oj... jakbym na nią patrzył...

— Babka moja... stryjeczno-rodzona mego dziada rodzzonego siostra...—odrzekł Okrasa wás palcami podnosząc. Wniosła, jak lodu...

— Wielmożny panie...—przerwał posłaniec, kłaniając się podstolicowi. Pismo to, jakieś bardzo pilne...

— Milcz, chamie!...—zawołał komornik. Nie przerywaj kiedy mówię!...

— Ależ bo... ono to...

— Milcz, gadzino!... Wniosła tedy, jak powiadam... djabeł wie mociumpanie... tysięcy szesnaście złotych, jak lodu, i...

— Dzień dobry jegomości, panie podstolicu... Dzień dobry, panie komorniku...—odezwał się srebrzysty głos kobiety z otwartego okna.

Komornik schwycił czapkę z głowy; podstolic się odwrócił i odpowiedział.

— Jejmość dobrodziejko... już południe minęło, mospaneńku serce... i ja odpowiadam życzeniem południa dobrego...

— Przecież dzień—odrzekł ten sam głos, który pocho-

dził z ust młodej, hożej, w letni szarafan i w czepeczek ze wstążkami ubranej kobiety—dzień od wschodu do zachodu słońca...

— Eh—hrm!...—chrząknął komornik, chcąc się z cemes odezwać a nie wiedząc z czem.

Staruszek, usłyszawszy uwagę kobiety w czepeczku, zamyslił się głęboko, jakby uwaga ta stanowiła problemat niesłychanie do rozwiązania trudny.

Z milczenia chwilowego, jakie, w skutek tego nastąpiło, skorzystał posłaniec, i zwracając się do okna, w którym pani—był to bowiem nie kto inny jeno pani Olecka—stała, wykonał pokłon do ziemi samej.

Pani pokłon ten widziała, nie do posłańca jednak a do komornika zwróciła zapytanie:

— Co to za człowiek?...

— To nie człowiek, to chłop, proszę jejmości dobrodziejki...

Odpowiedź ta nie zdumiła pani Oleckiej bynajmniej, jakby się tego spodziewać należało. „Jakie czasy, takie obyczaje“. Wzięła ją w znaczeniu poprawki i pytała dalej:

— Czegóż on chce?...

Posłaniec znów się pokłonił, i nie dając komornikowi do słowa przyjść, odpowiedział:

— Oto pismo to (tu ukazał na trzymany wciąż przez podstolica list) ja, wielmożna pani przywiozłem, pismo jakieś bardzo pilne, ta nie ma komu zobaczyć co w niem napisano stoi... Podobnoś wielmożnego pana w domu nie ma...

— Oto, pan jedzie...—odrzekła pani.

Ukazał się w tej chwili we wrotach jeździec na gniedym koniu, w szaraczkowej odzieży. Koń tęgi i jeździec tęgi. Na widok ten kobieta uśmiechnęła się uśmiechem zadowolenia, konwojując wzrokiem jeźdźca przez podwórzą

całe do ganku, przed którym on z siodła zeskoczył i wręczył cugle przybiegającemu ze stajni kozakowi. Oblicze jeźdźca jaśniało dobrym humorem.

— Cóż, panie podstolicu? cóż, komorniku szanowny?...—pytał, wchodząc na ganek, kłaniających się mu rezydentów.—Co słyhać?...

— Chwalić Boga, mospanieńku serce...—odrzekł staruszek.

Pan Okrasa chrząknął i wąsa poprawił.

— Chwalić Boga, w rzeczy samej...—odparł przybyły, którym był pan Michał Olecki.—Posiewy jare schodzą, aż miło, ozimina strzałki puszcza, obiecując plenność obfitą... Potrzebaby teraz jednego dobrego deszczu na sianozęcie...

— A groch?...—zapytała pani przez okno.

— Schodzi, duszko... I na groch deszczuby potrzeba...

— Cukrowy już strączki puszcza...

— Podlewany i tyczony, a na grządce sadzony... Co grządka to nie rola, a co groch cukrowy to nie prosty...

Rozmowa ta gospodarska ciągnęłaby się dłużej, gdyby nie posłaniec, który, jakby na kłanianie się wieczne wskazany, znów się pokłonił i zaczął:

— Wielmożny panie...

— Zkąd ty?...—przerwał pan Michał.

— Ta że z Ohrebyszcz, od jaśnie wielmożnego pana, z pismem do wielmożnego pana...

— Z pismem... gdzież ono?...

— Ta że u nich...—odrzekł chłop, ukazując na podstolica.

Pan Michał zwrócił się do staruszka, ten jednak, jakby nie wiedział ani domyślał się o co chodzi, spokojnie

wkładał do czapki chustkę kraciastą, w którą tylko co utarł nos. W ręku jego listu nie było.

— Gdziez list?...

— Jaki list?...

— A ten, co jegomości posłaniec dał?...

— Posłaniec dał?... list?...—powiadał staruszek, oglądając się poza siebie i podnosząc ręce, jakby w celu wypuszczenia przedmiotu jakiegoś pod ramieniem trzymanego. List?... mospaneńku serce...

— Jegomości go chłop ten wręczył...—odezwał się komornik.

— Jegomość go w ręku trzymałeś...—odezwała się pani z okna.

— List?... wręczył?... w ręku?...

I spoglądał staruszek po sobie, patrzył pod nogi, oglądał się poza siebie.

— Rozpoznałeś jegomość na nim pieczęcie, herb rodu Kostrzewickich i herb rodu Janikowskich...—przypominał komornik.

— Herb rodu Kostrzewickich i herb rodu Janikowskich złączyły się w skutek skojarzenia się dwóch tych domów przez zawarcie ślubów małżeńskich pomiędzy imię panem podkomorzym, a...

— Gdziez list?...—przerwał pan Michał.

— List?...

— Poszukaj-no jegomość przy sobie, czyś nie wsunął w zanadrze niechący...

Podstolic szukać począł przy sobie, rozwiązał pas, rozpiął kaptotę, rewidował kieszenie, wstrząsał odzieżą, wsuwał ręce za cholewy.

— Wszak to nie szpilka...

— Ogromna koperta, z wielką pieczęcią...—dodał komornik.

Poszukiwania najściślejsze nie zdały się na nic. Wypadek równał się cudowi. Nikt obcy nie przychodził, ganek był zupełnie otwarty, pani Michałowa, komornik i posłaniec jednogłośnie świadczyli, że list znajdował się w rękach podstolica. Mógł mu z rąk wypaść. Byłby jednak na podłodze, z której wziąć go nie mógł nikt.

— Chyba mysz...—odezwał się pan Michał.

— Mysz!...—krzyknął komornik. — Djabeł wie mociumpanie!... Ale nie... nie!... to być nie może!... Gardłem ręcę, że to być nie może!... Mysz?...

— Myszy przecie papiery zaciągają...

— Zaciągają, ale żadna nie dopuściłaby się zuchwalstwa takiego, ażeby w biały dzień, przy ludziach na ganku, przyjść i porwać list od pana podkomorzego... Nie, o! nie... Mądre one; ale ja tu byłem... djabeł wie mociumpanie... a mnie one nie oszukają... Nie, przeczę temu uroczyście i gotów jestem głowę w zakład dać...

— Czy nie schowałeś pan, panie komorniku, listu tego przypadkiem?...—zapytał pan Michał.

— Ze mną się przypadki nie zdarzają...

— Poszukaj jednak przy sobie...

Szukał komornik, szukał posłaniec; zawołano służby szukano na ganku, w sieniach, na podwórzu, a rozszerzając koło poszukiwań coraz to dalej, przeniesiono takowe do stajni, do oficyn, do dworu i listu nie znaleziono.

— A taki pilny!...—powtarzał posłaniec.

— No... niech dają do stołu...—rzekł w końcu pan Michał. Stał się cud, nie co innego...

Wniesiono wazę. Staruszek podstolic stanął za krzesłem swoim, i wydobywszy chustkę z czapki, pot nią

sobie z czoła ocierał. Zajęli pani, pan i komornik miejsca swoje; zajął swoje i on, gdy wtem lokaj zupełny roznoszący zgiął się i podniósł z podłogi list z pieczęcią nienaruszoną.

Wszystkich oczy radością strzeliły.

List znalazł się za krzeselkiem podstolica.

Zagadka pod inną przedstawiła się postacią.

Zkąd się on tam wziął?

Nam się zdaje, że staruszek, nie myśląc o tem, ucieając nos na ganku włożył list do czapki i że on z czapki mu wypadł, gdy za swoim krzeselkiem stojąc uznojone czoło sobie ucierał. Czapka służyła mu za schowankę dla chustki od nosa. Na fakcie tym opieramy domysł nasz, który jednak pod dachem państwa Oleckich zagadką pozostał na zawsze. Cudownie list się zatracił i cudownie odnalazł. W wiekach dawniejszych wypadek ten zaciągnionoby do rejestru zdarzeń wielkiej doniosłości, zwłaszcza, że spotkał on człowieka tak nabożnego jak pan Antoni Pogoński

Pan Michał rozpieczętował list natychmiast, przebiegł go oczami i zawołał:

— Wesele!...

— Gdzie? czyje?...—zapytała pani.

— Podkomorzanka idzie za księcia Godfryda Gamajdę... Proszeni jesteśmy na zaręczyny... Trzeba się wybierać natychmiast po obiedzie...

Staruszek mruczał coś pod nosem. Notował sobie w pamięci, czem pieczętuje się Gamajda a czem Kostrzewicka i przypominał sobie pokrewieństwa, powinowactwa i kolligacye dwóch tych znacznych domów.

XI.

Znajomość z państwem Oleckiem przyda się nam na później. Pospieszaliśmy z takową dla tego jedynie, że, zdaniem naszym, zaznajamianie się z dobrymi ludźmi nigdy zawczesnem być nie może. Nie nam oni zawadzali—owszem. Przydatność ich zresztą pokaże się w swoim czasie.

Tymczasem w salonie podkomorstwa wystąpili, jako najpierwsi z gości na świadków uroczystości zaręczynowej wezwanych.

Pozostali przez czas jakiś sami, we dwójkę.

— Pospieszaliśmy się trochę...—rzekł pan Michał pod sekretem do żony.

Pani w oczy mu spojrzała z wyrazem niezadowolnienia niejakiego.

Pośpiech w stawieniu się na zaprosiny stanowi dość znaczne przeciwko etykiecie wykroczenie, znane na wsi, tak dobrze, jak i po miastach. Stało się jednak. Państwo Oleccy sprawili sobie przykrość sami i znaleźli się o tyle dobrze, że nie zwalali winy jedno na drugie. W iluż to stąd wypadek podobny staje się przyczyną zwad, doprowadzających do strasznych scen małżeńskich! Pomiędzy niemi rzecz cała skończyła się na uwadze męża i na spojrzeniu żony.

Samotność ich jednak nie potrwała długo.

Wybiegła podkomorzyna.

„Wybiegła”—powtarzamy ten wyraz, określa on bowiem dokładnie sposób, w jaki gospodyni domu wyszła do gości.

— O! państwo kochani!... O! sąsiedzi łaskawi!... Czyżem w stanie wyrazić wam wdzięczność swoją?...

Od wykrzykników tych rozpoczęło się powitanie, co jest oznaką, że podkomorzyna posiadała takt gospodyni domu wytrawnej. Wynadgradzała w ten sposób przyszłość, jaką młoda para sama sobie sprawiła. Wyciskała, wycałowała panią, pozdrowiła serdecznie pana, usadowiła ich wygodnie, przeproszała, że podkomorzy, „gospodarstwem zajęty“, na spotkanie ich nie pospieszył i rozpytywać się poczęła z troskliwością wielką o zdrowie. Młoda kobieta, ogłaskana i udobruchana, prędko o przykrości zapomniała i pytaniami o toż samo się wywzajemniała.

— Jakże tam pani kochana?...

— A pani łaskawa, jakże?...

Zdrowie dla pań wiejskich jest niewyczerpanym w rozmowie przedmiotem. Być zdrową zupełnie, jest to nieprzyzwoitość, której się nie dopuszcza żadna szanować siebie umiejąca. Chorować zwyczajnie, jest to także nieprzyzwoitość. Chorować i umieć chorować należy do dobrego tonu i stanowi jedną z gruntownych właściwości damy dobrze wychowanej. Oczewiście więc obie panie, i wyglądająca jak rzodkiewka miesięczna pani Michałowa, i przybladła a pomarszczona już nieco podkomorzyna, przyznawały się do przypadłości różnych nadzwyczajnych, na które pod słońcem lekarstwa nie było. Młoda pani Olecka czyniła wyznanie niezgrabnie. Była jeszcze niewprawną i zdradzała się z naśladownictwem. Co się jednak podkomorzyny tyczy, ta tak zręcznie symptomata przerażające zestawiała,

taką komplikację bólów niesłychanych ułożyła, że się otoczyła w oczach młodej kobiety urokiem męczeństwa, bezimiennego wprawdzie, zawsze jednak męczeństwa, tem cięższego że niepojmowanego.

— Ach, pani kochana!... pani tak cierpi!...

— To nic że cierpię, ale poznać tego po sobie nie daję... Podkomorzy ani się domysła...

— Czemuż to?... Pan podkomorzy postarałby się...

— Zaradzić?...—podchwyciła podkomorzyna.—Czyby się zaradziło, to rzecz wątpliwa; a to pewne, iżbym męża na zmartwienie i zgryzoty naraziła... Wolę więc cierpieć w milczeniu...

— Ja gotów zdradzić tajemnicę pani...—podchwycił pan Olecki.

— Panie Michale...—odezwała się podkomorzyna tonem prośby. Wynurzyłam się przed wami jak przed przyjaciółmi... nie podejrzewając zdrady z waszej strony...

— O, pani podkomorzyno!...—odparł pan Michał, w rękę ją całując. Niech pani, co się tego tyczy, będzie pewną i spokojną...

— Zresztą, ja i sama o zarządzeniu złemu myślę... Niechno tylko dzieci los ustalę... Ludka za mąż wyjdzie. Karol się ożeni, wówczas... pomyślę... Zrobiliśmy już z mężem ślub pielgrzymki do Częstochowy... Ufność w Bogu i w Matce przenaświętszej...

— O... to...—westchnął pan Michał.

Westchnęła i pani Michałowa.

— Ale...—zaczęła podkomorzyna.

— Ale...—w tej samej chwili zaczął pan Michał.

I ucieli razem oboje. Pani podkomorzyna spoglądała na pana Michała; pan Michał spoglądał na panią podkomo-

rzyne. Przeszkodzili jedno drugiemu i przez grzeczność jedno drugiemu głosu odstępowało.

— Pan zaczął...

— Przepraszam, pani dobrodziejka zaczęła...

— Cóż pan powiedzieć chciał?...

— I... nic, pani podkomorzyno... Nie przypominam sobie nawet, bo uwagę zwróciłem na słowa pani... Pani dobrodziejka powiada tedy?...

— Miałam na myśli powiedzieć coś, co pana, jako mężczyznę, obchodzić nie może...

— Ciekawym, cóż to mnie obchodzi...

— Chciałam pochwalić czepeczek żony pańskiej...

— A, toć to mnie obchodzi nadzwyczajnie!—odrzekł pan Michał tonem, w którym przebijał się nastrój żartobliwy.

— Doprawdy?...—zapytała podkomorzyna.

— Jakże pani chce!...

— Ach! zapomniałam, że państwo od pięciu dopiero miesięcy małżeństwem jesteście!...

— Pani zatrważasz moją żonę...

— Och, nie zatrważam... W nas, panie, słabych istotach, jest hart i rezygnacya... Znosić umiemy zawody niespodziane, do których żadna z nas przygotowaną nie jest... Powtarzam to Ludce, pomimo, że ona robi partyą dobrą, bardzo dobrą...

Pani Olecka milcząco potakiwała; pan Michał potakiwał monosylabami. Grzeczność sama nakazywała im czynić tak nie inaczej. Mogliż przeczyć? Pan Michał, człowiek porządny i przyzwoity, posunął grzeczność tak daleko, że powinszowania składał:

— Winszuję—mówił—szczerze winszuję państwu dorodziejstwu wyboru, jaki panna Ludwika zrobiła...

— Nie dozna zawodu...—odrzekła podkomorzyna—luboć nie jest to z jej strony bez ofiary niejakiej... Ale życie nasze, nie jestże ofiarą ustawiczną?...

Dla młodych państwa Oleckich ofiarność była jeszcze rzeczą niezrozumiałą. Nie mieli ani czasu, ani sposobności dowiedzieć się o niej. Zeszli się tak naturalnie. On potrzebował żony; ona potrzebowała męża; potrzebie tej zadośćuczynili! kontenci z siebie wzajemnie byli; ofiara żadna na najdalszym nie ukazywała się im horyzoncie. Na niezrozumiałe więc zapytanie podkomorzyny odpowiedzieli jednym na dwoje rozbitem westchnieniem i nastawiać się musieli na powitanie podkomorzego, który wchodził w tej chwili, udając pośpiech wielki.

— Ach! szanowni!... Ach!... kochani!... — wołał od progu.

Pana Michała uściskał; pani Michałowej rączkę, którą ona prędko z rękawiczki wyswobodziła, ucałował.

— No i jakże?... No i cóż?... Dziękuję, serdecznie dziękuję kochanym i łaskawym państwu, żeście prośby mojej wysłuchali!...

— O mały włos—podchwycił pan Michał—nie zostaliśmy sobie w domu spokojnie...

— Na Boga!...—zawołał podkomorzy.—Mieście państwo dobrodziejstwo zamiar krzywdę nam zadać...

— Nie to, ale stała się z listem pana dobrodziejstwa historia, której wytłumaczyć sobie nie umiemy i której, pewny jestem, nie wytłumaczyłby sam Pinetti...

— Cóż przecie?...

— Proszę wystawić sobie...

Tu pan Michał opowiedział ze wszystkimi szczegółami cudowne zginiecie i odnalezienie listu. Podkomorzy i podkomorzyna dziwili się temu niezmiernie i czynili domy-

sły różne, które pan Olecki zbijał faktami. W końcu podkomorzy zakonkludował:

— To, albo cud, albo sztuka Pinettego...

Wzmianka o Pinettim posłużyła za bogatą do gawędki materję. Panowie opowiadali dziwa bardziej zdumiewające jedne niż drugie.

Pinetti, jako przedmiot rozmów, bawił całe jedno pokolenie obywatelskie na Podolu, Wołyniu i Ukrainie. Teatrem popisów jego był Kijów w czasie kontraktów. Szlachta nie mogła się dosyć o sztukach jego naopowiadać. Podawały one treść niewyczerpaną. Opowiadano bez dodatków i z dodatkami—więcej rozumie się z temi ostatnimi, a to z tego powodu, że w każdym szlachcicu polskim tkwi zaczyn tej poetyczności, która wydała arcymistrza w swoim rodzaju, księcia Karola panie kochanku. Nie masz, zapewne, reguły bez wyjątków. Zdarza się często gęsto szlachcic, co kłamstwem ust nie skalał nigdy w życiu. Znany postacie takie, jako kryształ czyste. Z drugiej atoli strony, wedle reguły ogólnej, na jednego prawdomówcę bywało łgarzów pięciu przynajmniej. I jakich jeszcze! Fakt ten tłumaczy się sam przez się. Natura próżni nie cierpi. Szlachta miała próżnię w głowach, więc zapełniała takową fantazją. Wyobraźnia wyręczyła rozum, i wyręczycielka ta, przy każdej zdarzonej okazji, płodziła herezye istne.

Okazyja podobna trafiła się podkomorzemu i panu Michałowi i pozwolili też sobie. Na rachunek Pinettego opowiadali dziwa z pewnością nie bywałe. Podkomorzy opowiedział, jak Pinetti wprawił w kłopot bankiera, który pieniądze liczył i doliczyć się nie mógł, aż dowiedział się z kim ma do czynienia i kasę mu otworzył. Pan Michał opowiedział, jak Pinetti, o jednej i tejże samej godzinie, minucie

i sekundzie, z miasta pewnego, wszystkimi na raz wyjechał bramami.

— A, to ja państwu dobrodziejstwu lepszą o nim sztukę opowiem...—zabrał głos podkomorzy.—Jechała szlachta do Kijowa na kontrakty i zjechała się w Wasylkowie na noc w karczmie zajezdnej w takiej liczbie, że nie było gdzie szpilki tknąć. Porozkładali się w izbie gościnnej na łózkach, na ławach, na podłodze, na stołach. Bitkiem nabito niby śledzie w beczce. Aż tu wchodzi podróżny jakiś. „Ej!—prosi—panowie dobrodziejce, zróbcie miejsce“. Nikt na to ani zważa. Było na jednym stole miejsca tyle, co usiąść. Przybysz prosi o nie, a gdy mu nikt nie bronił zajęcia takowego, siada i instaluje się. Poczyna się rozbierać. Szlachta patrzy ciekawie, jak się też on umieści. A on mości dobrodziejcu, z najzimniejszą w świecie krwią, odkręca sobie nogę jedną i kładzie przy sobie, odkręca drugą i kładzie. Szlachta się pozrywała z pościeli i patrzy, co też to dalej będzie, aż on bierze się do głowy i głowę niby ze szruby odkręca. Szlachta hurmem do drzwi i w nogi. Ktoś jednak krzyknął: „Pinetti!“ To ich upamiętało, wracają i zastają Pinettiego, jak się roztasował wygodnie i leży jak długi na stole... A co, jak się to państwu podoba?..

Przy końcu tego opowiadania, wszedł ksiądz proboszcz, *in gratiam* którego podkomorzy rzecz *ab ovo* rozpoczął.

Interesująca ta dyskusja pociągnęłaby się zapewne dalej, gdyby jej tamy nie postawiła podkomorzyna, skorzystawszy z chwilowego przestanku i wspomniawszy o książkach.

— Książęta już są?...—zapytała pani Michałowa.

— O, są... Byli u nas na obiedzie... Przed obiadem odbyła się deklaracya i tak się to, powiem pani, niespodzia-

nie stało, żeśmy nie mogli prosić na świadków zaręczyn, jak tylko osób kilka, najbliższych przyjaciół naszych: państwa dobrodziejstwa, pana sędziego, pana pułkownika, pana chorążego, pana prezesa...

— Państwa Zahalnickich...—dodał pan Michał, pamiętny wieczorków tańczących, na których, bywając, spotykał Gustawa.

— O!...—krzyknęła podkomorzyna i rzuciła się, jakby w przestachu.—Prosililiśmy tylko najbliższych przyjaciół naszych...—dodała z przyciskiem.

Pan Michał wargi przygryzł. Zmiarkował, że wyrwał się niewłaściwie. Zahalnicy ubodzy nie mogli się liczyć do najbliższych bogatych państwa Kostrzewickich przyjaciół. Ci mieli dusz tysiące, tamci i stu nie posiadali, a choć szlachta, ale pracowitością tręcili. Cóż tu za przyjaźń zachodzić mogła? Zkąd data? Przygryzł więc pan Michał wargi; a byłby przygryzł jeszcze bardziej, gdyby wiedział o stosunkach, jakie zachodziły pomiędzy Gustawem Zahalnickim a panną Ludwiką. Szczęście jego, że nie wiedział. Nie domyślał się ukłucia szpilkowego, jakie niechcący zadał podkomorzynie w serce.

Rozmowa zeszła na inny jakiś przedmiot i wkrótce potem przybywać poczęli inni zaproszeni, mężowie poważni, każdy w asystencyi, jeżeli nie połowicy z konsolacją, to okazji jakiegoś konsolacyi pod postacią syna lub córki. Pan pułkownik przyjechał z panią pułkownikową i z synowcem, kawalerem na ożenieniu, zamieszkującym w dalszej okolicy, który nie w innym stryjaszka odwiedził celu, jeno w tym, ażeby pod jego skrzydłem, rozpocząć konkury o rękę znanej mu z podań o posagu panny Ludwiki Kostrzewickiej. Wybrał się biedak za późno. Los zadzwiał z niego. List podkomorzego z zaprosinami przyszedł w tej właśnie

chwili, w której stryjasek był w pogotowiu zupełnem do jechania z nim do Ohrebyszcz i kiedy on, wystrojony na pierwszą wizytę, pewnym był swego, pomimo, że on i panna nie widzieli się nigdy w życiu. Cios ten dotknął młodzieńca żywo. Zachodziły okoliczności *de force majeure*—podobne nieco do racyj stanu w dyplomacyi—nakazujące mu zenić się nie lada jak. Namyslił się, zdecydował i przygotował; wybierał się na zdobywanie twierdzy w przymierzu z pułkownikiem; liczył na powodzenie z pewnością i chwilka jedna w niwecz wszystko obracała. W żalu, jaki nim z powodu tego o władnął, postanowił już był nie jechać do Ohrebyszcz wcale i byłby nie pojechał, gdyby nie pułkownikowa. Stryjenka namówiła i racye dobre podała.

— Niech—mówiła—panna pozna, co traci, gdy ciebie z księciem Godfrydem porówna...

— Cóż to za książę Godfryd?...

— Zobaczysz... Całą i jedyną zaletę jego stanowi mitra... Jest to wielka ze strony podkomorzanki ofiara...

— Ofiara!...—mruknął młodzian przez zęby, i ulegając namowom stryjenki, towarzyszył pułkownikostwu w tym samym fraku, w tej samej kamizelce i krawatce, w tych samych rękawiczkach, które przeznaczył był na oręż zaczepny do zaatakowania serca panny grubo posażnej. Stryj, który lubił wojskowych porównań w rozmowie używać, powiadał że będzie to podjazdowa wycieczka. Młodzian uzbroił się do takowej, i niestety! zamiast na wycieczkę podjazdową jechał z wizytą pożegnalną w odniesieniu do nadziei własnych. Dla tego też wyglądał melancholicznie, a tem melancholiczniej, że był łysy, nie licząc jeszcze lat trzydziestu skończonych, bladawy, szczupły, z sińcami pod oczami, nosił okulary i wyrażał postacią całą świadectwo młodości

zmarnowanej, słowem, nadawał się na bohatera romansu zaprawnego bajronizmem.

Z wyjątkiem tego jednego, wszyscy zresztą goście byli to starzy i dobrzy podkomorstwa znajomi. Przybywali z powinszowaniami wielkimi i z życzeniami jak najserdeczniejszymi na ustach. Pułkownik tylko, lubiący prawdę rznać, wsunął podkomorzemu do ucha:

— Między nami mówiąc, książę nie mógł lepszego zrobić wyboru, ale... co się drugiej tyczy strony...

Dokończył ust skrzywieniem.

Podkomorzy poprzestał na ramion ściśnieniu.

W tejże samej chwili pułkownikowa mówiła do podkomorzyny półgłosem:

— Ludwisia mogłaby zrobić wybór, jakiby sama chciała...

— Poświęciła się...—odparła podkomorzyna.

— Rozumiem, o! rozumiem... Podnosi to jej wartość w oczach ludzi umiających cenić ofiary takie... Mówiłam to dziś właśnie synowcowi męża mego...

— Pani pułkownikowa rozumie...—przerwała podkomorzyna.

— Oh!...—westchnęła i oczy zawróciła.

Podano światło. Nastąpiło wejście książąt.

Książęta rozwinęli uprzejmość jak najserdeczniejszą. Witali się ze wszystkimi po kolei i każdego z osobna zaczęli pytaniem, które się niezmiennie od czasownika „spodziewam się“ zaczynało i w którym powtarzała się dosłownie wciąż jedna i ta sama o zdrowie troskliwość. Rzekłbyś, że nic ich tak nie obchodzi, jak zdrowie wszech w obec i każdego z osobna. Pułkownik zaprezentował im synowca.

— Spodziewam się, że zdrowie pańskie w pomyślnym znajduje się stanie?...—wnet zapytał jeden.

To samo powtórzył drugi.

Aspirant posagowy zagadał o Paryżu, o Rzymie.

— Spodziewam się — podchwycił książę ojciec — że Rzym e... o... że Rzym to miasto?...

— Spodziewam się, że zdrowie ojca świętego w pomyslnym znajduje się stanie?...—podchwycił syn.

Podkomorzy z pomocą pospieszył i zawiązał o ojcu świętym rozmowę, która się stała ogólną i w której prym dostał się synowcowi pułkownika. Młodzian opowiadał o recepcyi w Watykanie, co wielkie wzbudziło zajęcie. Panie zwłaszcza dopytywały się z ciekawością pobożną, zazdroszcząc w duchu szczęśliwcowi.

Młody podróżnik opowiadał dalej i panie go z zajęciem wielkiem słuchały, gdy w salonie ukazała się heroina chwili, panna Ludwika.

Weszła.

Ach! słów nie mam do oddania wejścia tego, które zarywało na teatralność, teatralnością jednak nie było, we właściwem tego wyrazu znaczeniu, dla braku widzów. Widzowie jedyni znajdowali się pod oknami, w ogrodzie. Czeladź, ciekawa jak też się odbędą zaręczyny panny, zebrała się, i przykładając czoła do szyb, przypatrywała się akcyi. Pomiędzy czeladzią ulokował się i nasz Kacperek. Chłopczyna wyteęzał oczy, pozerając wzrokiem tych panów i te panie, których nigdy tak zbliska nie oglądał. Panowie więc i panie byli aktorami sami i przez to neutralizowali teatralność wyjścia panny Ludwiki, która wystąpiła, jak—przypuszczać się godzi—występowały niewiasty wszystkie, niosące siebie w ofierze: Ifigienia, Wirginia, Joanna d'Arc etc. Wejrzenie miała błędne, wyraz twarzy tajemniczy; po czole jej tułał się pukielek włosów oderwany od splotów warkoczy, przedstawiając sobą niby wygnanie, niby osiero-

cenie. W warkoczach gałązki i kwiatki miały minę taką, jakby tam wypadkiem zabłądziły i dumaly nad smutkiem, który czoło dziewicze ocieniał. Szyję dziewiczą, unoszącą się nad obnażonym gorsem i nagiemi ramionami, otaczał dwukrotnie sznur pereł urykańskich. Suknia, jaką na siebie panna Ludwika włożyła, była koloru bladopopielatego, wpadającego w zielonkawy, którym powleka się otchłań bezdenna. Znaczyć to zapewne miało, że oblubienica księcia Godfryda uważa związek z nim ślubny za otchłań, w którą się rzuca.

Wejście panny Ludwiki wywarło na obecnych wrażenie niemałe. Wzroki wszystkich przechodziły kolejno z niej na księcia Godfryda i z księcia Godfryda na nią, i nie było jednej osoby, któraby nie powiedziała sobie w duchu

— Szkoda jej...

W rzeczy samej, szkoda było tego kwiatka dla tego worka w mitrze, siedzącego bezmyślnie, z uśmiechem idyotycznym na obliczu i z wyrazem „spodziewam się“ na ustach. Sama podkomorzyna nie mogła patrzeć prosto i śmiało; oczy jej migotały, jakby ze wstydu; tłumaczyła pułkownikowej pocichu, że małżeństwo to jest dziełem podkomorzego a ma znaczenie czysto konwenansowe.

— Rozumiem, pani kochana, rozumiem... — odparła pułkownikowa, wzdychając. Świat, towarzystwo mają swoje wymagania, którym zadośćuczynić należy... Ludwisia zostanie księżną...

— Nie to tylko...—podchwyciła podkomorzyna, jakby ukłuta.—Ale wyznać potrzeba, że partya ta... pod względem moralnym...

— Nic do życzenia nie pozostawia...—dokończyła pułkownikowa. O, tak!... pod względem moralnym... Młody książę jest bogobojny, dobry, temperamentu równego i spo-

kojnego... O! to wiele znaczy... Temperament wiele znaczy, powiadam pani dobrodziejce...

— Ach! to prawda...—westchnęła podkomorzyna.

— Synowiec męża mego ma także temperament równy... Ale, co tam...

— Co?...—zapytała podkomorzyna.

Pułkownikowa westchnęła i odpowiedziała, że panna Ludwika silnie sprawia wrażenie na wszystkich, a zatem i na synowcu jej męża.

— Niech-no pani patrzy... Wszyscy mają oczy na nią zwrócone...

Towarzystwo podzieliło się na pary szeptające. Podkomorzy, umieściwszy się pomiędzy księciem ojcem i księciem synem, przemawiał to do jednego, to do drugiego, odbierając od jednego w odpowiedzi kiwanie poważne głową, od drugiego uśmiechy uprzejme, popierane monosylabowymi wyrazami. Podkomorzyna szeptała z pułkownikową, notującą w pamięci wyraz jej każdy, w celu puszczenia takiego w kurs wśród przyjaciół, sąsiadów i znajomych. Podkomorzyna wiedziała o tem. Pułkownik rozmawiał półgłosem z prezesem, sędzia z chorążym, sędzina z chorążanką, pan Michał z prezesową, młody wędrowiec z chorążyną; panna Ludwika przysiadła się obok pani Michałowej i nie toczyła z nią rozmowy żadnej, a tylko spoglądała, to w zawieszone naprzeciw zwierciadło, odbijające postać jej w kandelabrow oświetleniu, to na drzwi, to na okna. W zwierciadle widziała siebie, we drzwiach nikogo, w oknie twarz Kacperka.

Och! roiło się jej jeszcze po głowie.

Spodziewała się jeszcze romantycznego zwrotu.

— A nuż...—powiadała sobie—podwoje się rozskoczą i wpada... on... Ja krzyknę (tu w zwierciadło okiem rzuci-

ła) i zemdleję... Mdląłam już dziś raz, ale to nic nie szkodzi... Oni (tyczyło się to gości) nie widzieli... Byle tylko Weronika szpilki przy sobie nie miała...

Zwracała wzrok ku oknu, czy tam jej się co nie ukaze. Napróżno jednak. W oknie ukazywał się jej Kacperek, we drzwiach zaś, które się rozwarły, ukazał się ksiądz proboszcz w komeżce i w stule.

Za ukazaniem się księdza wszyscy wstali.

Pannie Ludwice zimno się zrobiło. Zbladła. W oczach jej pociemniało. Blizka była zemdlenia prawdziwego. Bezprytomnie prawie dała się wiaść matce pod ramię i pozwoliła się zaprowadzić do stolika, obok którego stali: ojciec, książe jeden, książe drugi, ksiądz i goście, a na którym, na srebrnej tacy, spoczywały dwa pierścionki.

Podkomorzy zabrał głos; przemówił wyrazów kilka. do gości, biorąc ich na świadków, jako z dobrej i nieprzymuszonej woli oddaje córkę ukochaną księciu dostojnemu, i jako spodziewa się, że związek ten, gdy go kościół potwierdzi, Bóg pobłogosławi.

Po podkomorzym zabrał głos ksiądz proboszcz. Ten zapewniał, że Pan Bóg pobłogosławi związek, który połączyć ma ród taki znakomity jak książąt Gamajdów z rodem takim zasłużonym, jak szlachciców z dziada pradziada Kostrzewickich. Wyprowadzał z tego korzyść wielką, jaka na wszystkich spłynie.

Skończył. Pierścionki na palce kawalerowi i pannie powkładał. Nastąpiły powinszowania, życzenia i przepowiednie, które się nieskończyły aż się goście rozjechali.

XII.

Nie skończylibyśmy, a raczej wołowa nie starczyłaby nam skóra, gdybyśmy powtarzać chcieli wszystkie uwagi, postrzeżenia i sądy, jakie opisane w rozdziale poprzednim zaręczyny wywołały. Sąsiedztwo całe, bliższe i dalsze, wiedziało o wypadku tym w najdrobniejszych onego szczegółach. Podziwiano męstwo panny Ludwiki, rozwinięte przez nią przy zaręczynach i litowano się nad nią, jako nad ofiarą próżności rodzicielskiej.

— Biedna dziewczyna!... o!... biedna dziewczyna!...

Takim był głos powszechny.

Nie jedna może na miejscu podkomorzyny matka oprzećby się nie zdołała pokusie, gdyby miała księcia pod ręką do uzięcienia. Przykłady uzięć podobnych zdarzały się często, tak, że grzech podkomorstwa uważać można za wspólny w sferze szlacheckiej, i gdyby do spowiedzi przyszło, to mało która matka powiedziećby mogła, iż go nie popełniła w intencji. Tytuły rodowe w społeczeństwie, na rodowości niby na biegunie stojącym, magiczny wywierają urok. Czytajcie w tym względzie Jarosza Beję—autor ten filozoficznie i fizyologicznie różnicy krwi dowodzi. Takie były czasy; taki duch wiał. Ród wzbudzał religijne poszanowanie, i niejedna matka, na miejscu podkomorzyny, wypchnęłaby córkę na ofiarę za księcia, chociażby większego

jeszcze anizeli książe Godfryd niedołągę, ale ponieważ to zrobiła podkomorzyna, więc inne matki wszystkie... hajże na nią! A nie tyle nawet na nią, co na podkomorzego. Podkomorzyna, za pomocą półsłówek i półwyznań, wsuniętych w ucho tej i owej, umiała od siebie rdzenne odwrócić paci-ki. Dostawało się więc jej przez odbicie.

— Matka...—mówiono.—Matka winna...

— Cóż—odpowiadano—może matka przeciwko ojcu!...

Obwiniano obojga, więcej atoli podkomorzego anizeli podkomorzynę, o próżność.

Litowano się nad panną Ludwiką, jako nad ofiarą.

W domu podkomorstwa rozpoczęto przygotowania wyprawne.

Wyprawa!...

Czytając Homera, Śpiewy narodowe serbskie i naszego Pana Tadeusza i spotykając się w nich z opisami cudnymi uzbrojeń rycerskich, uczt bohaterskich, strojów i zastaw stołowych, przychodziło mi na myśl, czemu to żaden z poetów nie opisał wyprawy ślubnej, jaką u nas pannom młodym dawano. To przedmiot taki bogaty! Takby się dał urzeźbić mową wiązaną! Można by z tego zrobić coś nakształt owej piany morskiej, która była rodzicielką Afrodyty greckiej i owej konchy, co jej za rydwan służyła.

Wyprawa ślubna!

Wyobraźmy sobie jeno, jaką to rolę odgrywa ona w życiu kobiety, w życiu, w najpiękniejszym onego momencie wziętym!

Wyobraźmy sobie jeno, co to za cuda, we względzie drobiazgów różnych, składać się muszą na urobienie ram dla panny młodej!

Zagraża nam to, że córki nasze iść będą za mąż bez żadnej wyprawy. Zwyczaj ten przemija, jak innych wiele,

których racya tkwiła w fantazyi nieograniczonej. Dziś fantazyę ścieśniamy coraz to bardziej i bardziej i poczynamy już kobietę uważać inaczej, jak ojcowie nasi. Ale w epoce panny Ludwiki, kobieta, póki młoda, poczytywaną była za bawidełko, gdy zaś podstarzała, wolno jej było zostać matroną, poważną i szanowaną, jeżeli miała usposobienie potemu. Szanowano ją i poważano, gdy matroną została; dobreż to były czasy!... A jak poetycznel!...

Podkomorzyna zajęła się wyprawą córki, natychmiast po pożegnaniu ostatniego gościa, z tych co zaręczynom asystowali.

Poszedł spać podkomorzy; poszła spać podkomorzanka; we dworze cisza zapanowała; podkomorzyna rozebrała się, lecz, zamiast iść do łóżka, usiadła przy biurku, rozłożyła przed sobą przybory do pisania i na ćwiartce złocisto-brzeżnego papieru rzuciła nagłówek:

„Regiestrzyk“.

Pod nagłówkiem napisała:

„Koszul dziennych webowych . . . 60“.

„Koszul nocnych haftowanych, garnirowanych“

Napisała „60“, które poprawiła na „40“. Zamyśliła się i cyfrę „4“ przerobiła na „6“. Oparła się na łokciu i długo myślała, aż w końcu przekreśliła i tę ostatnią cyfrę, zostawiając tę kwestyę do decyzji późniejszej. I pisała dalej:

„Kaftaników nocnych haftowanych“.

„Kaftaników nocnych gładkich“.

Pisała, zamyślając się, kreśląc, poprawiając. „Regiestrzyk“ z jednej ćwiartki, w ciągu dalszym, przeszedł na drugą, z drugiej na trzecią, przybierając rozmiary rejestru olbrzymiego. Północ dawno minęła, ona wciąż pisała. Aż dzień świtać zaczął i podkomorzyna do łóżka poszła.

Nazajutrz, ledwo oczy otworzyła, natychmiast o „regiestrzyku“ pomyślała. Kazała go sobie do łóżka podać i rozczytywała się w nim. Kazała następnie zawołać do siebie pannę, która specjalnie od strojów była, i głośno jej czytała, od koszul zaczynając:

— Koszul dziennych, webowych, sześćdziesiąt... Czy dosyć?...

— Zdaje się, proszę jasnej pani...—była panny odpowiedź.

— Koszul nocnych haftowanych, garnirowanych... trzydzieści...

Zwróciła oczy na pannę i patrzyła, jakie też cyfra ta wrażenie na niej sprawi. Wreszcie zapytała:

— Czy dosyć?...

— Ja nie wiem, proszę jasnej pani...

— Możeby lepiej, sześćdziesiąt?...

— Tyle co dziennych?...

— Tyle?...

— Ta tak...—rzekła panna trochę zakłopotana.—Jak się jasnej pani podoba...

— Ale, jak ty myślisz?...

— Ja myślę, że się daytime tak samo bruczą jak i nocne, a nawet nocne więcej jak daytime...

— Więc sześćdziesiąt?...

— A jużci..

— To dobrze...

I czytała dalej, zatrzymując się często celem zasięgnięcia zdania kobiety, która z powołania swego znać się na rzeczy powinna. Chodziło często o jakość, częściej atoli o ilość. Panna poznawszy w pani skłonność do powiększania, wystrzegając się doradzać bądź gatunek podlejszy, bądź też liczbę mniejszą. Niekiedy też przypominała. We wzglę-

dzie pończoch, naprzykład, podkomorzyna zapisała: niciane, bawełniane i ażurowe, pierwszych i drugich po par tuzinów trzy, trzecich tuzinów dwa; panna zapytała:

— A jedwabne, proszę jasnej pani?...

— Ach!...--zawołała podkomorzyna—zapomniałam na wieki!...

Zanotowała i czytała:

— Pantofelki nocne...

— A podwiązki?...

— Ach! zapomniałam...

— Z klamerkami, jedwabne; kitajką podszyte... Bez klamerek, ze wstążeczkami do związywania...

— Ileż jednych?... ile drugich?...

— Przynajmniej po par sześć, każda odmienna, żeby było w czym wybierać wedle upodobania...

We względzie spódnic odbyła się narada długa, nim postanowienie zapadło, ile ma być do krochmalu a ile nie do krochmalu, ile gładkich a ile haftowanych, ile ze szlakiem w ząbki a ile ze szlakiem bez ząbków.

Konferencya ciągnęła się do obiadu. Pani w łóżku kawę piła, poprawiając rejestrzyk, który, obliczony na pieniądze, wyniósłby tyle, iż zapewnić mógł byt wygodny rodzinie z głów kilku złożonej. Wszystko tam bowiem było kosztownem, najmniejszy drobiazg szedł na wagę złota, a znajdowały się artykuły wysokocenne, jak dywany, szale, futra, srebra stołowe, klejnoty. Sam tak zwany „pawilon“—kotary do łóżka—tyftykowy z ozdobami szmuklerskimi wymagał wydatku paruset dukatów. A aksamity, a kitaje, a erdredony!...

Podkomorzyna nie prędzej wstała, aż do stołu nakrywać poczęto.

Przy obiedzie zeszła się z mężem i z córką. Ta osta-

tnia wyglądała, jakby kampanię odbyła. Pułkownik gdyby ją widział i o wszystkim co się za kulisami działo wiedział, niewątpliwie radziłby ją orderem ozdobić. Była trochę blada, trochę smutna, trochę nadąsana. Ojciec, gdy mu dzień dobry oddawała, w czoło ją pocałował—spojrzał na podkomorzynę i głową wstrząsnął. Wstrząśnięcie to głową musiało mieć znaczenie swoje, a przynajmniej znaczenie onego podkomorzynę uderzyło, w sposób jej zrozumiały, odrzekła bowiem:

— I cóż!... Wszystko dobrze poszło...

— Hm...—mruknął podkomorzy.

— Ludka odegrała rolę swoją znakomicie...

Wielką, niechcący zapewne, powiedziała podkomorzyna prawdę.

— Sprawiała efekt, znajdowała się bardzo dobrze, zachowywała takt... kontenta z niej jestem bardzo...

To mówiąc, uścisnęła córkę, pocałowała ją w czoło i w twarz i mówiła dalej:

— Nie jesteś już dzieckiem, moje życie... Poznajesz sama, że rodzice szczęścia twego pragną, a szczęście kobiecia znajduje jedynie w zamążpójściu odpowiedniem... Zazdroszczą tobie... Chorążyna pożółkła; chorążanka... uważałaś?... miała w oczach wyraz taki, jakby co zgubiła... Zostaniesz księżną...

Panna Ludwika uśmiechnęła się przy wyrazach ostatnich; uważała jednak za stosowne po uśmiechu westchnąć.

— Że książę Godfryd nie jest szykowny... za to tobie pod względem tym nic do zarzucenia nie ma; że nie jest dowcipnym... za to tobie na dowcipie nie brak; że pomawiają go o brak mądrości... za to ciebie o to pomawiać nie można; odebrałaś wychowanie świetne; że jest ubogim... za to, Bogu dzięki, posag twój donośnym będzie. W małżeństwie,

moje dziecko, mąż i żona stanowią jedno, dopełniają się wzajemnie... Co brak jednemu, to drugie nadstarcza... W tobie zaś, dzięki wychowaniu starannemu, taki jest zapas zalet, że, gdy się niemi z księciem podzielisz, starczy na was oboje...

Podkomorzy, przez cały czas przemowy tej, kiwał głową potakująco. Przy ostatnich połowicy znacznej słowach, uśmiechnął się. Uśmiech ten, przełożony na wyrazy, był dokończeniem myśli podkomorzyny, znaczył:

— To jest, weźmie go za nos i będzie wodziła jak jej się podoba...

Zdaje się, że i panna Ludwika wytłumaczyła sobie tak samo myśl matczyną, albowiem i ona uśmiechnęła się, wlepiając wzrok w zupę pomidorową, w której nic ani śmieszniejszego ani osobliwego nie było, żeby się z niej śmiać, lub wpatrywać w nią.

— Zapewne... — prawiała podkomorzyna, przenosząc łyżkę z talerza do ust—książe Godfryd nie nadaje się na bo hatera romansu, ale... na męża... ph!...

Na pewno, trudno powiedzieć, co wykrzyknik ostatni oznaczał, zakończył się bowiem dmuchaniem w łyżkę napełnioną zupą gorącą. Nie wiadomo więc, czy był on początkiem dmuchania, czyli też określeniem kwalifikacyj małżeńskich młodego narzeczonego.

Podkomorzyna, wpadłszy na przedmiot tak wdzięczny, jak filozofia małżeństwa, rozwijała go przy zupie pomidorowej, przy sztukamięsie w garniturze, przy brukiewce w masle duszonej i grzankami okładanej, przy zrazach à la Nelson, przy pieczystem z kurcząt drobną kaszką nadziewanym i przy legumince, która niestety! nie udała się kucharzowi. Leguminka z tropu ją zbiła. Horrendum!—zapadła się. Oburzyło to podkomorstwa tak dalece, że zawiązali

rozmowę o kucharzu, jako o zbrodniarzu, zasługującym na wygnanie.

— Lewicki!...—rzekł podkomorzy.—Powiedz ty jemu, że mu wybaczam raz pierwszy i ostatni... Niech mi się coś podobnego powtórzy, a wyleci, jak piłka...

Panna Ludwika ani w rozmowie o filozofii małżeńskiej, ani w rozmowie o kucharzu udziału nie brała. Słuchała i milczała, a milczała dla tego zapewne, że się nagadała przed obiadem. Miała ona przy sobie Weronikę—tę samą Weronikę, co ją szpilką ukłuła w momencie tak drażliwym—która podwójną przy niej pełniła funkcję, była zarazem i panną służącą i powiernicą, słała jej łóżko, utrzymywała w porządku jej suknie, bieliznę i pokój, ubierała ją i rozbierała, a przytem gadała, gadała bez końca i miary. Owóz z nią się podkomorzanka rozmówiła i mogła się przy obiedzie na milczenie skazać. Weronika rozpowiedziała jej jak w czasie zaręczyn wyglądała.

— Ślicznie, pannuńciu!... ślicznie!... Żeby panna wiedziała, jak się wszyscy patrzyli, to tak, że im mało oczy nie powyłaziły, jakby zjeść pannuńcię chcieli, a szczególnie ten młody pan w okularach... Okulary mu tak ino migotały do światła, a on patrzy, a on patrzy...

— A jakże tyś to wszystko widziała?...

— Jak?... ot jeszcze!... Przez okno...

— Ale, o!...—podchwyciła podkomorzanka.—Co to za chłopczyk pod oknem stał i do szyby się twarzą niby przekleił?...

— To gdzieś ten chłopczysko, co go wczora przyprawdzili... synek starego Mędzińskiego...

— Nigdy go przedtem nie widziała i ta twarz obca mieszała mnie, gdym na okna spoglądała...

— To on, z pewnością... ciekawe to i pcha się...

— A książę młody, narzeczony mój.. jakże on wyglądał?...

— Nu, jak!...—uśmiechnęła się Weronika. Niczego sobie...

— Wolisz jego?... czy wolałabyś, ażeby na jego miejscu był pan Gustaw?...

— E, to co tam o tem gadać!...—machnęła dziewczyna ręką.—Co pan Gustaw to pan Gustaw, a co książę to książę...

— Gdyby pan Gustaw księciem był...

— Ba!.. Gdyby się był przynajmniej choć do panny dowiedział... po tem... jak...

— Cicho Weroniko!...—podchwyciła panna Ludwika. Nie wspominaj mi o tem nigdy... On gdyby się był raz dowiedział, toby mnie już tu nie było...

— Jak to!... Boże ty mój mocny!... A cóżby było?...

— Co?... zobaczyłabyś...

— O, matko przenajświętsza!... To chyba pannuńcia wyrzekłaby się pani i pana!...

— A cóż!...—odparła podkomorzanka z westchnieniem, w którym heroizm romantyczny się odbił.

— I wyprawy?!...

— Alboż myślisz, że wyprawa będzie jaka...

— Nu, a jakże!...

— Koszul kilka i kilka par pończoch bawełnianych...

— Pannuńciu serce!... co też pannuńcia powiada!... jakżeby to tak być mogło!... Taby się pan i pani wstydzili, dawać pannuńcie za księcia jednego i wyprawiać... ot... tak, aby ino z rąk zbyć... Nie mówię jeszcze, żeby pannuńcia szła za pana Gustawa... ale za księcia... hej!...

Przytoczyliśmy tę próbkę rozmowy porannej pomiędzy młodą narzeczoną a jej powiernicą, dla tego, żeby wykazać

raz, że panna Ludwika nagadała się i mogła już przy obiedzie milczenie zachowywać, powtóre, że o wyprawie myślała nie sama tylko podkomorzyna. Podkomorzyna myślała porządnie—dowód, że obdarzoną była od natury duchem ładu, przy którym, gdyby otrzymała była wychowanie przyzwoite, gdyby wpojone miała zasady dobre, mogłaby zostać wzorową kobietą-obywatelką. Ład jest potężnym w obywatelstwie czynnikiem. Przy wychowaniu złem i przy zasadach krzywych nie wytwarza on czego innego, jeno coś nakształt rejestrzyka owego, który był owocem fałszywie pojętych obowiązków macierzyńsko-obywatelskich.

O wyprawie myślała nie sama tylko podkomorzyna.

Po obiedzie podkomorzy przemówił do niej w *a parte* poufnem:

— Trzebaby, moje życie, o wyprawie pomyśleć...

— Myślę...—odparła z uśmiechem.

— I pojechać... nie wiem tylko dokąd...

— Myślę i o tem...

— Do Odessy?...

Podkomorzyna skrzywiła się, jakby wzmianka o Odessie przykrość jej sprawiła.

— Więc do Berdyczowa, do Tulczyna, do Humania... bo do Krzemieńca nie ma już po co...

Wymienione powyżej miasta były to punkta, w których obywatelstwo zaopatrywało się w przedmioty zbytku. Z nich jedne wznagały się w znaczeniu, drugie podupadały. Human i Tulczyn trzymały się dzięki położeniu czyniącemu z nich punkta środkowe handlu w okolicy bogatej. Ratowały się jednak położeniem, i w drugiej ćwierci XIX stulecia, można jeszcze było znaleźć w nich i artykuły zbytkowe i rzemieślników zręcznych. Świetniał Berdyczów, jako stolica handlu wewnętrznego, jako ognisko

przemytnictwa żydowskiego. Świetniała Odessa, jako port wolny, główny punkt zbytu produktów rolnych.

Odessa przeto najodpowiedniejszą była do sporządzenia wyprawy wedle rejestryka.

Podkomorzyna jednak skrzywiła się na wzmiankę o niej, a gdy mąż inne wymienił miasta, odrzekła:

— Zdaje się, że Tulczyn nam wystarczy...

Na to znów skrzywił się podkomorzy.

— Trzebaby...—słowa jego—uczciwą dać Ludce wyprawę... Potrzebne to tak dla nas samych, jak i dla oka ludzkiego...

— Nie jestem przeciwko temu...—odparła pani—ale...

— Cóż ludzie powiedzą — podchwycił podkomorzy przerywając—jeżeli się dowiedzą, że wyprawa robi się w Tulczynie!...

— Powiedzą to samo, coby powiedzieli, gdyby się robiła w Odessie...

— A... nie...

— Nie nie, a tak... Cóż Odessa?... Wszystko co ma, ma z drugiej ręki, a z drugiej ręki dobrem być może rzeczy wiele, tylko nie to, o czem stanowi gust... Gdyby Ludwika była kupcówną, albo szlachcianeczką jakąś!... Olecka robiła sobie wyprawę w Odessie...

— Gdzież więc?...—zapytał podkomorzy tonem zakłopotania.

— W Tulczynie...—odpowiedziała podkomorzyna i po chwili przestanku dodała—w części... a w części w Paryżu...

Chciał podkomorzy coś na to powiedzieć, lecz go do głosu nie przypuściła.

— Takie moje zdanie, którego tobie narzucać nie myślę, zwłaszcza, że z góry jestem przekonana, iż znajdziesz

je... niewłaściwem... Czyż żona racyę by mieć mogła!... Ale tak: ma być wyprawa, jak powiadam, *uczciwą*, niechże uczciwą będzie... a nie... to po cóż się do Odessy fatygować!... Tulczyn pod bokiem...

— Podróż do Paryża zabierze czasu dużo...—wtrącił podkomorzy.

— Niepotrzebnie mi podróż do Paryża insynuujesz... Ani o niej myślę... Jest tam przecie Lolo i pan de Lurcy, do którychby się tylko napisało... To nawetby—dodała—taniej kosztowało, jak w partykularzu jakim...

— Czyż oni wybór stosowny zrobić potrafią!...

— O to nie ma co się troskać... Powiedzą tylko: *trousseau de nocé* i wybór zrobi się sam... Paryzcy kupcy, paryzkie modniarki i paryzcy jubilerzy znajdują się przecie na tem... Powiem prawdę, samabym sobie nie dowierzała, gdyby mi wybierać przyszło... Ale... co tam o tem gadać!... Poprzestańmy na Tulczynie...

— Nie...—odparł podkomorzy stanowczo.—Zrób regiestrzyk (podkomorzyna się uśmiechnęła)... co się sprawi w Paryżu, o to trzeba do Lolo napisać; czego się zaś w Paryżu nie sprawi, po to pojedziemy do...—zawahał się—do... Odessy...

— Jak ci się podoba...

Na tem rzecz stanęła i rozpoczęło się przygotowanie, które wyraziło się najprzód pod postacią pisania listu do Lolo. Pisanie listu trzy dni trwało. Podkomorzyna zredagowała memoryał i dodała do takowego, w formie aneksu, długi regiestr, podzielony na kategorye: kupiecką, krawiecką, modniarską, szwacką i jubilerską. W memoryale wymienione były, zdjęte wedle przepisów zaczerpniętych w dzienniku mój, wymiary postaci podkomorzyny i podkomorzanki. Regiestr obejmował połowę większą przedmio-

tów, zapisanych w rejestrzyku. W liście znajdowało się *post scriptum*, a w tem uwaga następująca:

„Możem czego zapomniała, Lolu mój najdroższy; zdaje mi się jednak, że jeżeli powiesz, że to *trousseau de nocce*, to tam ci powiedzą, co dodać należy. Liczę na ciebie i wyglądam cię na wesele Ludki z żywą niecierpliwością. Pamiętaj: Ludka szatynka jasna, ja zaś szatynka ciemna“.

Ostatnia ta uwaga tyczyła się doboru kolorów.

Podkomorzyna dała list ten pannie Ludwice do przeczytania z uwagą następującą:

— Może ci co na myśl przyjdzie...

Panna Ludwika czytała z bijącym sercem. Rejestr przechodził najzuchwalsze jej marzenia.

— Cóż więc?...—zapytała podkomorzyna.

— O mamol!...—była odpowiedź panny Ludwiki, która się już bawiła rojeniem o cackach, gałgankach i wstążeczkach, mających się na jej postaci w kombinacye różne układać.

Cóż za słodkie, co za rozkoszne były te rojenia!

— Weroniko!...—mówiła do powiernicy.—Wiesz ty?... Kapeluszy dwanaście z Paryża!... rękawiczki z Paryża!... ślubna suknia cała wprost z Paryża!... O!... gdyby on mnie widział!...

— Kto on?... pan Gustaw?...

— W ślubnej sukni!...

— Ta wiedział, że ona z Paryża... A jaż nie mówiła, że państwo nie dadzą pannuńci księciu jednemu... ot... tak sobie!...

— Wiesz...—odezwała się panna Ludwika tonem zwierzenia poufnego—mnie się zdawało, że mnie mama nie kocha...

— Ot, co jeszcze!... Jasna pani, żeby jak, tozawsze taki... matka...

— Ale pamiętasz, co to było?...

— Kiedy zeszła w altanie pana Gustawa jak pannuń-
cię ścisła?...

— Cicho... Raz ci mówiłam, żebyś mi o tem nie wspo-
minała...

— Pannuńciaż wspomina sama...

Panna Ludwika westchnęła i po chwilce milczenia za-
częła:

— Inne ubranie przed ślubem, inne do ślubu, inne po
ślubie, a inne kiedy już zostanę mężatką...

— Księżną...—podpowiedziała Weronika.

Panna Ludwika uśmiechnęła się rozkosznie.

W tygodni parę później, podkomorzy, podkomorzyna
i podkomorzanka znajdowali się w Odessie.

A w Odessie...—nastąpiło tam formalne magazynów
obrabowanie, na którym kupcy wyszli bardzo dobrze, pomi-
mo, że podkomorzyna potargować się lubiła i umiała, i po-
mimo, że handlowo-przemysłowy świat odeski, z którym
w styczność weszła, okazywał względem niej powolność
nadzwyczajną, co się cen tyczy. Kupcy zaklinali się, że od-
stępują jej towary za pół-darmo, czyniąc to jedynie dla niej.

— *Pour vous, madame...*—powiadali eleganci, rozkładają-
jący materye na politurowanych stołach.—O!... gotowi je-
steśmy ofiary wszelkie ponieść...

Rzecz dziwna i na zastanowienie zasługująca: w hote-
lu, po magazynach, słowem wszędzie w Odessie, tytułowa-
no podkomorzynę księżną.

Podkomorzynę samą tytułowano księżną.

Fakt ten, w rzeczy samej, na zastanowienie zasługuje.
Za granicą—a Odessa jest zagranicą na grunt nasz sprowa-

dzoną—wszystkie polskie sroki za hrabiny uchodzą. Nadaje się im tytuł ten na chybił trafił, jako nie obraźliwy dla księżn, a pochlebny dla nie-hrabin. Ale żeby księżną być tytułowaną, potrzeba do tego prawo posiadać i takowe objawić w sposób ten lub ów—mieć, naprzykład, kogo przy sobie, coby się odezwał:

— *Mais, ma princesse!*...

Objawienie podobne wystarcza, aż nadto. Tytuł idzie w kurs, i żeby się z nim rozstać, trzeba chyba z miasta uciekać. Podkomorzynie nie przytrafiło się nic podobnego. Zkądże się to wzięło? Ztąd chyba—z czego zresztą sekretu się nie robiło—że córka jej za księcia wychodzi? Zastanowiło ją to mocno i natchnęło pewnym rodzajem sympatii dla Odessy, w której spotkała ją dystynkcyja, która... przyjemność niejaka jej sprawiała.

Życie ludzkie tyle ma goryczy w sobie, że i najdrobniejsze przyjemności wartość swoją mają.

Nadmienić wypada, że podkomorzy opłacił przyjemność tę grubo, i to, raz w mieście samem, drugi raz na komorze celnej, na której słynnej pamięci Zosim Iwanowicz zrewidował karete i bryki i narachował cła rubli srebrem tysięcy parę, pomimo to, że część jakaś sprawunków poszła drogą kontrabandy i szczęśliwie się dostała do Sewerynowki.

Odessa, czy to z racyi tej przyjemności, jaką podkomorzynie sprawiła, czy też dla tego, że posiadała towary do gustu jej przypadające, dostarczyła przedmiotów mnóstwo ogromne. Na Odessie jednak nie skończyło się. I Tulczyn wziął udział w kontrybucyi weselnej. Tulczyńskie towary, tulczyńscy krawcy i tulczyńskie szwaczki i hafciarki, jedne w postaci sprawunków, drugie w osobach własnych, przenosiły się do Ohrebyszcz, gdzie panował ruch

pracy ustawiczny, odbywający się pod dyrekcją zwierzchnią podkomorzyny. Szyto, przymierzano, prasowano, poprawiano, oglądano. Co chwila coś przybywało, coś trzeba było odbierać, lub po coś posłać wypadała potrzeba. Ciekawość przytem, matka grzechu, jak powiadają, zaostrzana wieścią o obstalunkach paryzkich, która się po okolicy rozeszła, sprowadzała do ohrebyskiego dworu gości, płci pięknej zwłaszcza, ilość niepomierną. We dworze przeto, ciągiem jednym przez miesiące sześć, wrzało niby w kotle, podkomorzyna rozporządzała, dyrygowała; podkomorzanka... marzyła o ślubnej sukni wprost z Paryża.

XIII.

Bardzo często—częściej jak potrzeba—zdarzają się ludzie, co utrzymują, że... na wierzbie rosną gruszki. Perswaduj im, nie wierzą; pytaj o dowody, zasypią cię dowodami, sens których zawiera się w wyrazie: „wierz!“

„Miej serce i patrzaj w serce“....—jak wieszcz powiada.

„Wer reitet so spät durch Nacht und Wind?“—opowiada wieszcz inny.

Dowodów podobnych mnóstwo występuje na zawołanie, i jeżeliś się nie dał przekonać, że... na wierzbie rosną gruszki... to twoja wina.

Postawmy na miejsce gruszek ideały.

Wyrastają one nietylko na wierzbie. W obfitości ogromnej wydaje je pień ludzkości, na którym zawieszają się, zawsze jako gruszki, ale w postaciach rozmaitych. Ludzie wszystko wyidealizować potrafili. Służy do tego proceder bardzo prosty. Dość jest rzeczą pospolitą, proste dopełnienie zwyczajnego obowiązku, lub też nawet postawienie się teatralne w dokonywaniu funkcji pewnych życiowych, podszyc ofiarnością, masz... ideał — bohatera lub bohaterkę w nimbie poświęcenia.

Mnie się zdaje, że, gdyby nie szafowano tak hojnie ofiarnością i poświęceniem, to byłoby lepszym pełnieniem obo-

wiązków zwyczajnych. Rzecz prosta. Przez szafowanie to, nadweręza się równowaga w regularnym ogółu pochodzie. Ideały stawiają się za wysoko—w obłokach. Człowiek pospolity, skromny zwłaszcza, nie czuje się w siłach osiągnąć tam i zostaje w miejscu. A że w miejscu stać nie sposób, z powodu, że ruch jest człowieczą właściwością, więc nie śmiać iść naprzód, cofa się wstecz, zostawiając drogę takim tylko, co skromnością nie grzeszą.

Ileż przez to szarlatanów dostaje się na obłoczne ideału wyżyny!

Ileż to natur prostych a zacnych łamie się!

Wielką, zdaniem naszym, krzywdę ludzkości wyrządzają... gruszki na wierzbie, przepowiadane przez wrózków, definiowane przez filozofów i opiewane przez poetów.

Radziłbym rozpatrzyć się w nich.

Na obłoczną ideału wyżynę wzniosła się panna Ludwika; zenitem zaś na tej linii parabolicznej, którą przebiegała od kolebki do grobu, była chwila jej ślubu.

Tłum, co ją otaczał, powtarzał pomrunkiem wyraz jeden:

— Ofiara...

Szła do ołtarza krokiem chwiejnym. Nie szła—płynęła raczej, pławiła się w obłoku białym, który postać jej obwiewał od dołu do góry i leciał z nią razem.

Obłokiem tym białym była ślubna suknia, wprost z Paryża.

Białość jej miała w sobie przejrzystość jakąś, jakby tkanina przedzoną była nie przez ludzi a przez duchy, i nie ze lnu, ani z jedwabiu, ani też z pajęczyny nawet, ale z promieni, blichowanych następnie.

U czoła wianuszek zielony, pod wianuszkami warkoczów grubych sploty, pod warkoczami czoło pogodne

i twarzyczka wdzięczna, urokiem młodości owiana a wyrazem smutku obleczone, dalej szyja łabędzia, gors marmurowej białości, biust bogaty, kibić polotna, ramiona nagie a jakby wytoczone, z dołkami na łokciach i ukazująca się niekiedy nóżka zgrabna w pończoszce jedwabnej i w białym atlasowym trzewiczku, wszystko to razem wzięte stanowiło efekt zachwycający.

Taką była panna młoda.

A pan młody? Bryła we fraku granatowym, w kamizelce białej, przy bukietu ślubnym i w potach.

Książe Godfryd potniał, pomimo mrozu, jaki święty Marcin sprowadził.

Potniał biedak, idąc na spełnienie najpierwszego w małżeńskim swoim zawodzie aktu.

Pan młody politowanie wzbudzał—politowanie jakies nieokreślone.

On wzbudzał politowanie, ona zachwyty.

O nim mówiono:

— Biedny...

O niej:

— Ofiara...

Staęła przed ołtarzem i powiodła okiem tęsknem do koła, zatrzymując wzrok na kolumnach kościelnych. Czegoś tak, jakby szukała. Coś jej szeptało: „znajdziesz.“ Nie znalazła nic i przez czoło jej przesunęła się leciuchna chmurka gniewu.

W romansie każdym, w którym ślub odbywa się w warunkach, podobnych do tych, jakie zbieg okoliczności w powieści niniejszej sprowadził, za jedną z kolumn kościoła znajdować się powinien odpalony kochanek. Stanowi to regułę ogólną, przyjętą przez pisarzy przyzwoitych. Sprowadzają kochanka na czas i miejsce oznaczone, choćby o mil sto

i szczęście wielkie, jeżeli mu nie każą kończyć przez odebranie sobie życia za pomocą wystrzału z pistoletu. Tak skończył Werter, tak skończył Gustaw, tak kończyć powinni Gustawowie wszyscy szanujący sztukę romansową. Panna Ludwika spodziewała się czegoś podobnego ze strony Gustawa swego. Śnił się jej nawet w noc przedślubną—krew go broczyła. Krew—Weronika sen ten wytłumaczyła:

— Będzie nowina jakaś...

Panna Ludwika przeczuwała, że nowina owa wystąpi pod postacią strasznej, okropnej, przerażającej a prawidłowej awantury romansowej; tymczasem wystąpiła ona pod tą postacią, że podkomorzanka nasza przyszła przed ołtarz podkomorzanką Kostrzewicką i odeszła od ołtarza księżną Gamajdziną.

In gratiam wesolej tej nowiny huknęły przed kościołem móżdżerze.

Księżna drgnęła, szepnąwszy sama do siebie:

— Zapóźno...

Zdawało się jej, że Gustaw teraz dopiero w łeb sobie strzela. Zawahała się: zemdleć czy nie...—wystrzały atoli powtórzyły się i poznała, że są to oznaki radości, na które nie wypada mdleniem odpowiadać.

Ślub dawał ksiądz Celowicz. Z przemowy, jaką przy okazji tej do państwa młodych wystosował, ani pan młody, ani panna młoda, nawet nie zasłyszeli wyrazu ani jednego. Wyrazy lały się, jak kaskada, i jak kaskada w uszach im szumiały. Z obecnych także mało kto wiedział, co kapłan mówi, dzięki roztargnieniu, któremu podlegali wszyscy, a spowodowanemu przepychem, z jakim się ślub odbywał. Panie uwagę całą zwracały na stroje, wprost z Paryża, w jakich wystąpiły podkomorzyna i panna młoda. Panom chodzi-

ły po głowach konsyderacye różne, tyczące się okoliczności, jakie zaślubinom tym towarzyszyły. Młodzi ludzie powiadali sobie:

— Niezła to jednak rzecz, księciem się urodzić... Książę Godfryd, ni z mięsa, ni z pierza... nie potrzebował sobie atoli fatygi najmniejszej zadawać, ażeby dostać posazek niezły a w dodatku żonkę cacko...

Wszystkich bez wyjątku obchodziło w wysokim stopniu—zapytanie:

— Co za los ją czeka?

„Ją“ odnosiło się do panny młodej. Zajęcie, jakie ona budziła, było bardzo żywe. Wyobrażano ją sobie w tym pałacu starodawnym, samą jedną, opuszczoną, wydaną na pastwę nudom, odegrywającym, w odniesieniu do duszy, rolę tę samą, co głód w odniesieniu do ciała. Pomiędzy głodem a nudami ta zachodzi różnica, że pierwszy jest chorobą biedaków, drugie chorobą bogaczy, zachodzi atoli to podobieństwo, że i głód jest złym doradcą i nudy są złym doradcą.

— Cóż ona pocznie?...

Wielki poeta twierdził, że:

„Gdy na dziewczynę zawołają: żono!... już ją żywcem pogrzebiono“...

Wielki poeta nie twierdziłby tego, gdyby słyszał, co gadano do koła panny młodej naszej, gdyby słyszał zapytanie powyższe. Rzecz oczywista, kogo pogrzebiono, o tego nie ma co już troszczyć się, co on pocznie.

Troska ta umysły ogarnęła i trzymała je w natężeniu ciekawości, która towarzyszyła weselu, przenosinom i pierwszym momentom poweselnym, zanim oswojono się z tą myślą, że panna Kostrzewicka w rzeczy samej księżną Godfrydową została. A i potem nawet, zapytanie powyższe często

ludziom na myśl przychodziło. Kolportowano powiedzenie pana Karola:

— Siostra moja, księżna, znajduje się w położeniu Zuzanny pomiędzy trzema starcami...

Czytelnik wie, kto to, pan Karol.

Pan Karol przyjechał z Paryża z zapasem *bons mots* i zajął od razu w towarzystwie stanowisko poważne koryfeusza dobrego tonu. Wystąpił w charakterze modelu towarzyskiego.

— Moja matka... matka księżnej pani...—nieinaczej się o podkomorzynie odzywał.

Podkomorzyna też — księżna w Odessie — w okolicy swojej uzyskała tytuł „matki księżnej pani.“

Podkomorzy i podkomorzycy uzyskali także tytuł odpowiedni.

Przyszło to samo przez się, jak szlachcicowi owemu, który pojawiwszy za małżonkę wdowę po pułkowniku, pułkownikiem w obywatelstwie zamianowanym został.

Były to wszystko proste a naturalne następstwa wyjścia za mąż panny Ludwiki, a raczej, były to następstwa spełnionej przez nią ofiary—ofiary, która wzbudzała politowanie w jednych, admirację w drugich a zadowolenie w podkomorzym, podkomorzynie i podkomorzycu.

Podkomorzy, po weselu i po przenosinach, doznał pewnego rodzaju uspokojenia wewnętrznego.

— No...—powiedział sam do siebie—skończyło się...

Podkomorzyna uczuła się jakby na piedestału.

— Matka księżnej pani...—powtarzała sobie, i wyrazy te napełniały jej duszę lubością niewysłowioną.

Podkomorzycy okazywał obojętność, w rzeczy samej atoli obojętnym nie był na efekt, jaki sprawiało to, że jest księżnej bratem rodzonym. Za granicą zdobył sobie tytuł

hrabiego i oto zdobywał tytułu onego poparcie w kraju. Nie mogło mu to nie pochlebiać.

Tak więc ofiara sprowadziła rezultaty jak najlepsze: spokój i zadowolenie.

Czy na długó?

Zapytanie to przedstawia się obosiecznie, zwracając się stroną jedną do pałacu krasinowieckiego, drugą do dworu ohrebyskiego.

Obchodzi nas przecie i księżna młoda. Cóż ona? Cóż? jakże?...

Wyznać musimy, pomimo, że nie każdy nam uwierzy, że i ona zadowolenia w pierwszej chwili doznała.

W pałacu, na przyjęcie jej, zmieniło się nieco. Odnowiono go trochę wewnątrz i przewietrzono. Wpływ usunięcia długów połowy, miejsce których zajął posag księżnej, czuć się dał, tak we względzie budowlanym, jako też we względzie spiżarnianym, kuchennym i służbowym. Nastąpiły poprawki i modyfikacye niejakié. Apartamenta księżnej pani wyglądały dość świeżo i wcale ponętnie, tak, że młoda kobieta, gdy, po uciszeniu się weselnego zgiełku, znalazła się w pokoju swoim sypialnym, sam na sam z wieroną swoją Weroniką, nie mogła się powściągnąć od wydania westchnienia tego, co to ulgę oznacza.

— Ach!... mój Boże!...—i zapytała:—Widziałaś?...

— Wszystko, pannuńciu...

— Ja już nie pannuńcia dla ciebie...

— Ach! prawda... Dalibóg, tak zapomniałam...

— Ja księżna!... księżna pani!...

Był to krzyk próżności zadowolnionej, równającej się prawie sumieniowi zaspokojonemu.

Księżna nie o tem wprawdzie roiała, nie ten cel ukazywały jej dziewicze marzenia, ale w chwili obecnej ein

uczwała braku najmniejszego. Była panią—panią na wielką skalę—brylantem w odniesieniu towarzyskiem, oprawnym w wyprawę, sprawiającą jej pewien rodzaj zawrotu głowy, gdy pomyślała, jakie to mnóstwo cacek własność jej stanowi. To jej, jak na teraz, wystarczało. Kiedy ją rozbrały Weronika i dwie inne jeszcze panny służące, nie myślała o czem innem, jeno o ubraniu jutrzejszem. Z myślą tą do łóżka poszła. Panny odeszły. Pozostała samą w komnacie obszernej. Lampka nocna niepewny rzucała blask. Nastąpiła cisza głucha—pierwsza cisza po dniach wrzawy, po miesiącach ruchu gwałtownego i wzruszeń ustawicznych.

Księżna myślała o ubraniu jutrzejszem.

Powoli jednak myśl jej odrywać się od przedmiotu tego poczęła. Cisza ją zafrapowała. Wsłuchiwała się w ciszę i bawiło ją to zrazu. Doznawała wrażenia dziwnego, nieopisanego, które stopniowo, wychodząc z punktu zabawy, przeobrażało się i przybierało nastrój coraz to poważniejszy niby. A nastrój ten sprowadzał coś nakształt przerażenia, które rosło, rosło i malowało na kotarze obrazy jakies, występujące jak cienie chińskie i przybierające kształty i rozmiary niezwyčajne. Naciągnęła koldrę aksamitną na ramiona i zamknęła oczy. Napróżno jednak. Obrazy kreśliły się na powiekach. Cisza zaś...

— Ach, ta cisza!...—mówiła sobie w duchu.

Gdyby się świerszcz odezwał, o! z jakążby radością piosnkę jego monotonną powitała.

Cisza stała się ciężarem, który ją gniótl. Nie śmiała oczu otwierać, nie śmiała oddychać.

Skończyło się na tem, że żałować poczęła i za Ohrebyszczami i za czasem tym, kiedy księżną nie była.

Wówczas, po raz pierwszy od momentu, w którym się

rozpoczęły uroczystości weselne, pomyślała o księciu, małżonku swoim. Myśl ta rozrywkę jej sprawiła. Wyobraźnia jej wzięła młodego księcia za przedmiot rozpatrywań i spostrzeżeń. Przypominała sobie szczegóły różne, sięgnęła pamięcią w przeszłość i doznała w końcu czegoś, nakształt uczucia upokorzenia.

— Mój Boże!...—westchnęła.

Wolałaby myśleć o czem innym. Napróżno.

Nagle wydało się jej, jakby się coś ruszyło—gdzie?—gdzieś daleko w pałacu. Zdrętwiała. Oblał ją pot zimny. Zapomniała o księciu a wyobraziło się jej coś, z czego sobie sprawy zdać nie umiała. Ruch powtórzył się. Słyszeć się dał niby chód ludzki, który jednak wnet ustał, a natomiast o słuch jej obilo się niby sapnięcie, niby westchnienie. Przejął ją przestach wielki—przestach, który jej odwagi dodał. Usiadła na łóżku, kotarę odchyliła i krzyknęła:

— Weronika!...

Na okrzyk ten odpowiedziało echo. Zdawało się jej nawet, że szelest jakiś echu towarzyszy. Potem nastąpiła znów cisza głucha. Księżna powiodła okiem po komnacie oblanej półcieniem. Wydało się jej, że na krześle każdym ktoś siedzi, że wzdłuż ścian stoją jakieś postacie olbrzymie. Dzwonić poczęła w przerażeniu najwyższem.

Na odgłos dzwonienia wbiegła z panien służących jedna.

Widzenia znikły.

— Co jaśnie oświecona księżna pani rozkaże?...

— Gdzie Weronika?...

— Śpi...

— Niech do mnie przyjdzie... Zbudź ją...

Panna służąca ku drzwiom się zwróciła.

— Zostań!...—zawołała księżna.—Boję się...

Panna została. Księżna się położyła i po niejakiemś czasie usnęła.

Na drugą noc strachy się powtórzyły; noc trzecia upłynęła także w niepokoju ustawicznym.

Strachy jednak i niepokoje rozwiewał dzień. Księżna budziła się późno i czas cały do śniadania trawiła na ubieraniu się, które jej sprawiało rozrywkę ogromną. Co to— ubrać się, mając strojów tyle do wyboru. *Embarras du choix* występował w potęgę całej. Rozmyślała, przymierzała, zmieniała, próbowała, układała kombinacye rozmaite na sobie i to na dzień razy trzy: do śniadania strojny negliż, do obiadu toaleta, na wieczór toaleta, a oprócz tego trzeba jeszcze było włożyć coś na siebie odmiennego, aniżeli na śniadanie, obiad i wieczór, do wysłuchania mszy w kaplicy. Przebierała się więc ściśle licząc razy cztery, co ją absorboowało zupełnie. Śniadania upływały w towarzystwie domowników, książę Norbert, książę Godfryd, ojciec Korski i ona. Książęta okazywali jej grzeczność wyszukaną, pełną elegancyi i nadskakiwań, co ją bawiło wielce z tego względu, że elegancya i nadskakiwania ich miały w sobie tyle komizmu, że ona, dla tego żeby im w oczy śmiechem nie parsknąć za każdym z ich strony dowodem grzeczności, musiała przyzywać na pomoc całą ducha potęgę. Była to w rodzaju swoim rozrywka nowa, umysł jej zajmująca. Przy obiedzie zdarzał się dzień w dzień prawie ktoś, do grona domowników nie należący i ona odegrywać musiała rolę gospodyni domu—nowa rozrywka, która i na wieczór przechodziła.

W dniu przeto każdym, ani nad sobą, ani nad położeniem swoim zastanowić się czasu nie miała.

Nocami opanowywał ją strach, z którego sobie zdać sprawy nie umiała, a gdy o nim pannom służącym wspomniała, te uśmiechały się, wargi zagryzając i miny strojąc.

Zmiarkowała więc, że strach ów bez racji był. Przestała się przeto bać i noce poczęła spokojniej spędzać. I układało się wszystko dobrze, tylko, ponieważ róży nie masz bez cierni i ponieważ nie sposób, ażeby niebo było wечно bez chmur, pokazały się i ciernie i chmury pod postacią ojca Korskiego.

Jak wiemy, książęta odbywali spowiedź regularnie, w tygodniu każdym. Od zwyczaju tego nie odstąpiliby za żadne świata skarby, z czego wypadało, że młoda księżna musiała się do onego zastosować. Wyspowiadała się raz pierwszy. Ojciec jezuita trzymał ją długo przy konfessyonalu, a gdy od takowego odeszła, miała na twarzy rumieńce, jakby powypiekane, w oczach zaś blask dziwny, jakby w źrenicach odbijała się jej zgryzota sumienia.

Coby to znaczyć miało?—nie wiemy.

Spowiedź pierwsza wielki na humor jej wywarła wpływ, i czy to w jej skutek, czy też pod naciskiem przyczyn jakich, w badanie których wdawać się nie będziemy, w obecności ludzi wpadać poczęła w zamyślenie osobliwe, w którem zatrzymywała wzrok na dostojnym małżonku swoim, i popatrzwszy na niego czas niejaki, odwracała oczy z obrzydzeniem. Nazajutrz to ustało. Po upływie dni kilku spokój sumienia jej wracał. Bawiła się strojami, bawiła gości, aż znów nadeszła spowiedź i powtórzyły się: rumieńce wypiekane, chorobliwy blask oka i okazy obrzydzenia do małżonka.

Ponawiało się to za spowiedzią każdą, razy cztery.

Za nadejściem terminu piątego, ojciec Korski, wyspowiadawszy księcia Norberta i księcia Godfryda, nadaremnie czekał w konfessyonalu na penitentkę, która zazwyczaj najpierwsza do kaplicy przychodziła. Książęta odmówili zadane im pokutne modlitwy i oglądali się. Nie było jej.

Ksiądz czekał. Książę Norbert skinął na marszałka dworu i pocichu mu w ucho następujące włożył wyrazy:

— Zamelduj asan księżnej pani, że wielbny ojciec jezuity czeka ze spowiedzią...

Marszałek dworu wyszedł na palcach, po chwili powrócił, i zbliżywszy się do księcia, taką mu do ucha wyszeptał wiadomość:

— Księżnej pani w domu nie ma...

Książę Norbert zachnął się.

— Poszła do kościoła... Powiedzieć kazała, że się spowiadać będzie księdzu Celowiczowi...

Książę zachnął się powtórnie, westchnął i w książkę od nabożeństwa się zagłębił.

W chwili tej, ojciec Korski konfessyonał opuścił; wkrótce potem mszę odprawiał ze spokojem i powagą jak zwykle. Książęta się pokomunikowali. Księżna się nie pokazała.

W dniu tym młoda kobieta nie miała ani rumieńców wypiekanych, ani w oczach błasku dziwnego. Przy śniadaniu w dobrym była humorze i tydzień cały upłynął jej wesoło. W ciągu tygodnia tego jeździła do Ohrebyszcz, gdzie zastała osób kilka, a pomiędzy innemi pana Michała Oleckiego z Frasobłówki, opromienionego ukontentowaniem wielkiem. Urodził mu się syn. Chwalił się tem przed wszystkimi, ujrzawszy zaś księżnę, zawołał:

— Jakżem uszczęśliwiony!... Mogę zapytać księżnej pani, czy pozwoli prosić siebie na matkę chrzestną?... Jestem w drodze do Krasifowiec i jeżeli księżna pani pozwoli siebie prosić, pojedę, w razie przeciwnym zwrócę prośby moje gdzieindziej...

— Prosić siebie pozwalam i zaprosiny przyjmuję...—

była księżny odpowiedź—i miło mi będzie pana w Krasilowcach powitać...

— Powiadają, że azeby się dziecko zdrowo chowało, potrzeba azeby je do chrztu trzymało rodzeństwo, brat i siostra...

— Więc ja z Karolem?...

— W pierwszej parze, księżno pani... Obok dobrej dla syna mego wróżby, wielki to dla mnie zaszczyt...

— O! jak najchętniej... A jak mu na imię będzie?...

— Ludwik... na pamiątkę waszej książęcej mości...

— Kiedyż odbędą się chrzciny?...

Pan Michał oznaczył termin, wypadający za dwa bez czegoś tygodnie.

Księżna wróciła do Krasilowiec i wkrótce po jej powrocie nastął dzień spowiedzi w kaplicy. Powtórzyło się to samo co poprzednio. Ojciec Korski daremnie czekał, marszałek dworu chodził i powrócił z niczem, msza się odbyła, książęta się komunikowali.

Po śniadaniu, książę Godfryd zbliżył się do żony, wyciągnął do niej rękę i zarumienił się mocno. Widocznem było, że chce coś przemówić.

— Książę?...—zapytała młoda pani.

— Ehm... pragnąłbym... Spodziewam się, że księżna... że księżna raczy... słówko... ehm... słówko...

Podał ramie. Przeszli we dwójkę do jednego z salonów, usiedli, księżna na kanapie, książę na fotelu, ale tuż obok i ten ostatni zaczął:

— Spodziewam się... wasza książęca mość... uhm...

Pot mu począł na czoło występować.

— Spodziewam się, że wasza książęca mość temu nie zaprzeczy... temu nie zaprzeczy... że... ehm... mam zaszczyt być jej małżonkiem...

Księżna zdumienia i zapytania pełnem okiem na małżonka spojrzała.

— Spodziewam się, że wasza książećca mość temu nie zaprzeczy...—powtórzył tenże.

— Ale...—odparła—ależ ja temu przeczyć ani myślę...

— Spodziewam się, że wasza książećca mość temu nie zaprzeczy...

— Ależ!...—podchwyciła.

— ... że—ciągnął książe dalej—jako małżonkowi przysługują mi prawa małżeńskie...

Książe się przysunął i chrząknął. Księżna się odsunęła—płomień jej do twarzy uderzył.

— Przysługują mi prawa małżeńskie...

— Nie wiem... nie rozumiem...—bąkała kobieta nieco zmieszana.

— Wasza książećca mość zaprzysięgła posłuszeństwo...

Znów się młody książe przysunął; znów się młoda księżna odsunęła.

— Spodziewam się, że wasza książećca mość temu nie zaprzeczy...

Obtarł chustką czoło i kończył okres:

— że mam zaszczyt być jej małżonkiem i jako małżonkowi przysługują mi prawa małżeńskie... Uhm... Spodziewam się przeto... że wasza książećca mość pozwoli mi (tu znów czoło obtarł)... uhm... pozwoli mi praw moich użyć (obtarł czoło i ręce wyciągnął)... Spodziewam się, że wasza książećca mość pozwoli mi praw moich małżeńskich użyć... i... i... po-o-po (zadyszał się, odetchnął)... powiedzieć sobie, że do spowiedzi nie chodzi...

Odetchnęła i księżna, jakby jej kamień z serca spadł.

— Spodziewam się—powtórzył książe po chwilce wy-poczynku—że wasza książećca mość pozwoli mi praw moich

mażeńskich użyć i powiedzieć sobie, że do spowiedzi nie chodzi...

— Jak to nie chodzę!...—zawołała tonem protestu energicznego. — Jak książę możesz mi zarzut podobny czynić!...

Księżciu oczy się szeroko otworzyły. Na fizyognomię jego wyskoczył wyraz, świadczący, że—jak to powiadają—zgubił swoją łacinę. Zapomniał języka w gębie. Młoda kobieta odgadła to wnet instynktem kobiecym. Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głowy i czekała, co dalej powie. Książę czuł, że się z czemes odezwać musi. Począł więc bąkać:

— Bo to dobrze... księżno... tak... ehm... Bo ksiądz Korski... ojciec jezuita... święty człowiek... Ojciec jezuita spowiada w kaplicy...

— Ja się spowiadam w kościele parafialnym...

— Eh... jeżeli tak...

— Pan Bóg ten sam w kaplicy i w kościele...

— Jeżeli tak...

— Ja się nie będę przed księdzem Korskim spowiadała...

Ostatnie te wyrazy, z naciskiem oznaczającym wolę niezłomną wymówione, zamykały dyskusję. Inny może, na miejscu młodego księcia, postąpiłby, a przynajmniej próbowałby postawić wolę naprzeciw woli. Książę, który jak się zdaje nie z własnego działał natchnienia, nie był w stanie zdobyć się na coś podobnego. Chciał jednak coś powiedzieć. Słów znaleźć nie mógł. Znalazł atoli łzy i te mu dwoma strumieniami z ocz po policzkach popłynęły.

— Książę!...—zawołała kobieta zdziwiona i zirytowana.

— Ei... he...—chustkę do ocz podniósł.

— Nie płacz... fi...—wstała.

— Nie odchódź, wasza książęca mość...

Księżna zmierzyła wzrokiem małżonka na fotelu siedzącego i płaczącego, i uczuła dla niego politowanie ze wstrętem połączone. Pomyślała:

— Człowiek ten posiada do mnie prawa małżeńskie... Człowiekowi temu zaprzysięgłam przed ołtarzem posłuszeństwo... ślubowałam mu miłość...

W głębi duszy słyszała, jakby chychot jakiś szerski.

— Ofiara!... on czy ja?...

Wyszła — wybiegła raczej.

Przy obiedzie zwracała uwagę na księdza Korskiego i nie dostrzegła nic, coby zdradzało, że młody książę za jego poduszczeniem upominał się o prawa swoje małżeńskie...

XIV.

„Mądrej głowie dość dwie słowie“—powiada przysłowie. Z rozdziału poprzedniego poznał czytelnik punkt wychodni losów, jakie podkomorzyna córce zgotowała. Łątwo domyśleć się następstw. Historia, czy to w zakresie państwowym, czy w rodzinnym, rozwija się logicznie, wedle jednych i tychże samych reguł. Z przyczyn wyradzają się skutki. Inaczej nie jest i być nie może. Nie mięsza się tu nic postronnego, jeno te pierwiastki, które się na rozwój składają.

Przenieśmy się do Ohrebyszcz i rozpatrzmy się nieco w punkcie wychodnim rozwoju dziejowego, jaki się tam wytworzył w skutek tak wydania podkomorzanki za księcia, jak też przyczyn innych.

Znajdujemy tam pierwiastki, rozłożone na trzy osoby: ojciec, matka i syn. Jak widzieliśmy wyżej, zapanowało wśród nich zadowolenie. Ojciec zaspokojenie znalazł pod względem wygody; matka i syn pod względem próżności.

Zadowolenie w życiu ludzkim, jest to rzecz wielka. Dojść do niego—sztuka, która, zdaniem mędrców, nie każdemu się udaje, tak dalece, że, obliczywszy się dobrze, bodaj czy się nie pokaże, iż w dziejach ludzkości jeden jedyny znajduje się człowiek rzeczywiście zadowolniony: Dyogenes w becze swojej—n. b., jeżeli to prawda, że facetus ten

istniał kiedy na świecie. Przypuśćmy jednak, że istniał, że w beczce mieszkał, kapustą surową się żywił i wodę zdrojową pijał, i, co najwięcej, zadowalał się tem rzeczywistością. W razie takim, wyznać należy, że był to rzeczywiście wielki człowiek.

Podobnymi nieco do niego byliby znajomi nasi, podkomorzy, podkomorzyna i podkomorzyc, gdyby zadowolenie ich potrwało dłużej, jak trwa żywot motyla.

Zadowolenie ich nie było rzeczywistem—czemu?—odpowiedź łatwa: nie usuwało pragnień nowych—przeciwnie, stało się podniętą, która popychała ich naprzód, regulując popychanie wedle większej lub mniejszej żywości temperamentu.

Podkomorzyna wystąpiła najpierwsza. Kiedy bowiem, w dni parę po weselu, podkomorzy, w przystępie dobrego humoru, powiedział jej:

— No, Bogu dzięki... pozbyliśmy się nareszcie!...

— Czego?...—zapytała.

— Kłopotu...

— Aha!...—odparła.—A Karol?...

— Karol mężczyzna, da sobie sam rady... o niego mnie głowa nie boli, byle tylko nie zachciało się mu do Paryża wracać, bo...

— Bo co?...

— Ohrebyszcze nie wytrzymają...

— O!... o to się nie lękam... Karol okazuje tyle rozsądku i zastanowienia, że, pod tym względem, można się spuścić na niego...

Wieszże, co on wydał?...—przerwał podkomorzy.

— Przecie?...

— Coś około piętnastu tysięcy rubli...

— Młody chłopiec, wyrwał się w świat poraz pier-

wszy; pobyt dwuletni prawie... było ich przytem dwóch, to i dziwić się nie można, że zdarzył się wydatek jaki mniej potrzebny... Temu nie przeczę... Z drugiej jednak strony, wyznaj sam, czy może być *un jeune homme plus parfait, plus accompli?*... Co za elegancya!.. Co za tiurniura!.. Odbije on wydatki te...

— A toż jak, ciekawym?...—zapytał podkomorzy.

— Zrobi partyę...—odpowiedziała podkomorzyna tonem, wątpliwości najmniejszej nie przypuszczającym. Wartość jego osobista, w połączeniu z tem, że jest szwagrem księcia, uczynią go pożądanym w oczach niejednej panny milionowej...

— Chyba że tak... hm... Bo inaczej—rzekł podkomorzy na to—byłoby, prawdę powiedziawszy, nieco krucho... Posag Ludki...

— Księżnej Gamajdziny...—poprawiła podkomorzyna.

— Posag księżnej—ciągnął podkomorzy—sprawił nam w kapitałach uszczerbek znaczny, bardzo znaczny... więc...

— Postarać się potrzeba, żeby się Lolo ożenił jak najlepiej... Ty ojciec...

— Ach!...—przerwał podkomorzy z niecierpliwością—pozwólże, niech się po księciu wydecham... Zresztą, ja, ojciec wystarałem się o męża dla córki; wystarajże się ty, matka, o żonę dla syna...

Wyrazy ostatnie, powiedziane pół-seryo a na poły żartem, nie wywołały ze strony podkomorzyny—jakby się tego spodziewać należało—żadnej odpowiedzi cierpkiej. Przyjęła je po dobremu, chociaż nie na seryo, dla tego zapewne, że kwestyi ożenienia syna nie uważała za naglącą. Karol zaczynał rok dwudziesty trzeci i był, w mniemaniu matki, *jeune homme parfait et accompli*. Zdaniem jej, przymioty jakie go zalecały, znajdowały się w stanie rozwoju, tak, że

Stary Mędziński leżał na środku izby, na tapczanie kilimkiem okrytym, nieruchomy, wyciągnięty, ubrany był w kapotę nową, nogi bose, ręce na krzyż złożone, w głowach migająca płomykiem świeca z wosku żółtego.

Nieopisane jakieś przerażenie obezwładniło chłopca. Nie domyślił się niczego; nie wiedział, że stoi w obec trupa ojcowskiego; to co go zafrapowało i przerażyło, było to położenie niezwykle, w jakim ojca ujrzał. Tapczan na środku? ojciec na tapczanie? Nie zapytywał sam siebie: co to znaczy? Czekał, aż go ojciec, który miał czoło zmarszczone i oczy wpółotwarte, zapytaniem zaczepi—zapytaniem, którego w następującej spodziewał się formie:

— Ty tu po co?...

Nie wiedział, co z sobą począć: czy wejść do izby, czy wracać. Oczy szeroko otworzył, czując się niby winowajca na gorącym schwytany uczynku. Mimowolnie układał sobie naprędce w myśli odpowiedź, mającą być tłumaczeniem na zapytanie powyższe:

— Pan Lewicki iść mi kazali...

Chciał już odpowiedzią tą zapytanie uprzedzić, kiedy usłyszał za sobą otworenie drzwi od przeciwległej izby. Obejrzał się... Matka.

Stara Mędzińska miała twarz czerwoną i oczy nabrzmiałe. Ujrzawszy syna, łzami się zalała, ręce wyciągnęła, w objęcia go pochwyliła i do siebie przygarnęła, rzucając urywane wyrazy:

— Dziecko ty moje!... hołubczyku!... sieroto!... oczko ty moje!... sokoliku!... sieroto!...

Łzami go gorącemi oblewała.

Zapłakał i Kacperek, ale nie wiedział czego. Wyraz „sieroto“ nie tłumaczył mu nic, ani przypuszczał bowiem,

aby ten w świetlicy na tapczanie leżący być miał ojcem jego umarłym.

Matka poszła z nim do przeciwległej izby, gdzie było za stołem kobiet kilka, usiadła na ławie, tuliła go i płakała.

— Taż hodi, pani Mędzińska, hodi!...— odezwała się z kobiet jedna. Oczy wypłaczecie a umarłego nie wskrzesicie...

— Umarłego!...— szarpnął się chłopak i wydarł z objęć matczynych.—Kto umarł?...

— Niewidziałeś?...

— Tato!...—krzyknął.

I zwrócił się—we drzwi!—pędem przez sieni przebiegł, do świetlicy wpadł i do bosych nóg nieboszczyka ustami przyłgnął, obejmując rękami kolana.

— Tatu!... tatu!... to ja!... Tatu, słówko przemówcie, słówko tylko!... Tatu!... co wam!...

Nie miał wyobrażenia o istocie trupa. Niepodobieństwem się mu wydawało, ażeby ojciec nie odezwał się na wołanie jego, ażeby zamilkł na wieki.

— Tatu!...—krzyczał rozpaczy głosem, skomlił niby szczenie, odrywał się od nóg, spoglądał na chuścianej białości nieboszczyka oblicze i bał się rąk jego dotykać, ażeby ojca nie rozgniewać.

Weszła matka z kobietami. Mędzińska chciała syna od trupa oderwać.

— Dajcie jemu pokój...—odezwała się z kobiet jedna. Zosta wcie go, niech spłacze, to mu łżej na sercu się zrobi...

Chłopczyzna rady sobie dać nie mógł. Tulił się do nóg ojcowskich, zachodził się od płaczu rzewnego, aż się zmógł i na klęczki obok katafalka usunął.

Obok niego ukleknęła matka

— W imie Ojca i Syna...

Kacperek przeżegnał się machinalnie i odmówił głośno za matką „Anioł pański“.

— A światłość wiekuista ojcu memu, Onufremu Mędzińskiemu niechaj świeci, niechaj odpoczywa na wieki wieków, amen...

— Kacperku!...—odezwała się matka głosem, któremu nadać usiłowała ton spokoju poważnego—Bóg ci ojca dał, Bóg ci go zabrał... święta wola Jego... Nie mogę nic przeciwko dekretom Pańskim... Osierocieliśmy obydwaje... Och!...

Mówić dalej w stanie nie była. Ścisnęło się jej w pierś z głębokiego wzruszenia. Zaszła się. Kobiety pomogły jej wstać. Chłopiec się uspokoił, odstąpił kroków kilka, stanął, wlepił w oblicze ojca oczy, ręką się za rękę ujął i od chwili do chwili zalewał się łzami, które mu bezwiednie płynęły.

Wkrótce potem ruch na podwórku oznajmił zbliżanie się chwili pogrzebu. Dzwony się odezwały. Naród schodzić się począł. Przybył ksiądz, stanął przed ciałem z kropidłem w rękę—modlitwy odmówił, pokropił. Przyszli ludzie z trumną. Mędzińską trzeba było wyprowadzić—bez tego wyniesienie ciała stałoby się niemożliwem. Włożyli ciało do trumny, wiekiem przykryli, wieko ćwiekami przybili, trumnę na wozie położyli i kondukt pogrzebowy przez księdza poprzedzany ruszył, przy ponurem biciu w dzwony, krokiem powolnym z podwórka na smętarz. Za trumną postępowała kobieta we łzach; obok niej szedł Kacperek i nie płakał już.

Czy Kacperkowi łez zabrakło?—Nie. Płakałby gdyby zwłoki ojca widział. Zabrakło mu widoku tego i zabrakło bezpośredniej żalu przyczyny. Pomiedzy przedmiotem

zału a sercem chłopca stańło już wspomnienie, blizkie wprawdzie, zawsze atoli wspomnienie, działalność którego stosuje się do rozumienia, będącego przywilejem starszych. Kacperek liczył lat dwanaście, jak wiemy. Stratę uczuł, lecz jej nie zrozumiał i dla tego, jak skoro rozpoczęło się dla niej wspomnienie, natychmiast żal przycichł, pozostawiając na miejscu swoim smutek roztargniony. Chłopca zajęła ceremonia pogrzebowa, przypatrywał się księdzu w ornacie, słudze kościelnemu w komezce, świecom gasnącym, chorągwiom pochyło niesionym, przysłuchiwał się jęczeniu dzwonów i śpiewom przez nos wyciąganym. Raz tylko jeszcze jęknął z głębi piersi i uczuł serca ściśnienie, gdy trumnę w dół spuszczano i posypały się na nią grudki ziemi. Uspokoił się jednak, gdy ksiądz go po głowie pogłaskał i łaskawem do niego słowem przemówił:

— No, nie ma co... Pomódl się do Pana Boga i wiedz o tem, że Bóg nad sierotami czuwa...

Chłopiec księdza w rękę pocałował.

— Widziałem ciebie, jeżeli się nie mylę, we dworze?...

Był to proboszcz, ksiądz Celowicz.

— Tak jest, proszę księdza dobrodzieja...—odpowiedział Kacperek.

— Co tam robisz?...

— A nic... to jest... nie wiem...

— Służysz... czy dawno?...

— Tato zaprowadzili mnie pozawczora...

— W dniu śmierci swojej... Otóż widzisz... zrządzenie Opatrzności... Ojciec przeczuwał, że zbraknie ci opieki jego i oddał cię pod opiekę pana podkomorzego... Szanujże się, słuchaj, odmawiaj pacierz rano i wieczór i pamiętaj, że masz ojca, co się za ciebie u pana Boga wstawia... Kiedyż do dworu wracasz?...

— Kazali mi przychodzić po pogrzebie...

— Idźże i niech cię Bóg ma w opiece swojej...

Pogłaskał chłopca ksiądz jeszcze raz i ze smętarza odszedł.

Ludzie się rozchodzili.

Grabarze kończyli sypać mogiłę, przed którą klęczała Mędzińska. Przy Mędzińskiej stały sąsiadki, przypominając jej, że pora iść, bo goście na stypę czekają. Mędzińska głuchą się na przedstawienia te okazywała.

— Ta chodźcie już!... dosyć tego!...—przemawiała jedna.—Nie napłakaliście się, czy co!... Oczy wam popodpuchały...

— Nic to już nie pomoże...—mówiła druga.—Jak tylko dobrodziej grób przypieczętował, to już nie ma co... Nie wstanie, choćby żywego do grobu włożyli...

Pierwsza mrugnęła na drugą i rzekła półgłosem, ale nie pod sekretem:

— Co do tego, kto wie... Może i wstanie... Umarł bez spowiedzi... a nieboszczyk, podobno, nie bardzo tam się od nieczystego odwracał...

— Ono to tak...—odparła druga.—Mój powiada, że miał z nim kontrakt, co się tyczy strzelania i że według kontraktu nieczysty po duszę przyszedł...

— Toż tembardziej nie wypada—tu oczami na Mędzińską, nad głową której rozmowa ta się toczyła, wskazała—grobu jego pilnować... Chodźcie już!... he!... pani Mędzińska...

Mędzińska nie słuchała.

— Ta bo to już i wstyd nakoniec... Ludzie czekają... Barszcz się przegotuje...

— Litość miejcie—dodała druga—nad chłopcem wazszym, który stoi i czeka...

— Chłopiec mój!...—zawołała kobieta, zrywając się nagle.—Chłopiec mój!... Synu!... czcij ty pamięć ojca i nie dawaj wiary temu, co ludzie będą gadali... Chodźmy...

Pochwyciła Kacperka za rękę i poprowadziła go do osierociałej chaty, w której uczynne sąsiadki stoły zastawiły dla zgromadzonych na podwórku pogrzebowych gości. Żebracy stali przed progiem, czekając na grosze i knysze.

Przybycie Mędzińskiej stało się hasłem rozpoczęcia uczty.

Starsi przemawiali do niej słowem pociechy. Niektórzy żartami strzelali. Ten i ów zaśmiał się głośno. Ona nie zważała ani na jednych, ani na drugich, ani na trzecich—smutną była; przez cały czas uczty oka z syna nie spuszczała i często go do piersi tuliła.

Pod koniec stypy Kacperek okazywać zaczął niespokojność, tak, że go matka zapytała:

— Co tobie?...

— To, że mi już pora powracać...—odpowiedział chłopak, udając powagę człowieka słusznego.

— Dokąd?...

— Do dworu, mamoo...

— Co!... ty do dworu?...

— A jakże... taki przykaz...

— Ty mnie w chacie zostawisz samą?...

Chłopak ramionami ścisnął i powtórzył:

— Taki przykaz... Przykazano...

— Biednaż główka moja!... A toć ja, zdaje się, mam do ciebie prawo największe...

— I pan Lewicki i ksiądz proboszcz...

— Co pan Lewicki?... co ksiądz proboszcz?...

— Przykazali, taj tyle... Trzeba wracać... Mam tylko pozwolenstwo na pogrzeb...

Jeden z sąsiadów, wiekiem poważny, zasłyszawszy sprzeczkę pomiędzy matką a synem, zachciał dowiedzieć się o powodzie takowej, wysłuchał stron obydwóch, głową pokiwiał i zadecydował:

— Nie ma co... Zważywszy, co idzie od tego a co idzie do tego, wypada, że musi być tak a nieinaczej...

— Po mojemu?...—podchwyciła Mędzińska.

— Hm?... po waszemu?... A jak was z chaty wyrzucą?... Nie lepiejże to dla syna zachować gniazdo, w którym się ojcowie jego rodzili i umierali?...

Mędzińska nie już na to nie odpowiedziała, tylko chłopca przytuliła, zapłakała, uściśnęła, w czoło go pocałowała i sama mu do ucha szepnęła:

— Idź już... idź, złoto moje... Będę ja dla ciebie trzymała grunt i chatę... Bóg da, kiedyś ty powrócisz do gniazda... a tylko miej pamięć na ojca...

Kacperek, zdaje się, na to czekał jeno. Pożegnał matkę, która mu krzyżem błogosławieństwa głowę osłoniła, pożegnał gości i ruszył do dworu. We wrotach podwórca dworskiego, puścili mu się łzy obfite. Była to reminiscencya żalu—płakał i bramy przekraczać nie śmiał; żal powstrzymywał go na zewnątrz, powinność służbowa w połączeniu z ciekawością dzieciinną, która mu dwór naksztalt zamku zaczarowanego przedstawiała, pchała go do środka. Ludzie przechodzili mimo, nikt nie zważał na chłopca płaczącego, stojącego pod sztachetami podwórzec otaczającymi. Aż się trafiła dziewczyna w podskokach wybiegająca z oficyń ze skopcem w rękę. Biegła i podskakiwała, w oczach miała śmiech pusty, na ustach piosenkę wesołą. Kiedy się za bramą znalazła, rzuciła okiem i nagle, jakby paralizem

ruszona, stanęła jak wryta. Oczy jej piwne przylgnęły niejako do Kacperka, wyrażając nie spółczucie a zdumienie, jakby niezwykłym był dla niej widok, jaki w tej chwili chłopiec przedstawiał, jakby mówiły: „rzecz osobliwa, ażeby ktoś mógł płakać, podczas kiedy ja wesola!...” Wprędce jednak wyraz ten ze źrenic jej ustąpił i miejsce jego zajęło spółczucie, wzrastające tak szybko, że wnet i jej z za powiek łzy trysnęły. Zmiana ta nagła wprawiła w podziwienie Kacperka. Widział ją przed chwilką wesolą, podskakującą, śpiewającą. Chłopcu łzy oschły, wlepił oczy w dziewczynę i po chwili zapytał:

— Czegóż ty?...

— A ty czego?..—była odpowiedź dziewczęcia, łzy rękawem od koszuli ocierającego.

— Ja... ja sierota...

— Alboż ja nie!... toć i ja sierota...

I, jakby nagle przyszło jej na myśl przypomnienie jakieś, zwróciła się i odeszła.

Kacperek udał się do dworu, zajmując w kredensie stanowisko swoje, które opuścił na moment dla pogrzebu ojca, a którego zdefiniować nie umiał. Czem był? co do niego należało? jaką funkcję pełnił?—były to wszystko zapytania bez możliwej odpowiedzi. Był wszyskiem i niczem. Lokaje się nim posługiwali, niby terminatorem w rzemiośle, służył im jako posyłka do pobiegów rozmaitych i powoli urobiło się dla niego jedno zajęcie obowiązkowe, czyszczenia butów poranku każdego. W zawiadowstwo jego dostały się szuwaks i szczotki. Czyścił buty pańskie i lokajskie, co mu zrazu szło z trudnością i parę godzin czasu zabierało, w czym jednak nabył z czasem wprawy tak wielkiej, że mógłby iść o lepsze z cesarzem Ferdynandem austryackim, który, jak wiadomo, oddawał się zajęciu temu

z namiętmem zamięłowaniem. Kacperek zamięłowania nie czuł. Nabył atoli wprawę wielkiej i załatwiał się prędko, doszedł sam sposobu wydobywania glancu ze skóry za pomocą chuchania i kończył w duch robotę poranną, nie wiedząc co mu w ciągu dnia robić wypadnie. Z czasem jednak i pod tym ostatnim względem rzecz się ułożyła i uregulowała sama przez się. Wpadło mu w ręce przecieranie talerzy, zajęcie, które się powtarzało trzy razy dziennie i zajmowało czasu tyle, co śniadanie, obiad i wieczerza. Po za zajęciem tem funkcyje jego rozciągały się do wszystkiego i do niczego, najbardziej zaś do tego, ażeby, na wypadek, gdyby kto z państwa, w którejkolwiek dnia porze, zapytał przeze drzwi: „Jest tam kto?“, zawsze w kredensie było komu odpowiedzieć:

— Jest, proszę jaśnie pana (lub jasnej pani)!...

Kacperek przeto, jak widzimy, bynajmniej pracą przeciążonym nie był. Przy zajęciu ustawicznym pracy właściwej nie miał. Cóż to bowiem za praca: czyścić buty i przecierać talerze! Prędko się z nią oswoił, i dzięki sprytowi, jakim go natura obdarzyła, nabył biegłości w fachu, którego określenie pozostawało dla niego tajemnicą, a który w ten wyrażał się sposób, że przejął lokajskie maniery, lokajski akcent i lokajską butę, że jednym słowem został lokajczukiem w przeciągu czasu stosunkowo bardzo krótkiego. Na weselu podkomorzanki, które wypadło w sześć miesięcy po zainstalowaniu się jego w kredensie, pełnił już służbę swoją wybornie, był zwinny, usłużny i pamiętający o sobie. Pod tym ostatnim względem czynił postępy o ile szybkie, o tyle zadziwiające. Polizanki talerzy, ściąganie z półmisków kąsków smacznych i wypijanie resztek z kieliszków szło mu tak gładko, jakby w życiu swoim niczego nie robił innego; praktykował te rzecz po mistrzowsku

i osiągnął ztąd dwie korzyści, z których jedna objawiała się na jego stronie fizycznej, druga na moralnej. Co do pierwszej, tłuściał, zaokrąglał i wyrastał; co się zaś drugiej tyczy, przejmował się tem samolubstwem—że je tak nazwiemy—rodzajowem, co to z panów przechodząc na lokai, przetwarza się w tych ostatnich w dumę, stanowiącą właściwość charakterystyczną całej klasy służebnej, zaczynając od stopni onej najwyższych, od lokai zamieszkujących w pałacach i jeżdżących w karetach. Przejmował się tem, zapatrując się na wzory, jakie miał przed oczami, na starszych swoich w rzemiośle, którzy go sposobów nauczali, na pana, który mu przyświecał jako model źródłowy, na panicza zresztą, który, po powrocie z Paryża, wniósł w ognisko, jakim był dwór ohrebyski, akcent dobrego tonu, zaszczerpiony na pniu filozofii, stawiającej własne „ja“, jako oś ruchu wszelakiego, odbywającego się w łonie społeczeństwa.

Panowie ani się domyślają, jaką oni rolę odgrywają w odniesieniu do sług. Niewiadomość grzechu nie czyni—rzecz pewna. Naiwność jednak, z niewiadomości płynąca, wzbudza podziw, od którego powstrzymać się nie sposób, czytając nieraz pojawiające się w pismach publicznych narzekania panów na sługi. Są to, w istocie rzeczy, nie narzekania a oskarżanie samych siebie. Dla czego sługi złe? dla niczego innego, jeno dla tego, że nie mają w panach przykładów dobrych. To idzie jedno za drugim, jak idzie cień za człowiekiem. W sługach, niby w zwierciadle, odbija się wartość panów. „Jaki pan, taki kram“.

Służba ohrebyska nie przynosiła wielkiego podkomorstwu zaszczytu. Lokaje pędzili czas w próżniactwie, drze miąc w przedpokoju, zabawiając się w karty lub też zawiązując w praczkarni, w piekarni i w garderobie stosunki nie koniecznie odpowiadające prawidłom moralności, której po-

zory państwo przestrzegało. Pozory jednak istniały nie dla nich. Lokaje znali spód karty, wiedzieli o tajemnicach rozmaitych i sami się według takowych modelowali. Tajemnice te wkrótce i dla Kacperka straciły urok tajemniczości. Jasny pan przedstawił się mu ze strony ciemnej; jasny panicz wystąpił w oczach jego nago; w miarę jak wzrastał, oczy otwierały się mu coraz to bardziej i bardziej na znikomość cnoty człowieczej, świecącej dla oka a nie istniejącej w rzeczywistości.

Chłopiec jednak miał, we dworze samym, przeszkodę jedną w dojściu na tej drodze do szczybla doskonałości skończonej.

Przeszkoda ta rzuciła mu się pod nogi przypadkowo.

Wystąpiła ona pod postacią dziewczyny owej, co nad nim zapłakała.

Cóż to była za jedna? Prosta dziewczyna--sierota jakaś, jak sama to powiedziała, umieszczona w praczkarni, dla tego może, że nie ściągnęła na siebie łaskawego pani podkomorzyny oka, a może też dla tego, że wiek jej nie nadawał się do zrobienia z niej użytku innego. Nie starsza, a jeżeli młodsza to nie o wiele od Kacperka, nie mogłaby w garderobie figurować. I u praczkarki odgrywała ona rolę dodatku, bez którego obejśoby się można. Dziewki starsze posługiwały się nią, jak Kacperkiem lokaje, służyła do utrzymywania ognia pod kotłem, do nasypywania popiołu do zolnicy, do składania bielizny, do pobiegów zresztą, popychano ją to tu, to owdzie i lubiono ją z powodu dziwnie wesołego humoru, który jej nigdy prawie nie opuszczał. Wciąż dziewcze to śmiało się i śpiewało, niby ptaszek, którego natura tak usposobiła. Płaczącej nie widziano jej nigdy i może pierwszy raz w życiu zapłakać jej się trafiło wówczas, kiedy się z Kacperkiem w bramie dworskiej spotkała.

Kacperka to zdziwiło i ją to zdziwiło.

Plakała, bo jej się serce ścisnęło—czemu?... Kacperek jej to wytłumaczył. Od niego dopiero dowiedziała się o sieroctwie swoim.

Dowiedziała się o tem i wraz uczuła jakiś rodzaj po-
ciągu sympatycznego do chłopczyny, którego łyzy jej łyzy
wycisnęły. Pogarnęła się do niego uczuciem siostrzanem,
gotowem biedz ze słowem pociechy.

Tego samego jeszcze dnia zeszła się z nim—spotkali
się, stanęli jedno przed drugim, popatrzyli na siebie i ro-
zeszli się. To samo zdarzyło się w dni parę później i po-
wtórzyło się następnie razy kilka. Dziewczyna szukała
chłopca, a nie śmiała zaczepić go. Kacperek nie unikał
dziewczyny, a nie wiedział coby powiedzieć jej. Lody te
jednak tego były rodzaju, że przełamać się kiedyś musiały.
Jakoż przełamały się w miesiąc jakoś po pierwszym spotka-
niu. Kacperek, odbywając swój nowicyat lokajczukowski,
męczył się poranka pewnego nad kupą obuwia zabłoconego.
Dziewczyna przyszła, stanęła przed nim i ręce na piersiach
skrzyżowała. Działo się to pod wystawą w oficynac h
Świadkiem tej sceny był stary pies legawy, który siedząc
na tylnych łapach patrzył poważnie przed siebie i muchy
łapał, co mu na nosie siadały. Kacperek się pościł, głowę
przekrzywił i na szczotkę spluwał, machając ręką z przy-
ciskiem, wreszcie odezwał się do dziewczyny:

— Nie pomogłabyś ty mi?...

— Czemu nie!...—odparła zagabnięta.

— Masz tam drewnienko i szczotkę od błota...

Dziewczyna wzięła się ochoczo do roboty. Nie szło
to jej jednak. Kacperek ją nauczył:

— Najprzód drewnienkiem oskrób a potem szczotką
wychędóż...

I rozpoczęła się robota we dwójkę.

— O, widzisz...—rzekł chłopiec.—Nie mogłabyś ty wyjść tak co rano i dopomódz mi trochę?...

— Czemu nie...

— A jak tobie?...

— Kaśka...

— Słuchysz we dworze?...

— Niby to... Trzymają mnie do bielizny...

— Bo ja służę... w kredensie... — rzekł Kacperek z akcentem dumy.

— A tobie jak?...—zapytała dziewczyna.

— Nazywają mnie Kacperkiem, ale ja jestem Kacper Mędziński... ot co...

Splunął w szczotkę i zaczął szuwaksem czernić oczyszczony z błota but Lewickiego.

— Ta czego ty płakała wtenczas?...

— Jak czego?... Ot tak sobie...

— Bo co ja, to miałem czego...

Chłopiec westchnął.

Dziewczyna z głębokiem spłóczuciem w oczy mu spojrzała.

— Czy i tobie umarł ojciec?...

— Ja nie wiem...

— Mówiłaś przecie, żeś sierota?...

— Sierota...

— Więc ci ojciec umrzeć musiał, tak jak mnie...

Dziewczyna nic na to nie odrzekła. Robota, podjęta przez nich oboje, wkrótce się skończyła. Rozeszli się.

W dniu następnym zeszli się znów. I tak dzień po dniu. Kacperek znalazł w Kaście nietylko pomocnicę, ale i towarzyszkę, która z nim do gawędki stawała. Był to dla niego wynalazek ogromnej wartości. Lokaje nie raczyli z nim w rozmowory się wdawać, służba rodzaju niewieściego toż samo, wszyscy się nim posługiwali, jako smarkaczem, jedna ona, usługę mu oddając, oddawała ją podwójnie: i pomagała i rozmawiała. Z jedną nią chłopczyzna mógł pogadać. Jedna ona, we dworze ludnym, była istotą, przed którą mógł się wynurzyć, zwierzyć, niekiedy nawet pożalić; względem jej jednej, biorąc rzecz na odwrót, stawał w charakterze powiernika i doradcy. W ten sposób, na drodze realizmu najgrubszego, bo przy czyszczeniu obuwia, obudził się pomiędzy nimi i utrwalił stosunek wzajemnej życzliwości i wzajemnego zaufania, stosunek, który nazwalibyśmy zaraniem miłości, gdybyśmy się nie obawiali surowości Zoilów, gotowych autorstwo nasze spioruować za to ie się ośmielamy miłość, to najwznioślejsze, to najpiękniejsze uczucie, to w idealnym względzie cacko przez mistrzów słowa wychuchane, przez starożytnych ubóstwiane, przez świat nowy do potęgi światowładnej podniesione, żeśmy ośmielili się uczucie to wyprowadzać z... czyszczenia butów. Dla tego też nie nazywamy go miłością, ale wyraźnie stosunkiem wzajemnej życzliwości i wzajemnego zaufania, jaki się niechęć zawiązał pomiędzy dwojgiem sierot, wplecionych w ruch, odbywający się na dworze podkomorstwa. Kacperek i Kaśka wykierowali się na brata i siostrę, podrastających i rozwijających się razem, chociaż nie pod dachem jednym. Kacperek przebywał we dworze, Kaśka chowała się w praczkarni. Schodzili się jednak, zawsze rano a często i w innej dnia porze. Często Kacperek wetknął Kaście przysmak jakiś, dla niej umyślnie zachowany. Niekiedy

pokazywał jej na elementarzu litery, których po trzy od czasu do czasu Lewicki mu zadawał.

Stosunek ten, aczkolwiek było w nim nieco do zarzucenia, naprzykład, przysmaki owe, które w sposób nieregularny dostawały się do rąk Kacperka, był jednak dla niego puklerzem przeciwko wygórowaniu lokajskiego samolubstwa. O kimes myślał, z kimes się dzielił, znajdował się ktoś, co go obchodził i do kogo garnął się życzliwością, nie myśląc wyłącznie, jak ludzie z jego kategorii, o dogodzeniu dwóm rzeczom: fantazyom pańskim i widokom własnym. Nad sierotą czuwała sierota. Wywiązywało się z tego dobro jakieś obustronne, którego ziarnko, zaronione w dwie dusze, kiełkowało korzyścią moralną, podobną do promienia słonecznego, wciskającego się do podziemia więziennego przez szczelinę we drzwiach, której stróż zatkać zaniedbła Chłopiec nie dla samego tylko siebie żył w sferze, w które nikt nie żył inaczej.

Jedno jeszcze dodać musimy, dla scharakteryzowania puklerzowego stosunku Kacperka. Może kto, czytając słowa powyższe, powie:

— Musiała ta Kaśka być dziewczęciem ponętmem, jak to zdarzają się Kaśki na tym świecie, na które patrząc człek slinkę połyka...

Nie. Była to dziewczyna... ot sobie, ni ładna, ni brzydka i posiadała wadę jedną, której tajemnicą okrywać się nie godzi. Mając do czynienia z wodą i z mydłem, miała do wody i do mydła wstręt; mając do czynienia z popiołem, miała wstręt i do popiołu. Z podwójnego wstrętu tego to wynikało, że woda i popiół—ta odbryzgami, ten osadem—mściły się na jej postaci, która też z tego powodu była wiecznie ucentkowaną od góry do dołu, oblicza nie wyłączając. Gdyby przeto podobieństwo postaci i rysy oblicza zbliżały

ją do Afrodyty greckiej, to w warunkach takich ponętą być nie mogła. Ponętność więc jej cała tkwiła, że się tak wyrazimy, wewnątrz, w niej, w jej duszy, w jej sieroctwie, w tym mianowniku wspólnym, co związał węzłem—nie miłości (wyrazu tego użyć nie ośmielam się)—węzłem, mniejsza o to jakim, dzieci dwoje, wyłączył je z tłumu egoistów i kazał im trzymać się razem.

KONIEC TOMU I-go.



INSTYTUT
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH I
Biblioteka

ul. Nowy Świat 72
00-540 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42



F

1257